

Krystyna **Kofta**

g d y b y
z a m i l k ł y

K o b i e t y



Wydawnictwo **ab**



Krystyna Kofta

powieściopisarka, autorka sztuk scenicznych i opowiadań.

Opublikowała powieści *Wizjer* (1978), *Wióry* (1980), *Pawilon małych drapieżców* (1988), *Ciało niczyje* (1988), *Złodziejka pamięci* (1998), *Chwata czarownicom* (2002) i zbiór opowiadań *Człowiek, który nie umarł* (1990). Jest również autorką książek *Jak zdobyć, utrzymać i porzucić mężczyznę* oraz *Wychowanie seksualne dla klasy wyższej, średniej i niższej*. Wraz z Małgorzatą Domagalik napisała *Harpie, piranie, anioły*. Współpracuje z miesięcznikiem „Twój Styl”. W 2001 roku ukazała się *Krótką historia Iwony Tramp*, pierwsza polska powieść internetowa. W 2003 Krystyna Kofta wydała książkę *Lewa, wspomnienie prawej. Z dziennika*, wyróżnioną podczas Wrocławskich Promocji Dobrych Książek. Na jej podstawie powstał monodram w reżyserii Tomasza Obary, wystawiany przez Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu.

g d y b y
z a m i l k t y

K o b i e t y

Krystyna Kofta

g d y b y
z a m i l k t y

K o b i e t y

W
ydawnictwo
ab



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2005
Wydanie I Warszawa 2005

WSTĘP

Słyszysz mnie? Mówię do ciebie!

Przy olbrzymim biurku nad segregatorem czy atlasem siedzi facet w okularach. W obu dłoniach trzyma jakieś papie-rzyska formatu A4. Z boku biurka stoi zrezygnowana kobieta, ręce opuszczone wzdłuż ciała, nos na kwintę, usta w ciup. Facet, nie odrywając wzroku od papierów, mówi: „Co z tego, że wciąż jestem zajęty? Dlaczego nie powiedziałaś mi, że mamy czworo dzieci?”

To tylko nieco przesadzona wersja sceny z teatru mał-żeńskiego, także tego, o którym pisałam w powieściach i fe-licetonach, oraz mojego prywatnego, autorskiego teatrzyku domowego.

Mówimy, ale nie jesteśmy słuchane. Czasami mówię zbyt wiele, przyzwyczaiłam się do tego, że gadanie jest p o w t a - r z a n i e m; żeby kobieta we własnym domu została usłyszana przez mężczyznę, który jest jej mężem, często musi swoją kwestię powtórzyć nie dwa, ale trzy razy, za każdym razem o ton wyżej, decybel głośniej. Jest w tym zawarta podrzęd-ność, gorszość, lekceważenie. Taki sposób reagowania powoduje, że czujemy się ofiarami, mimo że mężczyzna nie wykazuje złej woli: „po prostu nie słyszałem”.

Po prostu nie słyszał! Ty nie możesz sobie pozwolić na to, by nie słyszeć, co on do ciebie mówi. A spróbuj się, droga siostrzo, przebić, kiedy rozmawia ojciec z synem albo twój mąż z teściem, albo z kolegą, z kuzynem, a nawet z inną kobietą. Nie słucha twoich pytań, jesteś wykluczona z rozmowy. Gdybyś ty zrobiła coś podobnego, rozpętałyby się burza. On nie pozwala się lekceważyć. Twoje przyjaciółki słuchają go uważnie; gdy zaczyna mówić, milkną.

Wieki pracowały na twoją podrzędność, wysłałaś ją z mlekiem matki, babki, prababki.

Wieki pracowały na jego nadrzędność. Wysłał ją z „mlekiem ojca”, odziedziczył pogardliwy stosunek do kobiet i musi ciężko pracować, by się pozbyć lekceważenia.

A my musimy w równym stopniu mozolić się, by nie dać sobą pomiatać.

Czytając obrzydliwe wypowiedzi mizoginów na temat naszej płci, pozbawione sensu, głupie definicje, paskudne generalizacje, opisy naszych intymnych miejsc jako wrót piekieł, gdzie gnieźdzą się wszelakie nieczystości, doszłam do wniosku, że my, kobiety, byłyśmy bez szans w tej walce, a jednak krok po kroku doszliśmy do tego, co mamy. Przyszło opamiętanie, dotarło do mnie, że przecież piszę dla was, drogie siostry, oczywiście nie tylko, ale głównie dla kobiet, a wy umiecie pisać, czytać i możecie sobie kupić książkę za własne, zarobione przez siebie pieniądze. Na przekór mizoginii panującej przez wieki i cywilizacje możemy pokazać charakterystyczny nieprzyzwoity gest, jeśli nie publicznie, oficjalnie, to z pewnością możemy zgiąć rękę w łokciu, gdy jesteśmy same w domu i nikt nas nie widzi albo, w ostateczności, te wyjątkowo zastrachane mogą zrobić to choćby w myśli. Gdy gnębią nas i dręczą nierozumiejący nic mężowie, kiedy czujemy się samotne, zalęknione, zawsze możemy

wstać i wyjść, jeśli nie w „realu”, to przynajmniej w wyobraźni. Gdy po raz trzeci zadaję pytanie, na które nie ma odpowiedzi, wychodzę, wyjeżdżam albo izoluję się na tyle, na ile mogę, a w miarę zyskiwania świadomości mogę coraz więcej.

Jesteśmy diabelnie silne

Trochę to trwało, zanim uświadomiłam sobie, że jesteśmy diabelnie silne. Trochę to trwało, zanim zdobyłyśmy to, co mamy.

Minęło przeszło pół wieku od ukazania się *Drugiej płci*. Simone de Beauvoir kończy ją pobożnym życzeniem, by człowiek zmienił „zastany świat w królestwo wolności”, w którym mężczyźni i kobiety „przejdą do porządku nad swoim naturalnym zróżnicowaniem” i utwierdzą swoje braterstwo. Chciałoby się do braterstwa dorzucić „siostrzeństwo”.

Od czasów Simone de Beauvoir technika bardzo się zmieniła, zamiast ciężkiego remingtona używam komputera, mądrego urządzenia, które samo podkreśla błędy. Według tego ostatniego krzyku cywilizacji, „braterstwo” jest słowem poprawnym, istniejącym w języku, ale „siostrzeństwa” czy „siostrzeństwa” nie ma. Jest przymiotnik „braterski” i rzeczownik „braterstwo”, jest przymiotnik „siostrzany”, lecz odpowiedni rzeczownik nie istnieje.

Nie ma go także w *Słowniku współczesnego języka polskiego*. Dlatego komputer podkreśla je czerwoną falistą linią jako błąd. Czy nie jest to efekt mizoginii, zadawnionego, głębokiego przekonania o „gatunkowej” gorszości kobiety? Efekt tego, że przez całe wieki nie dane nam było powiedzieć, co myślimy. Zdarzało się to bardzo rzadko, a prawo

do tego miały królowe, nałożnice, wariatki, artystki, pisarki i poetki.

Językoznawcy nie mogą wprowadzić do słownika pojęcia, jakie nie funkcjonuje jeszcze w języku. Wszyscy przyjmują jako coś naturalnego męskie braterstwo broni, braterstwo krwi, braterstwo uczuć, ale siostrzaństwa nie ma.

Mężczyzna z mężczyzną może się zbratać. Co może zrobić kobieta z kobietą? Może przynajmniej ją zrozumieć. Spotykam coraz częściej rozumiejące się wzajemnie kobiety. A co robi mężczyzna z kobietą, gdy nie ma na myśli seksu? Może z nią pracować, jeżeli jest jego podwładną, ale nie chciałby zatrudnić się w firmie kierowanej przez szefową. Kobiety także wolały kiedyś prezesa niż prezeskę. Podobno prezes lepiej je rozumiał.

Czy ja mogę zbratać się z facetem? Tak, wtedy przyjmuję rolę kumpla, czasami mężczyźni mają kumpelki, z którymi mogą konie kraść. Nie nadają się na kumpelkę. Nigdy też nie udawałam przyjaciółki. Wydawało mi się, że takie osoby tracą coś ze swej żeńskości, przejmują natomiast trochę męskości, naginają się do męskich wyobrażeń i potrzeb. Znam wiele satelitek męskich, które obiegają mężczyzn, świecą odbitym blaskiem ich łysiny albo szkielec okularów i niezmordowanie twierdzą, że nigdy nie spotkały się z dyskryminacją ze względu na płeć, wiek, że im wszystko szło jak z płatka; życie rodzinne, kariera, nikt ich nigdy nie molestował seksualnie ani w żaden inny sposób. Wagina nigdy ich nie uwierała, a gdy się postarzały, nie doświadczyły upokorzenia, jakim bywa wymiana starszej żony na młodszą.

Szczęśliwe byty, choć nierealne. Ja sama jestem nieźle uodporniona, a jednak co jakiś czas, nie tak rzadko, jak bym chciała, doznaję rozmaitych upokorzeń, z którymi walczę. Potykam się na udeptanej ziemi z męskim szowinizmem

głupców i z tępotą mądrych partnerów, którzy chcą dobrze, ale nie rozumieją mnie. A ja nie rozumiem ich. Są to czasami ludzie najbliżsi, oddani, sprawdzeni, a jednak płaszczyzna porozumienia w mgnieniu oka zamienia się w płaszczyznę nieporozumienia.

Mówię sobie wtedy: nie ustępuj! Walcz! Tłumacz aż do skutku, jesteś silna! Jesteś silna! Jeśli będzie trzeba, będę się kłócić, będę się złościć. Wykrzyczę swoją wściekłość, Nie chcę zwać wirty na niego, pragnę go zrozumieć, ale nie mogę. Bywa też i tak, że widzę swój zły humor, wyczerpanie i wypalenie. Przechodzę kryzys, nie chce mi się wciąż rozmyślać o tym, co takiego źle zrobiłam, że klimat się popsuł, bo wiem, że chyba żaden mężczyzna nie myśli w taki sposób o naprawieniu związku. Dla nich jest tylko teraźniejszość, jest to, co jest, a co było, to minęło i się nie liczy, taka jest ich błogostawiona niepamięć.

Nie opłaca im się pamiętać tego, co koroduje związek. Łatwo zapominają, bo mają głowy zajęte czym innym, energię intelektualną lokują na innym koncie niż my.

Nieposkromiona złościca

To w pewnym stopniu wyjaśnia, dlaczego kobieta-żona tak często nie może porozumieć się z mężczyzną-mężem. Dlaczego nawet w wieloletnim związku, takim jak mój, uchodzącym za udany, i jednak, per saldo, naprawdę udanym, nie możemy się dogadać. Musiałam sobie długo wbijać do głowy, że to, co czuję w tych dla mnie newralgicznych punktach, nic a nic go nie obchodzi. Nieważne, czy to ja robię awanturę jemu, czy on mnie. On jest wściekły tylko w momencie dziania się: czy to realnego rzucania talerzami, czy metaforycznego rzucania mięsem, tylko w tej chwili

i w tej godzinie. Potem sprawa przysycha i dla niego jest zamknięta. Dla mnie, a sądzę, że i dla was, drogie siostry, to początek głupiej, długotrwałej niekiedy udręki.

U nas rzucania talerzami się nie praktykowało, bo musieliśmy się długo dorabiać, jak to studenckie małżeństwa. Bywa, że trzaskamy drzwiami, a kiedyś, w górach, zdarzyło mi się walnąć plecakiem o ziemię, aż zadudniła. Samo stwierdzenie, że dwunasta w południe w czterdziestostopniowym upale to nie jest pora na rozpoczynanie wielokilometrowej, wyczerpującej wycieczki, nie skutkowało. Szliśmy pieszo od schroniska do schroniska. Mąż i syn dogadali się w tej sprawie, mój głos został pominięty. Po prostu nie słyszeli, co mówię. Dostrzegli dopiero mój desperacki bunt na środku drogi. W tym momencie nastąpiła wymiana zdań, nastąpiło moje wyładowanie, potem wyładowanie mojego plecaka i przepakowanie do ich plecaków. Od razu poczułam się lepiej.

Zwykle jednak nie reagujemy ostro, co chyba jest błędem, i pewnie dlatego tak trudno nam zapomnieć. Trzeba nauczyć się konstruktywnie złościć, wyładowywać wściekłość. Szekspirowska Kasia Złoźnica została poskromiona, utemperowana przez miłość. Nie dajmy się oszukać! Sztuka kończy się na jej miłosnym zapatrzeniu w swojego pana. Niedoczekanie, my nie zrobimy już kroku do tyłu.

Mężczyzna łatwo zapomina o tym, jak ci dokopał!

Mąż jako Wielki Wychowawca

Jeśli chcesz rozmawiać na niewygodny temat, a mężczyzna, który jest „dobrym mężem” lub partnerem, nie ma na to ochoty, wówczas robi uniki, zmienia temat, tłumaczy się zajęciami. Gdy jest „niedobry”, krzyczy, karze ciebie i mnie

na różne sposoby. Czasem także bije, zawsze jednak, gdy odtrąca żonę, łamie jej charakter. Każdy z tych mężczyzn wychowuje, tresuje żonę. Mężczyzna w układzie małżeńskim jest Wielkim Wychowawcą. Mąż prowadzi grę, która zapewnia mu „święty spokój”, w swoim dobrze pojętym interesie. Wymaga absolutnego posłuszeństwa, uważnego słuchania tego, co sam mówi, lecz gdy kończy wygłaszać swoją kwestię, natychmiast przestaje słuchać.

Wiemy dobrze, jak to wygląda. Zamyka się na odpowiedź albo nie daje kobiecie w ogóle dojść do słowa, powtarza w kółko te same zdania, nie pozwala sobie przerwać, nie przyjmuje też żadnych argumentów, mówi, co sam ma do powiedzenia, po czym ukrywa się; zamyka się podwójnie: w sobie i u siebie w pokoju, jeśli ma swój pokój. Siada przed telewizorem, kryje się za gazetą czy wychodzi z domu; wachlarz możliwości nie jest duży, lecz wystarczający, mężczyzna nie musi silić się na wymyślanie sposobów na przetrwanie trudnych chwil. Dla niego trudna może być jedynie ta chwila, w której kobieta chce rozmowy, prosi o nią lub jej kategorycznie żąda. Gdy ten moment mija, mąż nie zaprzęta sobie tym już głowy. Wszyscy wiedzą, że tak jest i tak musi być. Żadnych zmian nie trzeba wprowadzać.

Jedynie wyjątkowo uparte kobiety doprowadzają do wyjaśnień. Czasami kręcą się całymi tygodniami wokół tematu, podgryzając z jednej lub drugiej strony, podszczypują mężczyznę, przywołują jego godność, łaskoczą próżność, potrafią przez długi czas manipulować nim, by osiągnąć to, czego chcą. To o takiej sytuacji mówi się, że mężczyzna jest głową, a kobieta szyją, co tą głową kręci. Być może kręci, ale ile wysiłku trzeba włożyć, by osiągnąć sukces, czasami w błahej sprawie. Ile podchodów, zabiegów, przymilania albo łez, ile czasu, który można by spożytkować znacznie lepiej niż na

satelickim obieganii męskiego słońca. Mężczyzna nie przejmuje się wcale tym, czy kobieta go rozumie, czy nie, jest przyzwyczajony do tego, że robi swoje, cokolwiek by to było, na co ma ochotę lub co musi wykonać, bo jest to niezbędne w jego pracy.

Przeklęta pamięć

A dla nas, drogie siostry, obdarowanych darem niegasnącej pamięci, to, co było, leży ukryte w kazamatkach naszej psychiki, czekając tylko na moment, w którym dojdzie do sprzeczki, żeby wyskoczyć, gryźć i drapać. To, co było złe, jest dla mnie łatwo dostępne.

Tamta historia, kiedy dziecko miało urodziny, mieliśmy wyjść z domu, wrócić późno, i wtedy, gdy ja denerwowałam się, co będzie, kiedy te jeszcze dzieciaki zostaną same, on powiedział... Jak mógł tak powiedzieć! Jak mógł tak mnie upokorzyć. A kiedy umarł mój ojciec, i bardzo płakałam... Nie, naprawdę nie chcę tego pamiętać, byłoby mi łatwiej, gdyby to zniknęło, ale jest. Przeklęta i święta pamięć, bo przecież pamiętać jest błogosławieństwem. Gdyby nie ta rozbuchana pamięć, nie byłabym pisarką. A jednak z każdą większą kłótnią, z każdym wybuchem pojawia się tamto wszystko, czego nie mogłam znieść, co powodowało myśli o rozwodzie, o samobójstwie. Czy ten sam człowiek, o którym wiem, że rozumie mnie jak nikt inny, z którym wczoraj rozmawiałam długo w nocy o tym, co on tworzy i co ja piszę, o ludziach, o tym, co nas oboje dręczy, czy ten sam człowiek dziś może mówić takie rzeczy, które powodują, że zaczynam żałować, że żyję, że nie umarłam, że chcę popełnić samobójstwo? No bo kto ma być mi najbliższy, jak nie on?

I nagle pojawia się bunt. Samobójstwo? Przez faceta? Nigdy.

Poradzę sobie. Piórkuj się! Jestem silna.

Czy Virginia Woolf albo Sylvia Plath zabiły się przez mężczyznę? Wydaje mi się to niemożliwe. Choroba Sylwii, nadwrażliwość Virginii, splot niesprzyjających okoliczności. Depresja to brzmi tak sucho. Rozpacz, cierpienie, pustka. Samotność wśród tylu ludzi. Czy jednak zrobiły to z powodu mężczyzny? Wpływ nagłego impulsu? A ja? O, nie. Wycho-dzę. Trzaskam drzwiami. Robię to, czego nigdy dotąd nie robiłam. To przynosi ulgę. Wyjeżdżam. Nikt nie ma prawa mnie upokarzać. Nie pozwolę na to. Wściekam się z powodu tego niezrozumienia, brutalności słów.

Zagrać mu na nosie

Wściekłość ratuje moją psychikę. Gdyby Virginia i Sylvia bywały wściekłe, żyłyby długo i nieszczęśliwie. Umiały rozpaczać, nie umiały się wściekać.

Nie doświadczyłam ciosów w szczękę, co spotkało delikatną Sylvię Plath z ręki męża-poety, w ogóle nie doznałam żadnych ciosów, wiem, że gdyby to mnie spotkało, musiałabym wyjść na zawsze, nigdy nie wrócić, albo zabić. Nie żartuję.

I tak za wiele rozpaczałam, zanim nauczyłam się grać na nosie. Miałam zbyt wyśrubowane standardy dotyczące małżeństwa i nie chciałam z niczego zrezygnować. Nawet jeśli wiedziałam, że różnimy się od dwóch gołąbków, sądziłam, że chociaż zbliżymy się do ideału.

To się udaje, w niektóre dni i noce; są szczęśliwe dni i szczęśliwe noce. Są też nieszczęśliwe, a bardzo bliskie, jak cały okres mojej choroby. Porozumienie jest w krytycznych

momentach możliwe, dlaczego jednak dopiero w sytuacji ekstremalnej? Czy wpływa na to poczucie straty? Ewentualna śmierć, stojąca w nogach łóżka, ułatwia mówienie o sprawach, o jakich dawno się nie mówiło, o miłości, bliskości, o tym, że oboje pragniemy ze sobą być i nikt nam w tym, prócz anorektycznej damy, nie przeszkodzi. Jeśli jest coś, co czyniło chorobę do zniesienia, to były to właśnie długie rozmowy w łóżku, w ogrodzie, o zmierzchu, w nocy. W bólu 1 podczas lepszych dni. Wspólne plany, wspólna pamięć, wspólne milczenie. Przeszłość i przyszłość. Lektury! Koncerty. Powroty do domu w zgodzie.

Pierwsza kłótnia, i już wiedziałam: jestem zdrowa!

Trzeba nauczyć się złościć! Ta, która była złością u Szekspira, została poskromiona, ale my nie damy się tak łatwo poskromić. Walczymy o swoje! Nigdy nie zapominam, dopóki nie nastąpi wyjaśnienie, przesilenie i pogodzenie: Wtedy wspomnienie blaknie, ale się nie wykasowuje, moja pamięć to nie komputer, w którym naciskasz w edycji klawisz „zaznacz wszystko”, zaznaczasz więc te okropne zdania, które usłyszałaś na swój temat, a potem klikasz w „dele-te” i po sprawie. Jakie to męczące, że to „wszystko” wciąż tam tkwi! Reaguję jak mimoza urażona w czułe liście, na wszelkie wahania nastroju swego męża, który w ciągu jednego popołudnia potrafi przejść od złego humoru, poprzez agresję, aż do sentymentalnej czułości. Zmienia parę razy w ciągu jednego dnia klimat swojego i mojego wnętrza, uważając się przy tym za równego faceta, który nie ulega nastrojom. I w pewnym sensie ma rację, bo to, co dzieje się między nami, a mnie zatruwa myśli, jemu nie przeszkadza ani w pracy, ani w odpoczynku. To ja i ty, droga siostrzo, męczymy się ze wszystkimi głupstwami i poważnymi problemami, i zawsze za to płacimy.

Czasem wydaję na to drobne, czasem grubą forszę.

Całe szczęście, że mam dobry sen, to dar i talent. Potrafię, jak Scarlett O'Hara, zostawić problem na później, na rano, trochę jak w baśni: „Noc radę przyniesie”. Sen jest tylko mój. Noc jest dla mnie, w nocy się regeneruję. Wiem jednak, że wiele z was, drogie siostry, dopiero w nocy zaczyna rozpaczliwy dialog z mokrą poduszką.

Nikt nie może całkowicie zmienić swojej natury i wrażliwości, ale można nad nią popracować, radzę, choć rzadko udzielam rad, ale radzę nauczyć się spokojnego snu. Bardzo dobrym dla kobiety, choć też i męczącym rozwiązaniem jest praca zawodowa. Mimo wszystko, mimo że, jak twierdzisz, jesteś upieprzona do granic psychicznej normy, to jednak zarabiasz własne pieniądze, wychodzisz z domu na długo, musisz skupić się na sobie i na tym, co robisz. Ja piszę w domu, więc stwarzam sobie izolację w swoim pokoju. Nauczyłam się tego z wielkim trudem.

Zgwałć ją, żeby zrozumiała

W MĘSKICH ROZWAŻANIACH KOBIETY WYSTĘPUJĄ
JAKO MONOLIT, MĘŻCZYŹNI JAKO ZBIÓR JEDNOSTEK.

To najbardziej istotna różnica, jaką możemy zauważyć, czytając te opinie. Owszem, bywają według mędrców źli mężczyźni, ale to są jednostki. To pan taki a taki, ma nazwisko, imię, adres, jest mieszkańcem kraju, miasta, rycerzem albo mieszcuchem, królem czy rzemieślnikiem, pisarzem, malarzem, rolnikiem, pasterzem. Można głęboko wniknąć w osobowość opisywanej postaci, można opisać jako świętego albo trochę dobrego, trochę złego, bo psychika

mężczyzny jest bardzo złożona. Kanalia, krwawy morderca, Kuba Rozpruwacz to szczególne przypadki, nie znajdziemy jednak wielu myśli, przekazów mówiących o naturze mężczyzny jednoznacznie źle.

Mężczyzna myśli i ma „przemyslenia”. Kobieta nie myśli, lecz „mniema”. Gdyby mąż opuścił pole bitwy, rozwiązanie problemu nastąpiłoby natychmiast. Byłoby „nudne i banalne”. Carl Gustav Jung twierdzi, że mężczyzna na taką myśl nie wpada, w związku z czym „miliony razy we wszystkich językach świata toczy się zasadniczo ta sama rozmowa”. Mamy tu dokładnie opisany punkt widzenia mężczyzny. W praktyce mąż opuszcza pole bitwy, wychodzi, a problem nie zostaje rozwiązany. Przyczyna według Junga tkwi w kobiecie. To jej wina, że się nie mogą dogadać.

„W wielu przypadkach mężczyzna ma wrażenie i nie całkiem się przy tym myli, że aby przekonać kobietę, musiałby ją chyba uwieść, pobić lub zgwałcić” - mówi Jung. Czy w tym stwierdzeniu nie usprawiedliwia się męskiej brutalności? Czy agresja zawarta w tych kilku zdaniach nie rozgrzesza mężów bijących żony? Pijany tyran, na przykład, musi przecież zgwałcić albo pobić, by przekonać kijem, pięścią do swych „przemysleń” i do tego, czyje miejsce jest w kuchni, przy garnkach, przy dzieciach. Ona pozostaje przy swych „mniemaniach”, że pracuje i zarabia na siebie, nie musi więc wykonywać wszystkich domowych prac sama.

W świecie Junga nie było miejsca na pracę kobiet, na ich karierę, a już rozmowa z nimi to wynaturzenie, ponieważ „żaden mężczyzna ani przez chwilę nie może dyskutować z czymś animusem, nie ulegając natychmiast swej animie”. Raczej pobije, niż pogada. To się zdarza do dziś, bo jeśli krnąbrna nie chce zrozumieć, to trzeba jej przyłożyć, a wiadomo, że jak zaczyna się bić, to może nastąpić wypadek przy

tej trudnej, wyczerpującej pracy. Zawsze można chwycić za nóż albo siekiere, co tam kto ma pod ręką, i przekonać do swych „przemysłów” albo uspokoić na zawsze istotę, która ma tylko „mniemanie”.

Wiem, że narażam się na zarzut spływania głębokich teorii wybitnego uczonego, ale jego uwagi na temat kobiet można odczytać właśnie tak płasko. Tak też rozumieją je niektórzy uczeni mężczyźni, pogardzający do dziś tym, co robią w różnych dziedzinach kobiety.

Stereotyp narodzony z nawarstwionych przez wieki mniemań (bo nie przemysłów) przyjmowany jest jako pewnik, mimo że w społecznym, obyczajowym i psychicznym życiu rodziny, mężczyzny i kobiety, zmieniło się wszystko.

CG. Jung obserwował zewnętrzne, oficjalne, wymuszone zachowanie kobiety, poddanej przeciw kulturowej wyżyłmaczce, postępującej w sposób, jakiego od niej oczekiwano. Nie interesowało go to, co kryje się w jądrze kobiecości, wykpiwał się od myślenia o prawdzie ironizowaniem na temat kobiecych uczuć, piętnował kobiecą dbałość o pozory; świat kobiet postrzegał jako świat fryzjerów i krawcowych.

Podobnie dzieje się w geologii, uczeni znają procesy, jakie zachodzą na powierzchni Ziemi, natomiast mało wiedzą, co dzieje się w jej płaszczu, a jeszcze mniejsze mają pojęcie o procesach zachodzących w jądrze Ziemi. Jednak w odróżnieniu od mniemań filozoficznych Junga badania geologiczne wymagają twardych wyników. Natomiast uczeni zajmujący się delikatną materią, jaką jest głęboko psychologiczny wizerunek płci, wysysają zużyte skorupy stereotypów i uprzedzeń jak przeterminowane ostrygi.

Zazdrość kutasa?

W eseju *Kultura jako źródło cierpień* Freud pisał: „Kobiety popadają w konflikt z kulturą, przewlekając i wstrzymując jej rozwój, ten sam, który początkowo - przez żądanie ich miłości - dał podstawy kulturze. Kobiety reprezentują interesy rodziny i życia seksualnego; kultura coraz bardziej staje się sprawą mężczyzn, stawia im coraz trudniejsze zadania i zmusza do sublimacji popędu, do której kobiety dorastają w niewielkim stopniu. Kobieta widzi, że wymagania kultury spychają ją na dalszy plan, i przyjmuje wobec niej wrogą postawę”.

Mężczyzna musi powściągnąć popęd, musi dzielić energię psychiczną - libido, jeśli chce pracować twórczo, musi zabrać część energii kobietom i dzieciom. Seksowi małżeńskiemu i rodzinie. Jest więc całkiem naturalne, że to ON robi karierę, a ONA zajmuje się domem. Sam Freud pomagał wielu kobietom w osiągnięciu sukcesu, czy to naukowego, jak to się działo w przypadku jego asystentek, czy też prywatnego, kiedy to usiłował wyprowadzić na prostą tłum-szone przez kulturę ofiary przemocy lub osoby zagubione poszukujące wsparcia. Czym innym była jednak pomoc jakiejś żeńskiej jednostce, czym innym zaś ideologia i teorie, jakie prezentował w swych wykładach i dziełach.

Najciekawszy jest sposób ujmowania seksualności kobiet jako nieprzerepartego, lubieżnego pociągu, którego kobieta nie jest w stanie powstrzymać. Oto klasyczna projekcja, bo oczywiste dla wszystkich jest to, że bardzo wiele kobiet nie przepada za seksem, boi się go, znosi z trudem. Nie wnikać w to, czy dzieje się tak dlatego, że nigdy nie zostały odpowiednio rozbudzone ani zaspokojone przez mężczyzn, którzy nie czują się w obowiązku pomyśleć o partnerce, o jej przyjemności, a kierują się jedynie prawem swego kutasas.

Irlandzkie mocne przysłowie mówi: „Nie ma nic bardziej bezwzględ nego niż sterczący kutas”. Kobiętom przypomina broń wycelowaną w delikatną, najdelikatniejszą część ich ciała. Narzędzie to zresztą służy do zadawania gwałtu, wymierzania wojennej sprawiedliwości kobietom z wrogiego klanu, kraju, części świata, kobietom wyznającym inną religię. Ale także żonom, które nie mają ochoty na seks z pijanym mężem.

Freud wymyślił nieprawdopodobną teorię zazdrości o kutasa i wynikającego z niej poczucia niższości kobiety. Oczywiście, głupota uczonych jest groźniejsza niż przyrodzona głupota tępych umysłów, bo pociąga za sobą uzasadnianie wszelkich niegodziwości, jakich można dopuszczać się na ludziach uznanych za gorszych. Tak właśnie mierzono czaszki Żydom, by uznać Niemców za rasę nordyckich panów. Na szczęście ta teoria Freuda nie wyszła poza opłotki psychoanalizy, a jej śmieszność, nawet w aspekcie fizycznym, przekroczyła granice rozsądku.

Albo się dopasujesz do jego świata, albo...

Od „mniemań” Freuda i Junga minęło niemal sto lat.

Mizoginia jest jednak wciąż powszechna, jest ponad-kulturowa, szybuje ponad religiami, rasami, plemionami i całkiem nowoczesnymi mężczyznami, którzy próbują się zmienić, ale przychodzi im to z trudem. Do dziś lekceważenie problemów kobiet jest tym, co łączy mężczyzn i nastawia ich przeciw kobietom. David D. Gilmore w książce *Mizoginia, czyli męska choroba* twierdzi, że „źródłem mizoginii są nierozstrzygnięte wewnętrzne konflikty mężczyzn”.

Co nas, współczesne kobiety, obchodzą wewnętrzne problemy, których mężczyźni nie potrafią rozwiązać? Otóż

obchodzą nas bardzo, ponieważ żyjemy w związkach z mężczyznami i na co dzień mamy do czynienia z oswojeniem męskich problemów, z którymi oni nie mogą dać sobie rady. Często nawet nie próbują, zresztą nikt od nich tego nie wymaga, a samoświadomość mężczyzny w kwestii związku-układu z kobietą przypomina samoświadomość kury. Pozornie to jest bardzo wygodne, nie musimy myśleć o tym, co „nieprzyjemne”. Wręcz niepotrzebne, bo mogłoby zaburzać spokój tak bardzo potrzebny do pracy.

Wielu mężczyzn cierpi na głęboką, wyssaną, niestety!, z mlekiem matki nienawiść czy, w lepszym wariancie, tylko niechęć do kobiet. Stąd wzięło się przekonanie o podrzędności kobiety w stosunku do mężczyzny i oczekiwanie, że to ona, ta dawniej romantycznie kochana czy pożądana Oblubienica, dopasuje swoje życie do życia mężczyzny. Dopasuje swój świat do jego świata i zadba o to, by mógł rozwijać swoje talenty.

Wciąż niewiele jest kobiet takich jak Elfriede Jelinek, noblistka w dziedzinie literatury, ostra, choć bardzo indywidualna feministka, autorka powieści takich jak *Pianistka* czy *Rozkosz*, o różnych rodzajach przemocy, także seksualnej, jakiej poddawane są kobiety.

Jelinek nie dopasowała się do tradycyjnego modelu małżeństwa, do tych wymagań, którym ulegała Sylvia Plath, a nawet Virginia Woolf, do rodzaju presji, niewidzialnej gołym okiem, tak jak po odejściu od ołtarza, niewidzialna jest stuła wiążąca dłonie Oblubienicy i Oblubienicy. Elfriede Jelinek, żyjąca w wyniszczającym związku z matką, nazywanym potocznie sado-maso, znerwicowana, gniewna, bez reszty zajęta pisaniem, postanowiła, że nie będzie miała dziecka, bo nie chce, by ktoś niewinny, nowa istota, żył pod ciężarem jej neurotycznej osobowości.

Także na małżeństwo znalazła swój sposób, i oczywiście partnera, któremu to odpowiadało. Jej mąż jest inżynierem, mieszka w Monachium, ma tam firmę. Elfriede mieszka nadal w Austrii, gdzie przez długie lata opiekowała się chorą matką. Dojeżdża do męża raz w miesiącu, być może właśnie temu zawdzięcza trwałą związek. Jest wolna, choć związana. Żaden mężczyzna nie wymaga od niej, by dopasowała się do jego świata. Nie musi podporządkować się, ulegać, tak jak większość kobiet ulega nawet niewyrażonej słowami męskiej presji, wymaganiom, o których w ogóle się nie mówi, to się rozumie samo przez się, jakby zawarte było w kontrakcie małżeńskim, tyle że nikt nam kobietom za to nie płaci. Jeśli starcza nam sił i zdolności, w przerwach między zajmowaniem się Oblubieńcem i maleństwami możemy pomyśleć o własnej karierze. Nic dziwnego więc, że ze względu na trudności, jakie niesie ze sobą małżeństwo, obarczające żonę zbyt wieloma obowiązkami, coraz więcej młodych kobiet, myślących o sobie ze zdrowym egoizmem, nie wiąże się za wcześnie, by nie komplikować sobie życia. Dochodzący partner stał się częścią nowych obyczajów.

Przenoszone narzeczeństwo

Laura jest profesorem Sorbony, Dawid zaś wykłada na uniwersytecie w Glasgow. Wydają się szczęśliwą parą. Spotykają się w weekendy, robią wspólne wycieczki po Europie, jednym słowem, obchodzą nieustające święto. Takie małżeństwo jest rodzajem przenoszonego narzeczeństwa. To jakby permanentny okres godowy, trwający aż do pojawienia się dziecka. W tym małżeństwie jednak na dziecko jest już zbyt późno. Oboje są dobrze po czterdziestce. Wydawało mi się,

że taki był ich wybór, do czasu, gdy nie porozmawiałam z Laurą na osobności. Dawid jest ojcem, ma syna z pierwszego małżeństwa, rozstał się ze swoją pierwszą żoną dawno temu, gdy chłopiec miał cztery lata. Teraz ma już dwadzieścia cztery. Laura była tą, do której odszedł. Zostawiając żonę, zrobił z niej matkę samotnie wychowującą dziecko. Jest porządnym facetem, płacił dobre alimenty. Zabierał syna na wakacje, gdy ten podrósł. Miał i ma do dziś kontakt z nim, ale nie chciał mieć więcej dzieci. Uważa, że kolejne dziecko obniżyłoby poziom życia wszystkich, jego, Laury, syna i pierwszej żony. Laura bardzo chciała zrobić karierę, jest ambitna, udawało się jej wszystko, co zamierzała. A jednak twierdzi, że ma mniej szczęścia niż pierwsza żona Dawida. Tamta miała mężczyznę, ma dziecko. Jest niezależna, ma stale kogoś bliskiego. Nie wyszła drugi raz za mąż, bo nie było jej to do niczego potrzebne. Jest wygrana. Zdziwiło mnie to, co usłyszałam, bo obraz Laury był jednoznaczny: skupiona na karierze, zadowolona z układu kobieta.

Tęsknota do początków - Pieśń nad Pieśniami

„Cicho! Ukochany mój! Oto on! Oto nadchodzi! Biegnie przez góry, skacze po pagórkach.(...)

Miły mój odzywa się i mówi do mnie: «Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź! (...)

Gołąbko ma, [ukryta] w zagłębieniach skały, w szczelinach przepaści, ukaż mi swą twarz, daj mi usłyszeć swój głos! Bo słodki jest głos twój i twarz pełna wdzięku***.

„Miodem najświeższym ociekają wargi twe, oblubienico, miód i mleko pod twoim językiem...”***

Odrzućmy teologiczne wywody tłumaczące wiernym, że zmysłowa Pieśń nad Pieśniami Salomona, opowiadająca historię pary młodych ludzi - dziewczyny i młodzieńca, Oblubieńca i Oblubienicy - w głębszym sensie traktuje o wzajemnych relacjach Kościoła i Chrystusa.

Przyjmijmy, że to wyraz ziemskiej pierwszej miłości, że jest to archetyp miłosny pokazujący pierwszą fazę zauroczenia, namiętności i pożądania, kiedy młodzieniec i dziew

* Biblia Tysiąclecia, Pnp 2,8-14.

**Pnp4,11.

czyną są dla siebie wielką tajemnicą, kiedy pragną zbliżenia i oboje do niego dążą, choć może różnymi sposobami.

Czym zajęci są ci młodzi ludzie? Sobą. Tylko i wyłącznie. Mówią o sobie do siebie. Dwa równoległe monologi uważają za rozmowę.

Zygmunt Freud w eseju *Kultura jako źródło cierpień* pisze: „Na wyżynie związku miłosnego nie ma miejsca dla żadnego zainteresowania otoczeniem; para miłosna wystarcza sama sobie, do szczęścia nie jest jej również potrzebne wspólne dziecko. W żadnym innym przypadku (poza tym) Eros nie zdradza tak wyraźnie samego jądra swej istoty, a mianowicie, żeby z wielu uczynić jedno”.

Znam takie momenty, pamiętam, opisaną także w moim dzienniku, pewną noc, gdy siedzieliśmy objęci, pod niskim, gwiazdzystym niebem, mieliśmy wrażenie, że niebo to pled, który nas otula, i rozmawialiśmy po cichu, wsłuchując się w głosy świerszczy. Piliśmy czerwone wino i rozmawialiśmy szeptem. Byliśmy wtedy, pod tym sierpniowym niebem, sami. Takie rzeczy mogą się powtarzać; w tym roku spadł deszcz meteorytów, widzieliśmy go w górach. Siedzieliśmy na tarasie w absolutnym porozumieniu, choć po niedawnej kłótni. Nie eros to był, lecz psyche.

Gdy rozum śpi, budzą się hormony

Oblubieńcy i Oblubienice na przestrzeni czasów i kultur, w pierwszej fazie wspólnego życia, jeszcze przed ślubem, jeśli są zakochani, a nie z różnych względów przymuszeni do bycia razem, zajmują się tylko sobą. Przyjęło się uważać, że ludzie zakochani, także w prawdziwym życiu, są parą romantycznych bohaterów. Przez ten krótki lub dłuższy czas zauroczenia codzienne życie zmienia się w nierzeczy

wistość, staje się podobne miłości opiewanej we wszystkich poematach, w całej liryce światowej. A jednak to nie musi być romantyczne uczucie, lecz tylko zwykła hormonalna burza.

Bohaterowie Pieśni nad Pieśniami mówią o tym, jak widzą swoją urodę, ON opowiada o najbardziej pociągających częściach ciała młodej kobiety, ONA o fizyczności wybranego, młodego mężczyzny. Bez znudzenia zajmują się wyłącznie własnymi ciałami, porównując każdą część do rzeczy najcenniejszych w przyrodzie i najdroższych na świecie: brzuch jego jak kość słoniowa, golenie jak słupy marmurowe, głowa - bryła ze szczerego złota. Oblubienica zaś ma szyję jako wieżę Dawidową, oczy gołębiczy, piersi jako dwoje bliźniąt sarnich, zęby jako stado owiec jednakich.

Ten rodzaj uczucia dobrze oddaje pojęcie miłości cielesnej. Rozum zdaje się spać, gdy szaleją hormony.

W uniesieniach cielesnych oblubieńcy są niezmordowani. Jak młoda mężatka, pisarka, poetka Sylvia Plath zachwycająca się mężem Tedem. Jak Anaiis Nin pisząca erotyczne, półpornograficzne niemalże kawałki prozy, wydane w dwóch tomach *Małe ptaszki* i *Delta Wenus*, będące wielką pochwałą zmysłowości. Była zmysłowa, miała dużo materiału, ale ona nigdy nie była monogamiczna.

Gdy jest się we dwoje, na samym początku, podczas erotycznego głodu, na nic innego nie starcza siły, nie ma zresztą potrzeby mącić nastroju miłosnego szaleństwa, tak w pięknej Pieśni nad Pieśniami, jak i w realnym świecie, gdy namiętność, zmysłowy klimat i pociąg seksualny przyćmiewają wszystko inne. Różowe okulary, jako symbol zamazanego, sielankowego widzenia charakterów, dobrze oddają sposób wzajemnego postrzegania się pary w początkach związku. Czasami przebudzenie, powrót do realnego widzenia jest bolesne, jak w przypadku Sylvii Plath, czasami nie

ma koszmarne przebudzenia, zostaje pamięć o początkach, do których można tęsknić.

Dziewicę chętnie poślubię

Dziś dziewictwo Oblubienicy liczy się w małym stopniu. Współżycie przed ślubem jest dość powszechne, mimo deklaracji wiary, która tego surowo zabrania. Większość ludzi traktuje wiarę wybiórczo, wyłuskując z niej to, co im odpowiada, a pomijając resztę. Już trzecie pokolenie przekroczyło tabu dziewictwa, czystości zachowanej do nocy poślubnej. Mało kto chce na całe życie kupować kota w worku.

Inaczej było w czasach Salomonowych; wczytując się w wersy Pieśni nad Pieśniami, widzimy, że w aspekcie duchowym ważna była wyłącznie niewinność młodej dziewczyny, musiała być dziewicą bez zmazy. O charakterach tych dwojga nie dowiemy się nic zgoła. Ani o niej, ani o nim. Poza pociągiem miłosnym do synogarliczki o biblijnym przystojniaku nie wiadomo wiele.

Para narzeczonych gubi się i poszukuje, chce się odnaleźć. Może po to, by się wreszcie czegoś o sobie dowiedzieć. Może chcą zgłębić tajemnice swoich charakterów.

Nawołują się, pragną usłyszeć głos ukochanej osoby, domyślamy się, że pragną ze sobą rozmawiać, mówić o tym, o czym rozmawiają z przyjaciółmi i z przyjaciółkami, może z rodziną, o czym być może myślą przed zaśnięciem. Oblubienica marzy przez sen: „Ja śpię, lecz serce me czuwa: Cicho! Oto miły mój puka!”*

Oblubienica przedstawia ukochanego, którego zazdrości jej inne dziewczęta. Oblubieniec zaś myśli o Oblubienicy jak o córce królewskiej, niepowtarzalnej, jedynej.

* Pnp 5,2.

„Jak lilia pośród cierni, tak przyjaciółka ma pośród dziewcząt”* - mówi Oblubieniec.

Potem Szekspir, jak tysiące poetów i pisarzy, podkreśla inność wybranki i wkłada w usta Romea podobne słowa na temat Julii: „Śród innych dziewic tak się wyróżnia, jak śnieżnobiały łabędź pośród kruków”**.

Co staje się z „głosem miłego mego”, gdzie podziewa się głos Oblubienicy? Kiedy jej „wdzięczny głos” zamienia się w brzęczenie natrętnej muchy? Co zmienia się w ciągu tych paru lat, jakie mijają od początkowego zauroczenia do okrzepnięcia małżeństwa, do letnich rozmów, prowadzących do wychłodzenia, złodowacenia stosunków? Dlaczego ci sami ludzie, my dwoje, ci, którzy jeszcze kilka lat temu reagowali czule na własne głosy, nie mogą słuchać siebie wzajemnie? Zwłaszcza zaś nie może kobiecego głosu żony słuchać mąż, obojętny na próby nawiązania bliższego kontaktu?

Dawny Oblubieniec unika rozmowy jak zakaźnej choroby, a sposób, w jaki reaguje, budzi w kobiecie lęk, chęć ucieczki, aż wreszcie, gdy życie z nim staje się nieznośne, żona zaczyna coraz częściej myśleć o rozwodzie. Chciałaby odzyskać wolność, ale to jest trudne, z upływem lat, z pojawieniem się dzieci, ze wspólnymi interesami, coraz trudniejsze. Poczucie zniewolenia pogłębia się. Jest bardziej dojmujące u kobiety, ale mężczyzna także czuje się uwikłany w związek, którego już nie pragnie. Gdyby mógł... Jednak przez wzgląd na dzieci albo na konto w banku, wspólną firmę... Są dziesiątki powodów, dla których waha się przed podjęciem decyzji.

Poza wszystkim mniej przejmuje się kłótniami, zapomina o nich, o rozstaniu myśli tylko w momentach, gdy małżeń

*Pnp2,2.

** W. Szekspir, *Romeo i Julia*, akt 1, sc. 5, przeł. St. Barańczak, Kraków 2001.

stwo go uwiera, podczas kryzysów, w trakcie kłótni, „jej bezustannych pretensji”, gdy chciałby wyfrunąć znów, tak jak za „kawalerskich czasów”, z domu, ale żona trzyma go w szachu, swoją bezradnością, wymaganiami, które on uznaje za przesadne. Jego koledzy nie pomagają tyle swoim żonom, nie zarabiają takich pieniędzy jak on, nie siedzą wieczorami w domu przed telewizorem, chodzą na spotkania z kolegami, piją, oglądają mecze... A przecież także mają dzieci i jakoś ich żony radzą sobie same ze wszystkim.

Zero współczucia, pełen egoizm, myśli o mężu żona.

Była Oblubienica, teraz jędza, sekutnica, Ksantypa, o której opowiada się dowcipy, nie może wytrzymać podniesionego głosu Oblubieńca, jego tonu nieznoszącego sprzeciwu faceta, który nie daje sobie przerwać, mówi do niej formalnym, urzędniczym, oficjalnym językiem, jakby wyrzucał z firmy nieudolną pracownicę, a gdy ona chce przedstawić swoje argumenty, wytłumaczyć, o co jej chodzi, bo przecież, do jasnej cholery, wszystko na jej głowie, a przecież ona także pracuje, wtedy on kończy dyskusję, jakby kończył audycję; jesteś zwolniona, pani, już dziękujemy, do widzenia, i wychodzi z pokoju.

Co to? Casting? Co on sobie wyobraża, że kim jest? Synkiem swojej mamusi, u której nic nie musiał, bo wszystko za niego robiła? Niedoczekanie, nie ze mną te sztuczki. Zaczyna się wrogość. Kto kogo przetrzyma? Oblubienica Oblubieńca czy Oblubieniec Oblubienicę?

Lady Makbet u mnie sprząta

Dla kobiety szukającej męża czy partnera liczy się jakość tego, z czego może wybierać. Zwykle wyboru dokonujemy przedwcześnie, nie znając człowieka, nie spędzamy z nim

dni pod jednym dachem, praktykujemy odświętne randki, nie wiemy jeszcze, co będzie dla nas dobre, a co złe. Kobieta skupia się na tym, by się przypodobać wybranemu mężczyźnie czy też temu, który ją wybrał. Wydaje się jej, że od jakości tego, co ma do wyboru, zależeć będzie późniejsze zadowolenie. Kiedyś nie rozważały w ogóle możliwości życia w pojedynkę. Chcę mieć możliwość wyboru i chcę, by to był najlepszy wybór, chcę mieć możliwości większe niż inne kobiety. Kobiety myślą w taki sposób, ponieważ wciąż ulegają naciskom. Jeśli nawet nie jest to presja rodziny, przyjaciół, to jest to najbardziej okrutna i najbardziej destrukcyjna dla psychicznej organizacji - autopresja.

Gdy ulegnę autopresji, jestem w stanie usprawiedliwić przed sobą każde świństwo i każdy gwałt dokonany na samej sobie. Uczynię wszystko, by doprowadzić do zwycięstwa nad rywalkami, a nie jest to szlachetna rywalizacja. Kiedy pełna nienawiści ruszam do walki, Lady Makbet mogłaby u mnie sprzątać. Pamiętam siebie z tych damskich mało rycerskich potyczek, w których głównym trofeum był chłopak, a później już mężczyzna. Muszę być najlepsza ze startujących, by zwyciężyć. Najlepsza w tym, co się najbardziej liczy. A w walce o najlepszy wybór, o najlepszą partię, najgrubszy portfel, najślawniejszego polityka, sportowca, biznesmena albo najprzystojniejszego męża liczy się moja własna uroda i młodość. Wszystko inne schodzi na dalszy plan. Moje rywalizacje były sportową grą, choć często chodziło o cudze prawdziwe związki, niekiedy najprawdziwsze łyzy. Był to durny okres życia, kiedy potrafiłam zakładać się o to, że zdobędę mężczyznę, a do walki o niego startowały piękności z mojego roku studiów. Były być może, a nawet z pewnością, piękniejsze niż ja, ale to właśnie ja wygrywałam, bo umiałam rozmawiać, byłam bezczelna i zawsze niezależna. Ponadto przygotowywałam scenariusze modyfikowane

odpowiednio w trakcie zawodów. Były niekiedy bardzo drobiazgowe, dotyczyły wyglądu zewnętrznego, sposobu zachowania, prowadzenia rozmowy, zdradzania swoich tajemnic, opowiadania o domu rodzinnym, wyboru momentu odpowiedniego na pierwszy pocałunek czy na ucieczkę przed nim. Z uczuciami nie miało to wiele wspólnego, ale ponieważ sposób okazał się bardzo skuteczny, stosowałam go także wówczas, gdy ktoś mnie poważnie pociągał.

Nie praktykowałam trzepotania rzęsami; jako naturalna blondynka nie miałam odpowiednio długich, ciemnych i gęstych rzęs. Nie wabiłam na seks, pokazując wiele, no może tylko rozcięcia w moich sukienkach i spódnicach były wysokie, bo miałam długie szczupłe nogi, a na wysokich obcasach wyglądały na jeszcze dłuższe. Patrząc na to z perspektywy lat, jakie upłynęły, widzę, że najlepiej szło mi owijanie dookoła palca wtedy, gdy się w ogóle nie angażowałam. Szczęściem uprawianie tego sportu znudziło mnie i zaczęłam dostrzegać, że za moją zabawą kryją się dramaty innych kobiet. Nie przejmowałam się jednak, uważając, że jeśli tak łatwo rozwalić czyjeś małżeństwo, to lepiej, żeby stało się to wcześniej niż później. Zresztą, ten problem dotyczył nie tylko mnie, ale także mojego męża. Prowadziliśmy otwarty dom, wciąż pełen ludzi, dużo bywaliśmy i przez cały czas oboje byliśmy narażeni na spotkanie kogoś, kto mógł się nam spodobać. Tak jest do dziś, bo jeśli komuś wydaje się, że z wiekiem cała rzecz się kończy, to grubo się myli. Zmieniają się obiekty naszego zainteresowania, my same przestajemy być podmiotami dla młodych ludzi, a stajemy się nimi dla starszych. Zmieniamy zainteresowania, niektórzy nasi partnerzy po pięćdziesiątce, przechodząc andropauzę, zaczynają interesować się młodymi kobietami, my tracimy czasami w tym wieku zainteresowanie seksem, drogi rozchodzą

się więc czasami na chwilę, na skok na manowce, a czasem na dobre. Mimo wszystko nie możemy ograniczać wolności własnej i cudzej. Trzeba umieć z tym żyć, wiedzieć, jak sobie radzić, a nie izolować się, otaczać murem i skazywać na więzienie, siedzenie we dwoje „pod celą”. Właśnie na takim zakręcie potrzebne jest porozumienie, zaufanie, a nie zdobędziemy go milczeniem, przymykaniem oczu czy krzykiem zamiast rozmowy.

Jak dwa gołąbki w klatce

Marzenia o idealnym małżeństwie, zwykle we wczesnej młodości, przybierają postać dwóch dokładnie do siebie przystających elementów. Oczywiście, dokładnie przystające nie znaczy takie same, bo działa tu także stary jak świat schemat uzupełniających się przeciwieństw. Ojciec i matka to dla każdego wzór, model małżeństwa. Moi rodzice byli parą przeciwieństw, które raczej się nie uzupełniały, ale te dwa oddzielne byty potrafiły załatwiać wiele spraw w taki sposób, że nie cierpiała na tym całość ich związku. Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, nie stanowili modelowej, tak zwanej pięknej pary. Matka była słabo wykształconą, choć inteligentną, piękną blondynką, ojciec co prawda był brunetem, ale łagodnie mówiąc, niewysokim. Matka nosiła niezbyt wysokie obcasy, pewnie dlatego, by go nie ranić. Zeby obraz był pełny, muszę dodać, że gdy się poznali, a było to jeszcze przed wojną, on był synem fabrykanta i współwłaścicielem fabryki, ona córką wdowy z dziewięciorgiem dzieci, mieszkającej poza miastem. Pracowała w fabryce swego przysiętego męża jako szwaczka.

Przez lata szkoły podstawowej i liceum, jako blondynka, prawie albinoska, poszukiwałam więc śniadego, wysokiego

bruneta, bo chciałam, by przeciwieństwa były możliwie najdalsze. Poznawałam wielu przystojniaków, ale cierpiałam, bo podobali mi się blondyni w okularach.

W domu, w szkole, w powieściach wciąż powtarzały się nudne porównania do dwóch połówek jabłka. Nikt nie uprzedzał, że w taki sposób scalone jabłko może zacząć gnić od środka. Porównywało się parę do dwóch słodkich turka-weczek czy dwóch łagodnych gołąbeczków, co to „z dzióbeków sobie jedzą”. Pozostałość tej idealnej wersji można jeszcze obserwować na ślubnych tortach i ozdobnych telegramach. Takiego ścisłego dopasowania życzą nowożeńcom przyjaciele, przesyłając życzenia ozdobione ptactwem trzymającym obrączki w dziobach. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto byłby w tym stopniu do mnie podobny, a gdybym trafiła na kogoś takiego, uciekłabym, gdzie pieprz rośnie, ponieważ zawsze uważałam, że ciekawe jest to, co inne. Dwa gołąbki wzbudzały śmiech pusty, bo od zarania emocjonalnych kontaktów wiedziałam, że najważniejsza jest walka. Nawet z tymi, których się kocha, a może zwłaszcza z tymi.

Vitus Dröscher w znanej pracy *Instynkt czy doświadczenie* pisze, że gołąbek zamknięty w klatce ze słabszym samcem „oskalpuje go i potem przez wiele godzin będzie misternie rozszarpywał. W nienaturalnych warunkach niewoli gołąb, symbol pokoju, staje się bezlitosnym mordercą”. W przyrodzie słabszy samiec, dostawszy dziobem w łebek, ucieka, ratując życie, w klatce ginie przyparty do prętów.

O samicy gołębia nie pisze się nic, ponieważ ona nie walczyła o autonomię. Od początku istnienia świata gołębi nie usiłowała wyzwolić się nawet o włos. Ewolucja gatunku nie obejmuje uczuć, a do nich zalicza się poczucie wolności. Rodzajem wolności jest dla ptaka wielkość przestrzeni powietrznej, potrzebnej do życia, a dla ssaka odpowiedni

teren, step, puszcza, pustynia. Klatka nadaje się nieszczer-
gólnie. Wiadomo, że jeżeli miejsca jest zbyt mało, szczury
stają się agresywne i zaczynają się zagryzać.

Jeśli więc, drogie siostry, weźmiemy pod uwagę prawdzi-
we życie gołębi, sposób, w jaki silniejszy podporządkowuje
słabszego - przekonamy się wówczas, że jest ono bardziej
podobne do układu małżeńskiego, zamkniętego w czterech
ścianach mieszkania, niż nam się wydaje.

Prawdopodobnie myśl o możliwej wolności we dwoje
pojawia się z powodu bardzo pierwotnego doświadczenia,
archetypu wszelkich więzi, jaką jest najsilniejsza fizjolo-
giczna więź z matką, już w okresie płodowym. Ten wzór,
symbol, idea więzi, mitycznej matki z dzieckiem jest nie-
rozerwalna.

Jeśli m ę ż c z y z n a szuka zastępczej matki, żona w
takim przypadku będzie jedynie macochą. Matka jest bo-
wiem niedościgłym ideałem kobiety, nawet gdy okazała się
kiepską opiekunką. Dzieje się tak z powodu wagi samej idei,
obrazu matki mitycznej, a nie jej rzeczywistego ucieleśnie-
nia. Oto prawdziwa idea zespolenia we dwoje, o której
wspominał Jung.

K o b i e t a nie szuka zastępczej matki. Czasem pragnie
znaleźć zastępczego ojca. Od urodzenia związana z
matką--kobietą, skazana jest po ślubie na obcość bycia z
mężczyzną. Bycie z mężczyzną nie ma w sobie nic
pierwotnego dla kobiety. Może dlatego, poprzez tę obcość,
kobieta w związku z mężczyzną powinna czuć się bardziej
wolna? Jest bardziej uczuciowo uwolniona niż mężczyzna,
choć przez to może też bardziej samotna.

Kobieta, jak gołębicą, długo nie walczyła o autonomię,
nie miała żadnych praw i traktowana była jak niedoroz-
winięte dziecko, którego ani na chwilę nie można spuścić

z oka. Oczywiście dla jego dobra. Jeszcze do początku XX wieku niewiasta - przypominam: niewiasta, to ta, która nie wie - nie-mogła stawać przed sądem jako niezależny byt, za jej winy odpowiadał mąż, ojciec, brat lub inny krewny płci męskiej. Znacznie wcześniej, w życiu plemiennym, uważano, że niewiasta to ta, o której nie wiedzą duchy przodków, nie znają jej, bo była obca w domu mężczyzny, przyszła z zewnątrz.

Konto osobiste w banku, własna karta kredytowa to zdobycze ostatnich lat, które zmieniają w widoczny sposób małżeński układ. Moje własne, zarobione przeze mnie pieniądze się liczą, bo dają mi prawdziwą możliwość wyboru.

My nie przeczekujemy

Całkiem niedawno, wiedząc o poważnych problemach małżeńskich, zadałam dziewczynie, której jestem ciotką, pytanie, co zamierza zrobić z tym fantem. Usłyszałam, że nikt, a już zwłaszcza on, nie będzie jej wchodził na głowę, ona ma alternatywę, nie jest na niego skazana. A na końcu dorzuciła uwagę, która mnie zastanowiła, powiedziała mianowicie: „My nie jesteśmy już takie cierpliwe, jak wy byliście, my nie przeczekujemy”.

Historia się powtarza, bo ja dawno temu powiedziałam to samo swojej matce, gdy radziła mi, żebym przeczekała kryzys. Pamiętam, że chciała przekazać mi swój najlepszy sposób na załatwienie sprawy: „Musisz zmilczeć i czekać”, a ja wówczas odpowiedziałam, że nie mam zamiaru milczeć, mam zamiar krzyczeć, i dodałam, że czasy niewolnictwa już minęły. A gdy matka biadała: „Bój się Boga, dziecko!”, zawołałam wzburzona, że mój Bóg nie wymaga strachu.

Miałam rację, bo gdybym „zmilczała” i gdyby milczenie weszło mi w krew, mój związek z pewnością by nie przetrwał.

Nie zadałam mojej krewnej sakramentalnego pytania, które świadczy o różnicy pokoleń: „A co zrobicie z dziećmi?”, bo wiem, że poradzi sobie, wyegzekwuje, co się jej należy, a dzieci często bardziej cierpią w nieudanym związku niż wówczas, gdy rodzice się rozstaną. Stało się, nie udało się, to jeszcze nie tragedia grecka, do której może dojść dopiero wówczas, gdy upokorzeni, doświadczają brutalności, z nienawiścią myślą o kimś, kogo kiedyś kochali.

Być z kimś czy nie być?

Wybór należy do mnie. Możliwość rozwodu jest atrybutem wolności, wówczas, gdy się pomylę, mogę zerwać więzy. Niekiedy sama myśl o tym, że jak będę chciała, to będę mogła, wystarcza, by się uspokoić i przetrwać kryzys. Mogę być z nim lub nie być, to mój wybór, nie zdechnę z głodu, nie będę zmuszona sprzedawać się na ulicy, gdy jest jeszcze co sprzedać i znajdzie się kupiec, nie muszę zebrać czy kraść. Mam pracę i własne pieniądze, swoje kontakty z przyjaciółmi, o ile udało mi się je zachować, nie będę osamotniona, gdy zostanę sama. Owszem, ja mam takie możliwości, ale wiem, że są kobiety uwikłane tak bardzo w układ, że nie mogą go zerwać z różnych względów. Czasami przeszkadza wiara, czasem brak własnych środków do życia. To jest dramat zniewolenia. Żądanie wolności i autonomii małżeńskiej, a także tego, by mężczyzna poświęcał kobiecie, dzieciom i zajęciom domowym więcej czasu, jeszcze sto lat temu byłoby tak absurdalne jak system kopernikański dla współczesnych astronomów teologów. Szczyściem dla siebie

Kopernik umarł śmiercią naturalną. Przewidujący uczony dopiero złożony chorobą opublikował swą teorię. Inaczej spłonąłby na stosie.

Kobietę, która sto lat temu odezwałaby się, żądając równych praw, zamknięto by w domu dla obłąkanych, uprzednio zdrowo wytargawszy ją za długie sploty. To samo spotyka ją i dziś w świecie talibów: nie może sama wyjść z domu, nie wolno jej pracować, chodzi spowita od stóp do głów burką, nie ma mowy, by poszła do lekarza bez wiedzy mężczyzny. Dla nas, kobiet europejskich, jest to przypomnienie, że nie ma ciągłości historycznej, że co zyskałyśmy, może być nam odebrane. Musimy pamiętać o tym, co może nas czekać, jeżeli spoczniemy w walce. Jest wiele sił społecznych, religijnych i politycznych, które nie zmartwiłyby się tym, że wracamy do trzech K: kościoła, kuchni i kołyski, bez żadnych możliwości kształcenia się i pracy zawodowej. Nie wolno tym ludziom, mężczyznom i głupim, obiegającym ich kobietom, ustąpić w żadnej sprawie. I ja z nimi, z tymi nieczystymi siłami, przód cały czas w swej twórczości walczę. Pisząc książki, felietony obyczajowe w „Twoim Stylu”, polityczne w „Przeglądzie”, występując publicznie w telewizji, zwłaszcza w programie „Co pani na to?“, który zresztą został nam, kobietom, odebrany przez stęchłe, zalęknione, podlizujące się prawicy władze telewizji. Na szczęście jest wolna prasa, są wolne media i można, jeśli ma się odwagę, walczyć o swoje prawa. Także do wypowiedzi innej niż oczekiwana. Mam prawo do bycia ostrą kobietą, mówiącą wprost, co mi się nie podoba.

Robot wielofunkcyjny

Choć jesteśmy już w Europie, chociaż pracujemy zawodowo, dużo czytamy, jesteśmy dobrze wykształcone, wciąż ustępujemy pola mężczyznom i kobietom, które nie chcą, żebyśmy miały lepiej niż one. Wszystkie czytałyśmy o barbarzyńskim obyczaju okaleczania dziewczętom narządów płciowych. Tak dzieje się w Afryce; chodzi o to, by nie odczuwały rozkoszy! Starsze kobiety asystują przy tym, są przeciwne walce z tym obyczajem. Czy to nie paskudna cecha, czy to nie jest męski majstersztyk socjotechniczny, tak wytresować kobietę, że będzie za nich załatwiała sprawę, że będzie okrutnym kapo? My żyjemy w wolnym społeczeństwie, nie musimy więc zgadzać się na cierpienie większe niż egzystencjalne, wynikające z samego życia, choroby, śmierci, kataklizmów, nie musimy dokładać sobie dodatkowych cierpień, wynikających z gwałtów i upokorzeń.

Przyglądając się uważnie rzeczywistości, odnoszę niekiedy wrażenie, że w pokoleniu dzisiejszych czterdziesto-, pięćdziesięciolatek w sprawach obyczaju małżeńskiego pokutują poglądy podobne wierzeniom, że Ziemia jest płaska jak naleśnik i spoczywa na czterech wielkich żółwiach, a kobieta powinna siedzieć w domu, modlić się, dbać o porządek, rodzić dzieci i nie przerywać mężczyźnie, kiedy mówi. Sama zaś nie odzywa się niepytana.

Kiedy mówiłam mężczyznom o książce, którą teraz, drogie siostry, czytacie, gdy podawałam jej tytuł: *Gdyby zamilkły kobiety*, natychmiast zaczęli żartować. „To byłby spokój! Szkoda, że to niemożliwe! Milcząca kobieta? To paradoks, zjawisko nieznanne”. A gdy mówiłam: „Gdyby nie kobiece gadanie, nie umiałbyś, człowieku, mówić, bo dziecko uczy się mowy tylko dlatego, że ktoś gada do niego, gdy jest jeszcze niemowlęciem i wydaje się, że nic nie rozumie”,

dziwili się, jakbym odkryła Amerykę, i nie mogli pojąć, że ktoś robi w ogóle takie badania. Zastanów się, droga siostrzo, czy znasz mężczyzn, którzy odzywają się do niemowlęcia i nawiązują z nim kontakt? Oczywiście przesadzam, z pewnością są tacy w młodszym pokoleniu, to nowa generacja świadomych ojców. Pokolenie średnie było w tym względzie głuche, póki dzieciak nie stał się partnerem do rozmowy.

Nie tak znów dawno przyznano nam, kobietom, prawo do pracy, ale to nie zwalnia nas z żadnych obowiązków. Teraz zarabiam sama na siebie, dokładam się do budżetu domowego, a oprócz tego muszę lub powinnam - a w przypadku mężatki powinna znaczy musi - urodzić i wychowywać dziecko, jedno lub więcej, prowadzić dom, sprzątać, prac i gotować. Jeśli zrobiłaś „dobrą partię” i wyszłaś za mąż za producenta pieniędzy, będziesz miała stałą pomoc w prowadzeniu domu, nawet nianię, ale za to z pewnością przyjdzie ci kiedyś zapłacić. Może się zdarzyć, że kobieta jest zamożna, a nawet bardzo bogata i sama sobie wszelką pomoc zapewni, wówczas jednak będzie traktowana jako zimna karierowiczka z zanikiem uczuć macierzyńskich, co ucieka od własnych dzieci.

Wiemy już, że tradycyjny porządek rzeczy jest dla każdego mężczyzny wygodny. Dla zamożnego, ponieważ żona siedzi w domu i wychowuje mu dzieci, które powinien „posiadać”, dla biednego zaś dlatego, że żona, idąc do pracy, zdejmuje z męża obowiązek zapewnienia bytu rodzinie, pomaga w finansowym utrzymaniu domu, a do tego, co już wszyscy dziś wiedzą, spełnia wszystkie wymagane funkcje: kucharki, sprzątaczkę, piastunkę, a u bogatszych kierownicę rozwożącego dzieci po mieście do przedszkoli, szkół, na lekcje języka, tenis. Właśnie z powodu bycia robotem wielofunkcyjnym

tak trudno jest kobietom osiągnąć to, o co walczą: porównywalny z partnerem stopień autonomii i wolności osobistej.

Dopiero od niedawna, dzięki badaniom, wiadomo, że mężczyzna pozostający w długotrwałym związku małżeńskim żyje dłużej niż jego kolega kawaler lub rozwiedziony. Długość życia kobiety pozostaje taka sama, bez względu na to, czy jest mężatką, czy żyje w konkubinacie, czy tylko z dochodzącym od święta, czy jest całkiem samotna, nie potrzebuje mężczyzny, zaspokaja się sama wibratorem albo pracą, która daje jej największą rozkosz. Dlaczego tak się dzieje?

Proporzec przechodni

Z badań wynika też, że jeśli kobieta pracuje ponad czterdzieści godzin tygodniowo, zdrowie jej męża, a także i samopoczucie mogą ucierpieć. Nie podasz mu ciepłych kapci, nie dopilnujesz, czy włożył szalik, i zaziębienie gotowe, nie wyślesz go do lekarza, gdy słabuje, nie ugotujesz mu kurczaka... Mężczyzna żonaty ubiera się zwykle w to, co przygotuje mu żona. Jeśli nie powiesi na krześle czegoś zgodnego z temperaturą na dworze, jeśli nie powie, co ma włożyć na siebie, on ubierze się w to, co miał na sobie wczoraj, albo w pierwszą rzecz, która rzuci mu się w oczy lub wpadnie w rękę, gdy otworzy szafę. Zwykle wkłada to, co wisi na krześle od wczoraj. To reguła. Mówię o przeciętnej, a nie o wyjątkach, których szafy pełne są garniturów i krawatów we wszystkich odcieniach. Uczy się samodzielności tylko wtedy, gdy zostaje sam, gdy mieszka oddzielnie, ale u nas wciąż, jak proporzec, przechodzi z rąk jednej kobiety do innej. Ukształtowany został przez matki, babcie, nianie,

kochanki i poprzednie żony. Ma pięćdziesiątkę, a wciąż w pewnych sprawach jest dzidziusiem.

Mój mąż miał trudne warunki, jego matka na szczęście nie zajmowała się nim przesadnie, mieszkał sam w akademiku, musiał więc nauczyć się wielu rzeczy. Rano sprawdza, jaka jest pogoda, i ubiera się zgodnie z jej wymogami. Jeśli jednak ochłodzi się, znajdzie słońce, włoży na siebie coś cieplejszego dopiero, gdy zacznie pociągać nosem i kichać. Czasami mówię wtedy: „Włóż sweter”, a jaka jest odpowiedź? Słyszę wasz chór wołający: „Nie w tej chwili” albo że jest mu ciepło. Mówi tak, bo czuje się upokorzony, że sam na to nie wpadł. Ponieważ jednak nie mam natury Wielkiej Wychowawczynie, zwykle rzucam mu sweter, a on go wkłada na siebie i sprawa załatwiona. Dyskusje, mówienie, że się przeziębii, nie dają rezultatu, najwyżej mogę usłyszeć: „To j a się przeziębii, a nie ty”, która to uwaga jest niepozbowiona słuszności. Odpowiadam: „Ale to j a będę musiała się wtedy tobą zajmować”. I tak toczy się pozbawiona sensu rozmowa, aż do sakramentalnego: „Sam sobie poradzę, zajmij się swoimi sprawami, chyba masz coś do roboty”.

Ponieważ należymy do małżeństw rozmawiających, a ja bywam ciekawa, spytałam go kiedyś, co sądzi na ten temat. Odpowiedź, jaką dostałam, była prosta: chodzi o ergonomię, o to, by mieć „czasowy luz”, by mieć go pod ręką, gdy znajdzie potrzeba.

Dla własnego dobra powinien umieć zadbać o siebie. Oprócz uwarunkowań biologicznych to nadopiekuńczość kobiet powoduje, że samotny mężczyzna żyje krócej, bo gdy umiera jego matka lub żona, która wykonywała za niego całą robotę, zostaje bezbronny. Powiedzmy więc, że przez zbyt dużą opiekę kobiet żyje jeszcze krócej. To samo badanie wykazało, że mąż pracujący (prawda, że ta zbitka używana jest

rzadko, prawie nigdy, podczas gdy pracująca żona jest mocno zakorzeniona w języku), nawet jeśli jest ekstremalnym pracoholikiem i spędza w firmie osiemdziesiąt godzin tygodniowo, nie ma żadnego wpływu na zdrowie żony.

Dzieje się tak dlatego, że kobieta jest zwykle odpowiednio przygotowana do samodzielnego życia przez matkę i jeśli nie jest ciężko chora, nie wymaga od męża żadnej pomocy czy opieki. Stereotypowe słodkie kobietki, które mężczyźni noszą na rękach przez kałuże, otulają pledami, gdy zawieje wiatr, służą mydleniu oczu. Prawda jest taka, że kobieta jest wytresowana, jest twarda, musi sobie poradzić, bo nie ma nikogo, kto się o nią zatroszczy. W tym przejawia się dramatyczna asymetria związku, kalecząca psychikę kobiety, powodująca poczucie zniewolenia. To jest właśnie brak autonomii.

Mężczyźni, mimo że to często on się broni przed formalizowaniem związku, opłaca się żenić, bo leży to w jego najlepiej pojętym żywotnym interesie. Kobiecie powinno być obojętne. Paradoksalnie jednak to właśnie kobiety, wciąż jeszcze, choć już rzadziej, prą do przypięczętowania ślubem luźnego, wolnego związku.

W cieniu męża

„Jak jabłoń wśród drzew leśnych, tak ukochany mój wśród młodzieńców. W upragnionym jego cieniu usiadłam, a owoc jego słodki memu podniebieniu”* - mówi Oblubienica.

W tym miejscu docieramy do sedna sprawy, do istoty tego, co jest najważniejsze w przyszłym związku. Najwięk

* Pnp 2,3.

szym pragnieniem kobiety, zgodnie z biblijnym przekazem, jest bowiem siedzenie w cieniu mężczyzny. Taka jest, a przynajmniej powinna być, jej rola, powinność, i jakkolwiek na samym początku godów, wabienia i rzucania uroków mężczyzna chce słuchać głosu swej synogarliczki, to jednak czas takiej łaskowości trwa krótko.

W Księdze Przysłów nie ma już romantycznego, namiętnego ognia.

„Niewiastę dzielną któż znajdzie? Jej wartość przewyższa perły”.

„Rynna ciekąca stale w dzień dżdżysty, podobna do żony swarliwej”*.

Tak właśnie, według Pisma, w Księdze Przysłów, przedstawiona jest kobieta, dobra żona, rzadsza niż perła, cenniejsza niż klejnoty. Dobra żona jest rzadka, w odróżnieniu od wspaniałych, dobrych mężczyzn, dzielnych i mądrych, jak możemy się domyślać, niewinnych, wodzonych na pokuszenie od rajskich czasów przez Ewę, skazanych na płochość niewieścią, na jej przyrodzone zło. Działalność męską możemy obserwować, śledząc historię wojen, brutalnego zabijania, niewolnictwa, gnębienia, ale wszystko, co złego robią mężczyźni, według Pisma jest winą kobiety.

Dlaczego matka płacze?

Dziedziczymy po matkach sposób postępowania, ciągle wybaczenie. Pamiętam, jak matka, zwykle cicha, zamykająca się w sobie, kiedy ojciec smagał ją swoją złośliwością, nagle wstała od stołu i wyszła z domu. To zdarzyło się tylko raz. Ojciec nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nie wiedział, co

***Prz 31,10; 27,15.**

robić. Potem ja wybiegłam z domu, zobaczyłam matkę idącą ulicą i płaczącą. To był dla mnie wstrząsający widok. Byłam za mała, żeby coś postanawiać, by myśleć wtedy o własnej przyszłości, o jakimś mężczyźnie, z którym kiedyś będę; dotąd zawsze chciałam, żeby to był ktoś podobny do mojego ojca. Nie mogłam myśleć o tym, że nigdy nie pozwolę, by ktoś mnie poniżył. A jednak ten widok, to zdarzenie sprzed dziesiątków lat jest we mnie ciągle obecne, i moja płacząca matka, z opuszczoną głową, wciąż idzie ulicą Sienkiewicza, skręca w Asnyka i staje tam, w pobliżu basenu przeciwpożarowego. Wyciera nos białą chusteczką, udaje, że ma katar, żeby ludzie nie widzieli, głównie kobiety, które wychodzą z warzywnego sklepiku na rogu, po schodkach w dół. Ja stoję w odległości, nie podchodzę do matki, nie ściskam jej, nie całuję, chociaż to właśnie chciałabym zrobić. Patrzę, a żołądek zjeżdża mi windą w dół, boję się, podejrzewam straszną tajemnicę.

Od tamtego dnia nic nie było już takie jasne i słoneczne. Dzieciństwo zostało zmaćcone.

Pisałam o tym w powieści, kreowałam, opisywałam wprost w dzienniku, nic nie pomaga, nie mogę i nie chcę pozbyć się tej sceny. Wtedy po raz pierwszy poczułam aż tak silny związek z matką, silniejszy niż z ojcem, którego zawsze podziwiałam bardziej niż matkę. Nie rozumiałam, co mogło być między nimi takiego, co spowodowało, że matka, zawsze wyważona, panująca nad sobą i nad naszym życiem, straciła do tego stopnia swój spokój.

Przecież wiedziałam, że tych dwoje ludzi, ojciec i matka, bardzo się kocha, więc jak doszło do tego, że ojciec zranił matkę? Co ona mu zrobiła?

Matka wyciera twarz, oczy, nos. Chowa białą chustkę w rękawie. Wyszła z domu bez torebki, tak jak stała, w samej sukience, bez zakietu? To się nie zdarzało.

Podniosła głowę. Wyprostowała plecy. Odwróciła się i zaczęła szybko iść w moją stronę. Stałam jak zahipnotyzowana, pewnie chciałam zrobić się przezroczysta, ale zauważyła mnie, wzięła za rękę i powiedziała, nie wiedziałam, czy do siebie, czy do mnie, odezwała się z wielką mocą, jednym jedynym słowem: NIGDY-

A jednak wracam

Matka wróciła. I ja wracam. Powtarzam sobie słowo: NIGDY. Zaczynają się wtedy te słynne, znane nam wszystkim, drogie siostry, ciche dni. Znane nam, kobietom. Ciche dni powodują, że rozpamiętujemy wszystkie dawne niedobre zdarzenia, wszelkie upokorzenia, wszystko to, czego nikomu nie możemy opowiedzieć. Wtedy nie odzywamy się, nie chcemy rozmów, nie zadajemy przyjaznych pytań, żeby nasz partner mógł wykazać się swoją erudycją. Nie podtrzymujemy kontaktu. Tak. Nie. Kup, zadzwoń. Ja kupię, ja zadzwonię. Przyjeżdża twoja matka. Zajmij się nią. Ja wracam o piątej. Mała satysfakcja, że sam będzie musiał zająć się uciążliwą dla ciebie osobą, jego matką, tą, która tak go wychowała. Przecież ona też jest kobietą. Niech siedzą sami, ja wychodzę, nawet dobrze, że nie będę jej musiała obsługiwać. Wyjeżdżam. NIGDY.

Otóż kiedyś w przypadkach nagłych kłótni nigdy nie wyjeżdżałam, ale wiedziałam, że mogłabym. Stosowałam własne techniki przetrzymywania. Wyobrażałam sobie, jak ubieram się, pakuję swoją małą walizkę, wkładam treneczki podróżny, idę na dworzec, mimo że nienawidzę podróży, wsiadam do pociągu byle jakiego, jak w tej piosence, która zbliżyła mnie do autorki słów i do wykonawczynie. One obie wiedziały, o czym to jest. Teraz mam takie miejsca, gdzie

mogę uciec. Mam też wreszcie swój pokój, w którym mogę się zamknąć i przeczekać.

Siedzę w nim i czekam. Czasami można doczekać się przeprosin, to dobrze, choć nie o nie chodzi. Niekiedy na-bzdyczenie się nasila. On mnie nie chce zrozumieć, to i ja go nie rozgrzeszę. Po paru godzinach jednak zaczyna się pojednawczy ton. Może byśmy coś zjedli, wypili, gdzieś poszli, parę uwag, kto zatelefonował, powolne rozładowanie, chwila na temat korespondencji, która przyszła.

Nareszcie padają pojednawcze słowa: „Przecież nie możemy się tak głupio kłócić”, „O co właściwie poszło?”, „O ten cholerny remont?”, „Nie, o to, że w ogóle nie słuchasz, co ja mówię”, „O to, że nie mogę się do ciebie odezwać...”. „Przecież wiesz, że ja bez ciebie...”, „No i co z tego, że wiem, skoro jest, jak jest”, „Nie myśl, że dam się wpędzić w poczucie winy”, „Nie myślę, przecież wiem, że to niemożliwe”. Po tej ostatniej kwestii może znów dojść do wybuchu, więc jeśli chcę się już pogodzić, mówię to sobie w myśli. Zaraz jednak dociera do mnie, że zbyt wiele zdań wypowiadam w myśli, że za długo czekam, zanim wydukam, o co mi chodzi, a przecież potrafię gadać, jestem odważna, nie boję się mówić, co myślę, a jednak coś mnie powstrzymuje. Skąd te cugle? Czy to uczucie, które zaczyna do mnie docierać, czy fakt, że nie chcę być z nikim innym mimo wszystko? Przejaśnia się.

Zmienia się ton, jakim do siebie mówimy. To zwiastun porozumienia.

Zaraz zaczyna się rozmowa, w której rozumiemy się jak nikt z nikim, gadamy jak najęci, śmiejemy się, także z samych siebie, trzeba opowiedzieć sobie o tym, co działo się podczas tego duchowego rozstania, czujemy się, jakbyśmy spotkali się po długiej podróży.

Robi mi się wstyd, że płakałam jak matka, zamiast wstać, wyjść i zachować się tak, jak on to potrafi: zamknąć się; u siebie i czytać gazety albo powieść sensacyjną, albo położyć się i zasnąć. Przespać ten zły czas, to zdrowiej. Nie umiem uciekać tak całkowicie, tym się różnimy. Myślę, że mnie, drogie siostry, rozumiecie, różnimy się mianowicie od-mężczyzn zdolnością do rozpaczyci z powodów, z których oni nigdy nie rozpaczają. Mogą rozpaczać, gdy zachorujesz albo umrzesz, ale nie dlatego, że ty im powiesz coś takiego, co ich upokorzy. Wtedy się wściekają, ale nie pogrążają w rozpaczyci. Bo różnica tkwi także w zdolności do upokarzania i w tym, że ci wszyscy nasi faceci uważają, że mogą, że mają prawo rozstawiać nas po kątach; nasi mężowie, czasami też i kochankowie, chociaż to rzadziej, bo w końcu bierzemy sobie i c h p o to, by odetchnąć świeżym, nowym uczuciem, uciec od zgredliwych mężów. Gdy jednak jest się tą trzecią, on ma żonę i dzieci, a romans za długo trwa, wlecze się latami, wtedy doznajemy upokorzeń, być może większych niż we własnym stadle, i nagle z romansu robi się bardzo nieudane małżeństwo.

Matka i syn

Nazywam więź matki z synem archetypem wszystkich późniejszych więzi, ponieważ sędzę, że ten rodzaj bliskiego kontaktu obejmuje więcej niż tylko obcowanie matki i dziecka. Myślałam kiedyś, że jeśli kobieta rodzi córkę, ma wrażenie, jakby wiedziała o niej wszystko, pamięta bowiem siebie, kiedy była dzieckiem, małą dziewczynką, dziewczyną, zna także siebie jako dorosłą kobietę. Jest jej ciekawa, gdy sądzi, że będzie od niej inna.

Myliłam się, gdyż różnice charakterologiczne bywają niekiedy większe niż różnica płci. Chodzi jednak o moje głębokie przekonanie o wewnętrznym podobieństwie córki do matki. Płeć jest głównym, choć nie jedynym, miernikiem tego podobieństwa. Tego rodzaju pamięć siebie, nawet niezwerbalizowana w myślach, daje głęboką wiedzę o dziecku, niekiedy równie nieuświadomioną jak wiedza o sobie, niekiedy zaś wiedzę tajemną, ukrywaną głęboko przed nawet najbliższym otoczeniem. Matki lękają się córek, ponieważ boją się tego, co zawsze ukrywały, co siedzi głęboko, a córka poprzez podobieństwo do matki może ujawnić jej tajemnicę.

Rodząc córkę, matka czuje się trochę tak, jakby rodziła samą siebie. Córka dla matki jest jeszcze jednym ogniwem w żeńskim łańcuchu ciągłości. Chłopiec natomiast to urodzona przez nią tajemnica, zagadka, jaką niesie ze sobą inna płeć. Nie mam córki, a więc nie wiem, czy moje przekonanie jest udziałem wielu kobiet, czy też myślą zgoła inaczej.

Kobieta, która powiła tajemnicę

Kobieta, która rodzi syna, rodzi więc tajemnicę. Tak jak jedna z najśłynniejszych, o ile nie najśłynniejsza matka świata, symbol wszystkich matek, idea, punkt odniesienia.

„Z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem, w pierw nim zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego. Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem sprawiedliwym i nie chciał narazić Jej na zniesławienie, zamierzał oddalić Ją potajemnie. Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: «Józefie, synu Dawida, nie bój się

wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło**.

„W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasteczka w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja. Anioł wszedł do Niej i rzekł: «Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą, błogosławiona jesteś między niewiastami». (...) Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus.

Na to Maryja rzekła do anioła: «Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?» Anioł Jej odpowiedział: «Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym»

W religii chrześcijańskiej Matka Boska, czyli Przenajświętsza Maria Panna, została powołana przez Boga do urodzenia jego syna, realnie cielesnego, jednocześnie zaś najbardziej wysublimowanego duchowego bytu, właśnie dlatego, że tylko obdarzona żeńskością istota mogła urodzić zagadkę, tajemnicę, jakiej dociekać będą przez wieki wyznawcy religii. Uważam, że było to bardzo mądre posunięcie. Sfeminizowanie wiary poprzez uwznioślenie, podniesienie do rangi symbolu roli matki umożliwiło kobietom głębszą identyfikację z wiarą właśnie poprzez postać boskiej oblubienicy.

Gdyby Jezus powstał jako klon swego ojca, wiara katolicka nie byłaby tak niezwykle pociągająca dla kobiet, ponieważ dzięki temu doceniona została ich rola jako matek. Pod

*** Mt 1,18-20. ** Łk 1,26-28; 31; 34-35.**

ległość Marii Panny, jej bezwarunkowe posłuszeństwo, mimo lęku o własną przyszłość, jest zgodne z oczekiwaniem podporządkowania się kobiety męskiemu Bogu, choć to, co miało się wydarzyć, było trudne do zniesienia dla niej, a jeszcze trudniejsze musiało być dla Józefa, który nie chcąc jej „osławić”, próbował jednakże ją potajemnie opuścić. Gdyby nie ingerencja boskich sił, gdyby nie anioł we śnie, mówiący: „Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło”*, gdyby nie interwencja nadprzyrodzonych sił, mielibyśmy do czynienia z samotną matką, i może byłoby to lepsze dla świata niż zachowywanie pozorów ojcostwa.

Józef nie musiał być posłuszny, miał wybór, Maria musiała, choć jej cięża była realna i widoczna. Inni bogowie, Grecy, buddyjscy, rodzili się na inne, bliższe legendy, baśni czy mitu sposoby. Maria musiała przybliżyć ludziom boskiego syna poprzez jego realne narodzenie, ludzką postać, wychowanie, dorastanie i wreszcie realistyczną, choć uwzniośloną później śmierć.

Tradycja judeochrześcijańska wciąż uważa kobietę za niegodną pełnienia obowiązków kapłańskich, rabin także teraz, w dwudziestym pierwszym wieku, nie podaje ręki kobiecie, bo mogłaby mieć akurat menstruację, a wtedy ów kapłan stałby się nieczysty.

Gdyby religia katolicka nie nadała kobiecie żadnego uduchowionego znaczenia, zostawiając ją całkiem poza męską Trójcą Świętą, bez uświęconego żeńskiego wizerunku, mogłaby spotkać się z oporem, z chęcią wyzwolenia spod dominacji męskiego Boga, co - jeśli spojrzeć na wielowiekową

*Mt 1,20.

niewolę kobiecą - byłoby zresztą korzystne. Poprzez wprawienie matki Boga powstał u kłopot pomiędzy niewiastą a boskością. Między mężczyzną, spełniającym po cichu, w tajemnicy wolę boską, a kobietą tej woli posłuszną.

Na synodzie w Efezie Maria została uznana za Bogurodnicę. „Istniała nawet sekta kollyrydianów, którzy czcili Marię jak starożytną boginię. Kult ten rozprzestrzenił się przede wszystkim w Arabii, Tracji i górnej Scytii i znalazł oddźwięk w szczególności wśród kobiet” - pisze Jung. Kapłanki w uroczyste dni składały Marii ofiarę z chleba, po ofiarowaniu następowała uczta ofiarna. Pozdrawiano się: „Cześć Marii, Ojciec, Syn i Duch Święty niech będą uwielbieni”, inaczej niż „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego” (pisząc *Pawilon małych drapieżców*, zastanawiałam się nad tym, moja bohaterka Bogumiła pytała: a gdzie Matka Boga?).

Ojcowie Kościoła nie mogli pozwolić na kult kobiety, w Księdze Kapłańskiej powiedziano wszak o kobietach: „płeć niestała i do grzechu skłonna, o umyśle płochym i nader ograniczonym”. A więc „Marii nikt nie powinien tak wielbić”. Uważam, że ponieważ katolicyzm wielbi Marię, kościoły są wciąż jeszcze pełne. Głównie kobiet. Kobiety modlą się, rozmawiają z Bogiem, skarżą mu się. Można tu strawestować Becketta, którego bohater musiał „gadać do siebie, bo do kogóż by innego”. Gadać do Boga, bo do kogóż by innego. Bóg milczy, ale ma prawo do milczenia, jest przecież bytem duchowym. Czasami bywa bliższy niż cielesny mąż, milczący inaczej niż Bóg, gdyż często jest to wrogie milczenie. Kobieta wierzy, że Bóg jej wysłuchuje, może po wielekroć powtarzać tę samą modlitwę; kontakt kobiety z Bogiem jest mało egoistyczny. Inny niż męski.

Gadanie swarliwej żony u Salomona zostało bardzo delikatnie przyrównane do kapiącego deszczu. Ortodoksyjni znawcy Pisma twierdzili, że wszystko, co złe, wzięło się z rozmowy Ewy z wężem. To jej „nikczemna mowa” spowodowała całe zło, jakie spadło na świat. Może więc lepiej z nią nie rozmawiać? Nikt nie zastanawia się, dlaczego Adam nie interweniował, nie sprzeciwił się. Uległ, jak bezrozumny, choć wiedział, że skosztowanie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego jest zakazane, bo Bóg tego zabronił. Gdzie podziła się jego mądrość, jego siła?

W średniowieczu lekarze w Hiszpanii wierzyli, że kobieta może mężczyźnie zaszkodzić samym swoim głosem, operując słowami, brzmieniem głosu w taki sposób, że facet dostaje pomieszania zmysłów i trzeba biedaka leczyć.

Interpretacje rajskiej sceny bardzo przydały się do wytłumaczenia, dlaczego należy gnębić kobietę, trzymać ją w ryzach, deprecjować jej indywidualność, wtłaczając do ogólnej kategorii wszelkiego zła. Jednak chrześcijaństwo nie ma monopolu na nienawiść do kobiet, poczucie wyższości wobec niej ma globalny zasięg.

Bardzo często w radach dojrzałych mężczyzn, starych ciotek lub matek udzielanych synom przewija się motyw dziecka: zrób jej dziecko, dobrze by było, gdyby urodziła dziecko, jak będziecie mieli dziecko, zajmij się nim i przestaniesz zamęczać cię gadaniem. Dziecko ma być antidotum dla mężczyzny na kobiece gadanie.

Okres godowy

Daleko idące podobieństwo dokładnie przystających do siebie dwóch połówek jabłka ma sugerować nam, że obie połówki mają równe prawa. Założenia małżeństwa opartego na równości praw i obowiązków są jednak tyleż szlachetne, co nierealistyczne. Prawdopodobnie dotyczą wyłącznie seksu i siły uczucia, jakim obdarza się dwoje ludzi. On kocha ją tak bardzo jak ona jego, lecz jak zmierzyć czy zważyć to uczucie, nie wiadomo. W kręgach konserwatywnych miary są w dalszym ciągu tradycyjne, w jej/przypadku jest to gotowość do „poświęcenia się” dla niego, w jego zaś - wysokość konta. Bardzo często związek opie\ a się na porozumieniu hormonów brany za złotą monetę uczuć, które później, po właściwym rozpoznaniu, owocują trwałym zniewoleniem obu stron. Mówimy tu bowiem o poczuciu zniewolenia, a nie o niewoli rzeczywistej.

Poczucie zniewolenia u mężczyzny, mimo swobód zachowanych w małżeństwie, może być niekiedy większe niż u kobiety. Wynika to z zaszłości, jaką jest swobodne wychowanie chłopca i surowe wychowanie dziewczynki. Dopiero od niedawna związki równoprawne spełniają się, a i to w szczególnych warunkach. W środowisku inteligenckim, wśród zamożnych artystów czy ludzi biznesu, a więc wśród elit, kiedy mąż i żona mieszkają oddzielnie, oboje mają dobrą pracę, własne pieniądze, prowadzą osobne gospodarstwo, a więc są w pełni niezależni. Dopóki nie pojawi się dziecko. Ono cofa równe prawa i przywraca tradycyjne wartości rodzinne. Nawet najbardziej nowoczesni mężczyźni w takim momencie robią krok do tyłu. W tej grze kobieta jest bez szans. Ktoś musi zająć się maleństwem, jej partner z pewnością nie rzuci pracy.

Są feministki, które nie wierzą w instynkt macierzyński. Nie będziemy tu rozważać, czy on istnieje, czy nie. Być może jest to tylko skorupa, nawarstwienie kulturowe, które każe kobietom uważać, że posiadają macierzyński impuls, a może tylko imperatyw kategoriyczny, który sprawia, że muszą zająć się dzieckiem, kochają je, i ta miłość jest wystarczającym uzasadnieniem, by rzucić pracę. Byłyby urażone i głęboko nieszczęśliwe, gdyby uświadomić im, że są ubezwłasnowolnione przez mężczyznę, a miłość do dziecka jest wyłącznie racjonalizacją niewoli, w którą wpadły.

Ja nie przyjmuję „opresji” jako czynnika, który spowodował, że chciałam mieć dziecko. Nie zamierzam nikomu niczego udowadniać. Chciałam, mam, nie czułam się do niczego przymuszona, nikt nie wywierał na mnie nacisku, nie był to także przymus ani podstęp, który nazwałam kiedyś w swojej książce „najstarszym podstępem świata”, czyli łąpanie na brzuch. Byłam już od czterech lat mężatką, studiowałam, mój mąż także, rodzice*sądziili, że powinniśmy być lepiej urządzeni, że mąż powinien mieć przynajmniej doktorat, zanim pomyślimy o dziecku. Była to nasza wspólna suwerenna decyzja, a kiedy okazało się, że jestem w ciąży, miałam wrażenie, że zdarzył się cud.

Nad łóżkiem dziecka

Nad łóżkiem dziecka pochyła się młoda kobieta. To jego matka. Wyrzuca z siebie słowa: potoki, rzeki, morza, kaskady, wodospady słów. Śmieje się, żartuje, opowiada o świecie. Mówi, gdy delikatnie budzi dziecko do karmienia. Gdy niemowlę otwiera oczy, od razu dowiaduje się, co zdarzyło się w domu, co widać za oknem, jakie odgłosy słyszą z oddali, matka opowiada o ludziach, dźwiękach, kolorach,

pociągach, samochodach, samolotach na niebie, o podróżach.

Tego rodzaju gadanie często nazywane jest słowotokiem, niekiedy bywa chorobliwe. W dziewiętnastym wieku była nawet jednostka kliniczna zwana logoreą. Z pewnością jednak nie mamy do czynienia z takim przypadkiem wówczas, gdy matka mówi do dziecka. Takie gadanie jest ze wszelkich miar pozytywne, więcej, jest wręcz konieczne.

W różnych okresach proponowano model zimnego wychowania dziecka, postulowano odbieranie chłopców matkom i wychowywanie ich na żołnierzy. Faszyzm, komunizm, starożytne społeczeństwa wojny potrzebowały twardych i nieczułych ludzi walki. Rycerzy, kadetów^wojowników Legii Cudzoziemskiej. Nie chciały matek nad\łózczeniem, kobiet, piastunek, które ulegają zachciankom, kaprysom dziecka płci męskiej. Były metody wychowawcze stroniące od piastowania, przytulania, gadania do niemowlęcia. Zamiast tego trzeba było umieć słuchać dziecięcego płaczu bez emocji, stosować metody walki z dzieckiem, po to, by nie zawładnęło rodzicami. Oczywiście nie można popaść w przesadę, nie wolno pozwalać na wszystko. Jednak przekonanie, że najważniejsze, żeby małe dziecko było najedzone i miało sucho, pozbawia je ciepła. Chłód nie jest dobrym wychowawcą. Taki błąd może mścić się na całym późniejszym życiu dziecka. To, że jest najedzone i ma zmieniane pampersy, nie wystarczy, bo dziecku, od urodzenia, niezbędny jest kontakt werbalny.

Współczesna nauka, jej gałąź nazywana neurologią kognitywną, szuka neurofizjologicznych podstaw pamięci, percepcji, przetwarzania danych. Okazuje się, że pierwszy rok życia dziecka jest okresem najważniejszym w rozwoju mózgu.

Takie było czysto intuicyjne przekonanie mojej matki, która wciąż powtarzała: „do roczku dziecku wszystko wolno”, i wychowywała mnie zgodnie z tą zasadą. Tę samą radę dawała mnie i mojemu mężowi, gdy urodził się nasz syn, mówiła, że nie wolno go karcić, obrażać się, mieć mu za złe, że płacze. Twierdziła, że trzeba wciąż do niego mówić. Nie przyjmowałam rad matki, byłam zbuntowana, ale w tym przypadku uważałam, że ma rację, a gadanie do małego wy-
niknęło w sposób całkiem naturalny, spontaniczny, od jego pierwszych godzin na świecie. Wcale nie musiałam się tego uczyć. To samo obserwowałam w domach przyjaciół, którzy w tym samym czasie wychowywali swoje dzieci. Wszystkie młode matki już przy pierwszym dziecku gadały do niemowlęcia, nie zwracając uwagi na to, że przecież osesek jeszcze nic nie rozumie. Mężczyźni w tamtych, nie tak dawnych w końcu czasach, włączali się do rozmów z dzieckiem dopiero wtedy, kiedy potrafiło już mówić, operowało słowami i pojęciami.

Uczeni zajmujący się badaniem zdolności twierdzą, że przeciętna ilość słów, usłyszanych dziennie w okresie niemowlęctwa, determinuje późniejsze osiągnięcia, gdy się do dziecka mówi, lub ich brak, gdy pozostawione jest samo sobie. Gdy nie ma wystarczająco dużo kontaktu werbalnego. Co więcej, uważa się, że inteligencja dziecka kształtuje się lepiej, gdy czuje przyjazny, ciepły stosunek osoby, która do niego się zwraca. Jeśli nastawimy DVD z nagraniem głosem, efektu pozytywnego nie będzie. Wymagana bowiem jest już wówczas interakcja. W okresie niemowlęcym budują się nowe połączenia między neuronami. Mózg zdolniejszych ma więcej połączeń niż mózg mniej zdolnych. A zaczynają się te połączenia między komórkami nerwowymi właśnie wtedy, gdy matka pochylona nad łóżkiem dziecka mówi do niego,

objaśnia mu świat, mimo że wydawałoby się, iż ono jej nie rozumie. Półroczne dziecko zaczyna już rozpoznawać język ojczysty. -

Zajmująca się tymi ciekawymi badaniami Patricia Kuhl, neurolog z Uniwersytetu Waszyngton w Seattle, twierdzi, że mózg niemowlęcia „dosłownie czeka na bodźce z zewnątrz, będą one determinujące dla przebiegu połączeń neuronów. Do niedawna nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wcześnie się ten cały proces zaczyna”.

Na szczęście matki, babcie, nianie - a więc kobiety wychowujące dzieci, opiekujące się nimi od kołyski, wiedziały o tym od wieków. Nie zdawały sobie jedynie sprawy z ważności tego, co robią, i z błędów, które łatwo popełnić.

Monolog czy dialog?

Każdego dnia miliony kobiet na świecie mówią do dziecka. Te matki, które mają możliwość wychowywania niemowlęcia, przebywania z nim, mówią do niego bez przerwy. Czasami, gdy nadejdzie pora snu, mowa przeradza się w śpiewaną kołysankę.

To monolog czy dialog?

Nie jest to monolog, ponieważ matka wpatruje się w twarz dziecka, bada jego reakcję, widzi zadowolenie, buzię wygiętą w podkówkę, sennie opadające powieki. Dopasowuje głos do min dziecka, do jego języka, bo niemowlę odpowiada swoim językiem. Gulgocze, grucha, naśladuje mowę matki, choć nie potrafi sklecić słowa. Czasami dziecko wścieka się, gdy dźwięki, jakie wydaje, nie są mu posłuszne. Chce przekazać informację, a matka nie może zrozumieć, o co mu chodzi. To wszystko są próby kontaktu, rozmowy bez słów, niezbędne do opanowania języka. Matka

wysłuchuje się w to gaworzenie i usiłuje odgadnąć sens. Szybko uczy się „języka” maleństwa.

Badania z dziedziny psychologii rozwojowej wykonane przez Betty Hart i Todda Ridleya objęły czterdzieści dwoje dzieci z różnych rodzin, z różnych środowisk. Badano je od narodzin do trzeciego roku życia właśnie pod kątem ilości zdań, jakie wypowiadają do nich rodzice, w większości oczywiście matki. Okazało się, że matki czy rodzice uprawiający wolny zawód kierują do dziecka dwa tysiące sto słów na godzinę, w rodzinach robotniczych tysiąc dwieście słów, w bezrobotnych sześćset. Wydawać by się mogło, że ludzie bezrobotni, dysponujący wolnym czasem, poświęcą więcej godzin na kontakt z dzieckiem. Niestety, chyba nawyk oraz znaczenie rozmowy doceniają jednak inteligenci. Mamy do czynienia ze zjawiskiem dziedziczenia nie tylko biedy, ale i nawyków. Gdy po ukończeniu trzeciego roku zbadano dzieci testami rozwojowymi, dzieci inteligentów, ludzi o wolnych zawodach, znacznie wyprzedzały dzieci robotników oraz bezrobotnych. Zdecydowały wcale nie warunki materialne, lecz kontakt werbalny.

Matka nie zaniedbuje żadnej okazji, by mówić. Mówi do dziecka, szczęśliwa, że znajduje słuchacza. Mówi bez lęku, że zostanie wyśmiana, tak jak to zwykle bywa, gdy odezwie się w towarzystwie, a mąż natychmiast prostuje jej słowa, przerywa, by nie doszło do kompromitacji; partner uważa, że ona nie powinna się odzywać, nie zna się na ważnych sprawach.

Kiedyś, gdy jeszcze był dzieckiem, słuchał swej matki, ale potem wyzwolił się z tego. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, kiedy nastąpił przełom, moment, w którym chłopiec przestaje słuchać, co do niego mówi matka. A może słucha matki, a pogardza tym, co mówią inne kobiety? Skąd bierze

się różnicowanie między matką a żoną? Kto zrobił błąd? Czy to matka nastawia źle syna do innych kobiet? Uważa go za półboga, dla którego nie ma odpowiednio dobrej partii? Przecież to jej syna dziedziczy inna kobieta, przyszła żona przejmuje go jak puchar przechodni. Czy syn, który otrzymał prawidłowe wychowanie, był przez cały czas pod opieką kochającej matki, jest gorszym partnerem niż zaniedbywany w dzieciństwie albo wręcz chłopiec osierocony, poniewierający się po domach dziecka, pozbawiony miłości matczynej? Czasami wydaje się, że tak właśnie jest i że to zaborcze matki, nazywane niekiedy toksycznymi, ponoszą całą winę za charakter mężczyzny, a więc i za to, w jaki sposób urządził on świat. Zazdrość jest motorem działania. Często matka mówi o synowej do przyjaciółki: „zabrała mi syna”, to właśnie znaczy, że uznawała go za swoją własność, albo: „syn mi się ożenił”, jakby wpadł w złe towarzystwo, zachorował, zaczął ćpać.

Carl Gustav Jung pisze, że często spotyka się matkę, „której zdaje się zupełnie nie zależeć na tym, by jej syn stał się mężczyzną, i która, niezmordowana i pełna ofiarnej troski, nie zaniedbuje niczego, co jej synowi mogłoby przeszkodzić na drodze do osiągnięcia męskości i w poślubieniu innej kobiety. Oglądamy tajemną znowę między matką a synem i widzimy, jak pomagają sobie nawzajem, by oszukać życie”.

Takie przerysowane groteskowe pary istnieją. Znamy je wszyscy. Potem groteska zmienia się w tragedię. Syn przyswaja sobie cnotę wierności, wpajaną niestrudzenie przez interesowną matkę. Jung nie używa słowa „toksyczna” dlatego, że to pojęcie nie było wówczas jeszcze w modzie. Tego rodzaju matka opętała syna tak bardzo, że dochowuje on jej wierności, można powiedzieć ostatecznej, i staje się homo

seksualistą. Jung pisze, że robi to na jej cześć. Matka odczuwa z tego powodu świadomie „największą troskę”, lecz jej nieświadomość ukrywa „mityczne zadowolenie”. Oto „realizuje się równie prastary, co przenajświętszy archetyp zaślubin matki z synem”. Ta matka zawsze ma o czym rozmawiać z synem, nigdy nie zabraknie im tematu.

Czytając Junga, czuje się jego lęk przed kobietą, wszechmocną wiedźmą, manipulującą własnym dzieckiem z czystego egoizmu, po to, by przywiązać je do siebie, zawiązać ponownie supeł na przeciętej podczas porodu pępowinie i nie oddać światu, czyli innej kobiecie.

Najgłębiej ukryty pierwiastek kobiecy matki obejmuje przeklętą część jej nieświadomości. Jest to rodzaj tragicznej duszy, która rządzi jej działaniami w sposób nieświadomiony, a więc całkiem pozbawiony skrupułów, jakie towarzyszyłyby myślom matki, gdyby sobie samej uświadomiła noszony głęboko ładunek chęci zadania bólu własnemu dziecku. Nic nie mówi o samotności porzuconej lub pozostawionej samej sobie kobiecie.

Grzech śmiertelny duszy matczynej

Najgorszą cechą kobiecości, uśpionej dopóty, dopóki na świecie nie pojawi się syn, jest jej zaborczość. Następne pytanie, które pojawia się zgodnie z logiką w tym łańcuchu odpowiedzialności, brzmi: Kto ponosi winę za zaborczość matki, za jej złe nastawianie chłopca do świata kobiet i za fałszywie pojętą ochronę przed „tymi wszystkimi strasznymi kobietami, które tylko czyhają, by złapać mojego syna w swoje pazury”?

Odpowiedź brzmi: UKŁAD.

Układ, w którym ona wyszła za mąż za mężczyznę, nieprzygotowanego przez matkę do życia w partnerskim związku. Wychodowany według starych reguł, nie szanuje żony, nie uważa jej za pełnoprawną partnerkę, sądzi, że jest głupsza od niego, że ma mniej do powiedzenia. Dlatego ona wychowuje syna dla siebie. Jeśli natomiast wbrew woli matki syn trafi na silną kobietę, pełniącą ważną rolę społeczną, mówi się, że jest zdominowany oraz niemęski. A mówią tak również kobiety.

Na razie, gdy dziecko jest małe, panuje pełna harmonia między matką a synem. Matka mówi o świecie, o jego dobrej stronie.

Żyjemy wszyscy w bajce, oby jak najdłużej, myśli matka w głębinach niedostępnej, własnej świadomości. Dziecko odpowiada, mimo że poszczególne dźwięki połączone w sylaby są całkowicie pozbawione semantycznego sensu, matka odnajduje w nich znaczenie.

Gaworzenie dziecka ma wiele odcieni. Wyraża zadowolenie z sytości, gniew, że odstawiono je od piersi, żal, że matka znikła tak nagle, senne marudzenie, głędzenie niemowlęcia może być także zwykłym ćwiczeniem, wyrażającym samozadowolenie z tego, że umie się wydawać głos. Do tego dochodzi lęk po przebudzeniu się w ciemności, nieprzyjemne uczucie zbyt długiego leżenia w mokrych pieluchach.

Jeśli dziecko wychowywane jest przez inną kobietę, babkę, nianię, opiekunkę, i jeżeli one do niego mówią, wtedy dziecko uznaje krewną lub całkiem obcą osobę za swą matkę, tak jak mały prosiak bierze za sutek matki pierś suki, której został podstawiony.

Gdyby matka lub ktoś inny, zwykle inna kobieta, babka, niania, opiekunka, nie mówiła do dziecka, ono nigdy nie

nauczyłoby się mówić. Matka poświęcająca wiele czasu i uczucia dziecku może liczyć na jego właściwy rozwój, na właściwy rozwój liczy również ojciec, jednakże liczy także na to, że żona, babcia lub niania się tym zajmą.

Puffinus puffinus

Burzyki północne, *Puffinus puffinus*, to ptaki morskie, rurkonose. Ciemnobrązowe, prawie czarne upierzenie, brzuch jasny. Są duże, długość ich ciała dochodzi do metra, a rozpiętość skrzydeł wynosi około dwóch metrów. Latają nad powierzchnią morza albo oceanu. Mieszkają na wyspach i na stromych nadbrzeżach, gdzie zakładają kolonie. Ich gniazda bywają otwarte, czasami, gdy nie ma warunków, gnieźdzą się w norach.

Samica składa tylko jedno, bardzo duże jajo. Charakterystyczne dla burzyków jest to, że jajo wysiadują oboje rodzice. Gdy wykluje się pisklę, karmią je również na zmianę, raz ojciec, raz matka.

Oboje więc uczestniczą w wychowaniu małego i doprowadzeniu go do samodzielności. Uczeni brytyjscy, obserwujący zachowanie burzyków, zauważyli pewną bardzo ciekawą różnicę w sposobie karmienia pisklęcia. Otóż matki przynoszą zawsze tyle ryb czy skorupiaków, ile trzeba, by zaspokoić głód dziecka. Mały burzyk krzyczy, domaga się jedzenia, a matka po jego głosie, długości krzyku, jego mocy, może jakichś innych parametrach, rozpoznaje, czy głód małeństwa jest większy, czy mniejszy. Natomiast ojciec nie słucha nawoływania swego głodnego dziecka, przynosi zawsze tyle samo jedzenia.

Widzimy więc, jak funkcjonuje model partnerski w ptasim stadle. Samiec nie słucha pisklaka, samica jest zawsze

czujna, odpowiada na potrzeby dziecka. On ma ważniejsze sprawy na ptasiej głowie, jest nastawiony bardziej egoistycznie; nie wiemy, czy po prostu nie słyszy, czy nie jest wyposażony w umiejętność słuchania. Czy też słyszy, a nie kojarzy.

Większość ojców w rodzinach ludzkich postępuje podobnie. Dobry mąż i ojciec kupuje z kartką, którą napisała mu żona, rzadko dodaje coś od siebie, wykazuje sztywność, ma utarte szlaki, ścieżki między regałami, z których nie zbacza, złości się, jeśli na liście znajdują się rzeczy, których jeszcze nie kupował i nie wie, na której półce stoją.

Wyobraźmy sobie nowoczesne, a więc już nie całkiem przeciętne, partnerskie stadło: mąż, żona, dwoje dzieci, oboje rodzice pracują, ich zarobki są podobne. Ojciec pomaga w domu, istnieje podział obowiązków. Prawie w każdym z takich związków żona i matka kupuje rzeczy potrzebne dzieciom do ubrania, podręczniki szkolne, przybory do nauki. Ona kupuje także ciuchy dla męża, zna rozmiary i posiada wszystkie informacje konieczne, by rzecz pasowała.

Nasz domowy *Puffinus puffinus* nie zdaje sobie sprawy z tego, że buty dziesięciolatka po roku są już zbyt ciasne. Czasami, gdy dzieciak wyjątkowo szybko rośnie, nawet po pół roku. Dziwi się, że wciąż trzeba kupować nowe ciuchy, że wydatki na dzieci pochłaniają tyle pieniędzy. Czy on naprawdę nie może jeszcze trochę ponosić tych adidasów?, pyta za każdym razem dobry ojciec, który wykazuje choćby tylko takie, nikłe zainteresowanie małymi dziećmi. Zwykle o nic nie pyta, bo tak banalne sprawy dzieją się poza nim.

Ergonomia małżeńska

W pierwszej fazie związku, gdy seks i namiętność odgrywają dużą rolę, mąż kupuje żonie ciuchy. Niektórzy mężczyźni lubią ubierać kobiety. Dzieje się tak wówczas, kiedy jej bielizna go rajcuje albo gdy żona ma talię, którą on może objąć dłońmi. Wszystkie kobiety dobrze pamiętają, co dostały od mężów. Mężczyźni potrafią kupować piękne rzeczy, dobrze dopasowane. To nieprawda, że nie umieją. Po prostu nie robią tego, bo eliminują tego rodzaju sprawy jako zbędne, twierdząc, że się nie znają. Wiedzą dobrze, co nam się podoba, i gdyby tylko chciało im się pomyśleć... Jednak im się nie chce. To się nie opłaca.

Do dziś pamiętam dzinsową sukienkę, którą mój mąż przywiózł mi z wyjazdu naukowego do Finlandii. Leżała, jakby na mnie była szyta. Moje wymiary miał w oku. Pamiętam, jaka byłam zdziwiona tym prezentem. Jaka szczęśliwa! Pomyślał, poszedł do wielkiego domu mody, wybrał z gustem, a do tego odpowiedni rozmiar. Takie rzeczy jednak nie zdarzają się często. My się nie dziwimy, kupując im wszystko, od czapek, poprzez koszule, krawaty, swetry, spodnie, garnitury, aż do skarpetek, że wszystko na nich pasuje. To przecież normalne. Ja sama przyjmuję to jako rzecz całkiem naturalną. Zawsze poświęcałam sporo własnego czasu, żeby ubrać dziecko i męża. Tak jak wy, drogie siostry. Oni nie odpłacają nam tym samym, bo nikt nigdy od nich tego nie wymaga.

Przyuczylili nas tym swoim ciągłym: „ja nic nie chcę, nie muszę, mam już dwie koszule, po co mi trzecia”, i temu podobnymi dyrdymałami powtarzanymi w milionach domów na całym świecie. To ich prywatna ergonomia, jak najmniej wysiłku w sprawach, które się nie liczą, nie są najważ

niejsze. Zwykle ergonomia dotyczy pracy i jak najlepszego przystosowania się do niej, żeby przy najmniejszym wysiłku osiągnąć maksymalny efekt i nie uciepieć umysłowo i cielesnie. Jednak małżeńska ergonomia mężczyzny polega na możliwie najmniejszej ilości zajęć, a szczególnie na unikaniu tych, których nie lubi.

Kobieta z konieczności stosuje zasady ergonomii w pracach domowych, bo chodzi jej o to, by zrobić jak najwięcej w jak najkrótszym czasie, żeby udało się wyrwać choć godzinę dla siebie. Mężczyzna odwrotnie: z czasu dla siebie wykrawa godzinę na roboty domowe.

Trudno obliczyć, ile czasu trwało, zanim zaczęliśmy razem kupować. To prawda, że do tego trzeba mieć trochę grosza, umieć wybierać i pracować nad tym, żeby facet nie dziwił się bez przerwy, ile wszystko kosztuje. Musi zrozumieć, że wygląd też się liczy, nawet wygląd uczonego. Gdy mój mąż wyjeżdżał w latach PRL-u na konferencje naukowe, sztab pracował na jego wygląd. Wanda, artystka krawcowa, uszyła na moje błaganie trencz z tropiku, gdy leciał do Nowego Jorku, mimo że w zasadzie brzydzi się krawiectwem męskim. A raz nawet aktor Pieczyński - ciekawe, czy o tym pamięta? - pożyczył mu eleganckie buty, bo wiadomo było, że już na lotnisku poznaje się Polaków po butach wołających o pomstę do nieba. Ci, którzy jeździli po świecie, nauczyli się także używania dezodorantów, dobrych kremów do golenia, a nawet męskich perfum. Może nie tyle oni się nauczyli, ile żony ich nauczyły. Pracowały nad tym, żeby nie musieli się wstydzic.

Tego samego uczą, z wielkim trudem, swoich synów.

Samice ludzkich *Puffinus puffinus* wiedzą bowiem, czego trzeba nie tylko pisklęciu, ale i ojcu pisklęcia. Idzie to

z trudem, ale idzie. Dziś są już mężczyźni, którzy lubią kupować ubrania. Sama widziałam biznesmena, który układał na szklanym blacie koszule, a na nich krawaty. Dopasowywał, zmieniał wzory, kolory. Kiedy już wydawało mi się, że to niesamowicie samodzielny facet, przyszła żona, skrzywiła się na fioletowy krawat, na kremową koszulę i ułożyła wszystko od nowa. A ten facet, wyglądający na prezesa jakiejś dużej firmy, milczał potulnie, uszy po sobie i grzecznie mierzył, co mu podała. Ta wybierała bez względu na cenę, on miał platynową kartę i nie interesował się cenami, ale w trochę innym sensie niż przeciętni mężowie. Dla niego nic nie było za drogie. Status to dobry samochód, rolex na nadgarstku i szelest pieniędzy w nieznoszącym sprzeciwu głosie kobiety. To była żona - specjalistka od wizerunku męża, jego PR.

Może ta warstwa kremu, śmietanka bogatych w społecznym torcie, jest już dość gruba, ale większość ciągle jest ciastem biszkoptowym, o ile nie kruchym spodem.

Niektóre żony przez całe wieki okłamują mężów nie tylko co do cen swoich ciuchów, ale także cen tego, co im kupują. Gimnastykują się, odkładają, oszczędzają na sobie, żeby on miał spokój, którego potrzebuje. Robią to samo, co robiły matki ich mężów, ciągną ten łańcuch z męską kulą u nogi, zamiast jasno postawić sprawę od samego początku. Tak, oczywiście, wiem, że tak powinno być, ale gdyby to było proste, gdybym umiała zamilknąć, gdy trzeba, a kiedy trzeba, walić prawdę prosto w oczy, ta książka nigdy by nie powstała, bo nie byłaby mi do niczego potrzebna.

Tymczasem ja, tak jak i wy, drogie siostry, wiele lat milczałam, kiedy trzeba było mówić, a mówiłam, gdy powinnam milczeć. Stąd bierze się cały małżeński ambaras, stąd także

tabuny facetów, którzy nie mają zielonego pojęcia o cenach, nie wiedzą, że są przez żony ubezwłasnowolnieni jak ociążałe umysłowo dzieci. Tymczasem prawie każdy mąż potrafi kupować, pod warunkiem że ma taką możliwość.

Dojrzała para

„WINNIE: Biedny kochany Willie - tylko spać - duża rzecz - też bym tak chciała (...) Nie nie, nie mogę narzekać, nie powinnam narzekać - powinnam być wdzięczna - tyle dobrodziejstw. -1 to jakich! Nie, na nic, więc może te modlitwy, rano i wieczorem. Willie! Hop, hop! Tylko nie zaśnij tam znowu, kochany, bardzo cię proszę, możesz mi być potrzebny. Nie, nie, nie ma pośpiechu, bylebyś tylko znów mi tam nie przysnął. Włóż kalesony, kochanie, spieczesz się. Nie? Aha, masz jeszcze trochę tego preparatu. Tylko dobrze się natrzyj, kochany, a teraz z drugiej strony. No, zapowiada się szczęśliwy dzień! (Pauza. Szczęście na twarzy gaśnie. Opuszcza okulary z powrotem na nos i wraca do malowania ust. WILLIE rozkłada gazetę: po obu stronach jego głowy ukazują się górne części pożółkłych stron; ręce pozostają niewidoczne)“*.

Na ziemi porośniętej spaloną słońcem trawą widzimy parę ludzi w średnim wieku, żyjących ze sobą już wiele lat. Oprócz nich, aż po horyzont - pustka. Nie widać żywej duszy. Wygnani z raj, uratowani z potopu, samotni, jak para,

* S. Beckett, *Szczęśliwe dni*, w tehoz: *Dramaty*, przeł. A. Libera, Warszawa 2002.

która przetrwała w arce Noego. Modelowa para ssaków, idea związku dwojga ludzi płci przeciwnej. Z pewnością jest to małżeństwo uchodzące za dobraną parę. Za taki związek uważa się zwykle dwoje ludzi żyjących kilkanaście lub kilkadziesiąt lat pod jednym dachem. To ci, którzy mają cierpliwość lub nie wiedzą, że można żyć inaczej, chcą i potrafią przetrwać kryzysy. Zwykle mieszkają we własnym domu lub mieszkaniu, uwili sobie gniazdo razem, stopniowo kupowali potrzebne i niepotrzebne rzeczy, stworzyli klimat, jaki odpowiada obojgu, wiele czasu spędzają w fotelach lub na kanapach, grzejąc się przy ognisku domowym, którego symbolem może być kominek.

Płeć samotności

Gdy po zawarciu formalnego związku kobieta i mężczyzna zamieszkają we wspólnej przestrzeni, sentymentalnie nazywanej gniazdkiem albo ogniskiem domowym, zaczyna się proces przystosowania, wzajemnego lub jednostronnego „przycierania rogów”. Dorosłe osoby, których wychowanie zakończyło się już dawno temu, muszą wyzbyć się nawyków, przyzwyczajzeń, uzależnień lub przyzwyczaić do nich partnera, muszą wychować się wzajemnie dla wspólnego dobra. Następuje stopniowa weryfikacja wyobrażeń o wspólnym życiu, krystalizacja pojęć i tęsknot.

Dwie dotąd pojedyncze, zindywidualizowane samotności dodają się do siebie, tworząc nową jakość: samotność pary. Dobra znajomość odruchów, zachowań, zgadywanie życzeń - w czym celują żony - studiowanie psychiki, z roku na rok pogłębiania wiedza o stanach depresyjnych czy maniakalnych partnera, o jego przewlekłych chorobach i lekarsztwach, jakie powinien brać, przewidywalność pytań

i odpowiedzi, znoszenie wymownego lub roztargnionego milczenia, umiejętność omijania problemów, to wszystko brane jest niekiedy, fałszywie, za bliskość.

Analizowanie charakteru mężczyzny, jego potrzeb, kaprysów, apetytów po to, by go obłąskawić, utrzymać przy sobie, bywa wówczas głównym zajęciem kobiety, ważniejszym niż jej praca zawodowa. Statystyki pokazują, że jest to główny powód ucieczki od małżeństwa ambitnych, robiących karierę kobiet. Te dziewczyny zachowują się tak jak mężczyźni, nie chcąc się wiązać: wolą wyczerpującą pracę niż podległość i ciągłą gotowość zajmowania się mężczyzną.

Pies Baskerville'ów po udanej akcji

Z punktu widzenia własnego zdrowia mają rację. Za związek małżeński kobieta płaci drożej niż jej partner. Jak czytamy w dziale „Nauka” („GW” 4 sierpnia 2000), psychologowie z Ohio State University College of Medicine zbadali 90 par nowożeńców. Przez pół godziny pary miały rozmawiać o swoim małżeństwie. Podano tematy: teściowie, pieniądze, ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. Często podczas tych rozmówek małżeńskich dochodziło do kłótni. Psychologowie mierzyli poziom kortyzolu we krwi. Kortyzol jest hormonem odpowiedzialnym za poziom stresu, podnosi się we krwi tylko podczas silnych emocji negatywnych. Dr Janice K. Kiecolt-Glaser, psycholożka badająca pary, liczyła także ilość przymiotników używanych podczas rozmowy - pozytywnych bądź negatywnych, uważając, że im więcej jest określeń dobrych, tym lepsze jest małżeństwo. Oczywiście dla osoby, która tymi pozytywnymi określeniami się posługuje. Okazało się, że podczas rozmowy u mężów obniżył się poziom kortyzolu. Nie obserwowano wzrostu

poziomu hormonu stresu także wówczas, gdy związek się sypał. Nawet gdy było już bardzo źle, mężczyźni nie tracili humoru. Nie podnosił się im poziom fatalnego hormonu, nie stresowała ich sytuacja, nie wpływało to na ich stan zdrowia. Kiedy mówiono o zapalnych kwestiach, poziom kortyzolu u mężów spał spokojnie jak pies Baskerville'ów po udanej akcji.

U kobiet - przeciwnie. Co prawda rzadziej używają negatywnych określeń, ale gdy już ich użyją, poziom kortyzolu we krwi podnosi się natychmiast. „Wynika z tego, że kobieta zachowuje się w małżeństwie jak barometr. To po niej przede wszystkim widać, czy w związku dzieje się coś złego. I to ona bardziej cierpi z powodu stresu” - mówi Janice K. Kiecolt-Glaser.

Te badania psychologowie powtórzyli w dziesięć lat po ślubie. Prawie wszystkie pary zgodziły się wziąć udział w badaniu. Okazało się, że różnice między żonami a mężami nie zmieniły się. Większość kobiet, które były bardzo wrażliwe na negatywny wizerunek swojego małżeństwa, te, którym bardzo wzrastał poziom kortyzolu, była już rozwódkami.

Analizując wyniki tych badań, dotykamy spraw najważniejszych: zdrowia, a nawet życia. To, czego się dowiadujemy, pozostaje w sprzeczności ze statystyką dotyczącą długości życia. Dlaczego kobiety, które reagują silniej, żyją dłużej, a mężczyźni, wydawałoby się, znacznie pogodniejsi, żyją krócej?

Sądzę, że przyczyną mogą być znacznie większe stresy, na jakie narażony jest mężczyzna, pełen ambicji zawodowych, niekiedy zresztą wyśrubowanych, w miejscu pracy. Dom, rodzina, gadanie kobiety, jej pretensje, na ogół słuszne, nie stresują go, bo się nie liczą. Jest egoistycznie nastawiony, choć uważa, że robi wszystko dla rodziny. Żona mało

go obchodzi, po prostu uczy ją omijać trudne tematy. To jest właśnie to, co nazywam tresurą, można też określić ten rodzaj męskiego zachowania praniem mózgu. Nawet bez użycia słów, humorami, minami, gestami mąż daje do zrozumienia żonie, że nic nie osiągnie w ten sposób. Pewnie dlatego kobiety manipulują mężami: wydaje im się, że osiągną to, czego pragną „nie wprost”.

Komu to się opłaca?

Na największy stres narażone są niepracujące zawodowo żony, te, które nie mogą oderwać się od problemów, wciąż tkwią wyłącznie w życiu męża, tak jak Winnie, symbolicznie zakopana po pas w piachu. Inne badania nad małżeństwami dowiodły, że jeśli kobieta pracuje więcej niż czterdzieści godzin tygodniowo, jeśli jest zajęta, pochłonięta pracą i karierą, stan zdrowia jej partnera zwykle się pogarsza. Socjolog z uniwersytetu w Chicago, prof. Ross Stolzenberg, zbadał przez trzy lata około trzech tysięcy żonatych mężczyzn. Ci, których żony nie pracowały lub nie pracowały długo, nie poświęcały pracy wiele czasu i uwagi, byli zdrowsi niż mężowie pracoholiczek. Wiadomo przecież, że w większości związków to kobieta dba o czystość mężczyzny, pierze jego rzeczy, prasuje, mówi mu, że się ochłodziło, więc należy się ciepło ubrać. Wiadomo, że mężczyzna ubiera się na ogół w to, co wisi na krześle, co zdjął z siebie wczoraj wieczorem. Napisałam o tym pół żartem w jednym z felietonów, jednak ilość listów, jakie potem dostałam, potwierdzających to z całą powagą, była zadziwiająca. Winnie troszczy się przez cały czas o zdrowie Williego, żeby nasmarował się kremem, osłaniał od słońca, zauważa czyrak na jego szyi. Nie dostaje za

to nic w zamian. Żadnej troski. Znają to prawie wszystkie żony. Oczywiście w sytuacjach ekstremalnych, podczas ciężkiej choroby, zwykle kobieta może oczekiwać pomocy. Na ogół jest to jednak sytuacja ostateczna, choroba stwierdzona przez lekarzy, powodująca, że kobieta jest przykuta do łóżka, niedołączna. I tu jednak zdarzają się rozstania, mąż nie wytrzymuje słabości żony, musi odejść albo przynajmniej znaleźć sobie inną opiekunkę. W normalnych warunkach żona musi sama dbać o siebie, nie ma tu symetrii.

Tak jak w badaniach, nie ma i w życiu żadnej równoległości, długość pracy mężczyzny nie wpływa w żaden sposób na zdrowie kobiety. Może wpływać jedynie na rozwód, gdy żona sądzi, że to nie praca go pochłania, lecz inna kobieta, albo gdy ma po prostu dość samotności i braku życia rodzinnego, bliskości, wspólnoty. Zaczyna szukać i znajduje przyjaciela.

„Wiem, czego mogę się po nim spodziewać” - mówi kobieta. „Wiem, czego mogę od niej oczekiwać” - myśli mężczyzna. „Wiesz, że tego się po tobie nie spodziewałam” - mówi żona, gdy mąż ją czymś zaskoczy. „Nie sądziłem, że się do tego posuniesz” - wyraża zdziwienie mąż. W związku, w układzie jest bowiem także miejsce na zaskoczenie. Nawet jednak nieprzewidywalność staje się z czasem obłaskawiona. Oswojona, przewidywalna. Każda z par określa to inaczej, posługując się własnym kodem: Robert znów miał swój odlot, Kasia całkiem odbiło, miała dół, jak w zeszłym roku. W taki sposób mówią bohaterowie małżeństwa. Kasia spakowała manatki i wyjechała nagle, zostawiając Roberta, który miał właśnie swoje pijackie, tygodniowe tango albo zaćpał.

Plamy na słońcu małżeńskim

Regularne kryzysy są zjawiskiem występującym w krajobrazie małżeńskim. Mają swój rytm, częstotliwość, pulsowanie. Podobnie funkcjonują cykle w przyrodzie. Katastrofy, pożary, powodzie, trzęsienia ziemi, niby nieprzewidywalne, a jednak można je przeczuć lub wywnioskować z badań, na przykład na podstawie plam na Słońcu, wiatrów wiejących od gór, zachowania zwierząt lub za pomocą odpowiednio czulej aparatury, wykrywającej wstrząsy sejsmiczne czy erupcje wulkanów.

Kryzysy małżeńskie powstają z nawarstwienia problemów, z niedopowiedzeń, z omijania pewnych spraw, o których nie wolno mówić głośno. Czasami jest to prawdziwe, plemienne tabu, którego przekroczenie może prowadzić nawet do śmierci, jeśli sposobem załatwiania problemów małżeńskich są rękoczyny. A dochodzi do nich wcale nie u ludzi z „marginesu” czy w środowiskach kryminogennych, taki sposób ucinania sprawy bywa również metodą w rodzinach inteligentnych. Dobrze wychowany mąż, lubiany w towarzystwie, ceniony w firmie umie bić tak, żeby nie pozostawić śladów na ciele, a zostawić je głęboko w psychice.

Dlatego część zalęknionych kobiet boi się odezwać. Nie tylko jednak milczą te bite czy kaleczone psychicznie w wyjątkowo okrutny sposób, milczą także i te, które chcą utrzymać związek, a wiedzą, że jedynym sposobem jest milczenie na pewne tematy.

Nie wolno pytać, rozważać, dochodzić do prawdy w celu oswojenia śmierci kogoś bliskiego, ojca, matki, brata; nie powinno się mówić o chorobie, zdradzie, kalectwie, narkomanii syna lub córki. Pod groźbą zepsucia nastroju. A zepsucie nastroju może prowadzić do kryzysu. Zwykle jest tak, że mąż nie chce słuchać o trudnych sprawach, uważa, że roz

drapywanie ran nic nie daje, że i tak nic się nie poradzi, lepiej więc zająć się czytaniem gazety lub oglądaniem meczu niż wałkować temat. I te właśnie odrzucone tematy utwardzają się*, nakładają na siebie jak słoje drzewa, na pewien czas zapewniają twardość pnia, ale gdy stan taki trwa zbyt długo - drzewo próchnieje.

Jeśli nie będę poruszała tych tematów, mój mąż będzie miły i będziemy mieli spokój, myśli żona, lecz nie znajduje spokoju wewnętrznego, bo pozory spokoju nie przynoszą ukojenia, a rana w środku wciąż się paskudzi, gdy tymczasem wiadomo, że „przegadanie” problemu, zanalizowanie go, oczywiście bez wałkowania godzinami, podzielenie się myślami, ewentualnie też odpowiedzialnością, daje dobre efekty. To rodzaj pomocy psychologicznej, jakiej mogą sobie wzajemnie udzielić partnerzy. Bywa, że kobieta zwierza się przyjaciółce, jednak zawsze wówczas pojawia się gorzki osad: dlaczego mogę jej o tym powiedzieć, a nie mogę rozmawiać o tym z nim? Kto w końcu jest mi najbliższy? Zaczynają się spekulacje: skoro mogę obejść się bez niego w takich ważnych dla mnie sprawach, to może w ogóle mogę być sama albo z kimś innym, z kim będę mogła mówić o wszystkim, co jest bolesne.

Ciche przestrzenie

„Tak mało jest rzeczy, o których można mówić, że mówi się o wszystkim. O wszystkim, o czym można. I ani słowa w tym prawdy” - mówi Winnie spokojnie, już bez rozpacz, po prostu przyjmuje ten zastany układ jako optymalny. Jeśli były kłótnie, wypaliły się już. Spokój panuje na tej pustyni, choć jest to ten rodzaj paraliżującego spokoju, jaki ludzie zwykle przeraża, przerażał także każdego z małżonków,

zanim jeszcze rozpoczęli wędrówkę przez wspólną pustynię, cichą przestrzeń. Podwójny letarg, klincz psychiczny.

Samotność każdego z osobna ma płęć, samotność mężczyzny różni się od samotności kobiety. Wspólnie tworzą coś w rodzaju podwójnej, osamotnionej bliskości na tratwie, na pełnym morzu albo w okopach. Mąż i żona są „okopani”, tak właśnie jak Winnie i Willie: ona unieruchomiona, zakopana po pas, on może się poruszać, lecz z tej możliwości nie korzysta.

Tym prostym zabiegiem Beckett odróżnia uwikłanie kobiety od męskiego. Niekiedy mówi się, że para „zakopała się” za murami, „ukryła się przed światem”, jak w piosenkach o zakochanych. Dwoje ludzi zrobiło to, pozbywając się osobistych przyjaciół sprzed małżeństwa. W początkach związku wydaje się, że nikogo więcej, prócz ewentualnych dzieci, nie potrzeba do pełni szczęścia. Zajęci sobą, powiększoną rodziną, gromadzeniem dóbr, domem, nie zauważają, że wyeliminowali po kolei najpierw wszystkich znajomych, potem przyjaciół i tym sposobem sami siebie na siebie skazali.

Maski i maseczki

Zwykle bardziej zniewolona jest kobieta, która nie pracuje zawodowo, zajmując się wyłącznie domem. Choć można przypuszczać, że gdy zostaje w domu, osłonięta parawanem własnej samotności, może zrzucić maskę, jaką przybiera, świadomie lub nieświadomie, w obecności mężczyzny. Nawet nakładając dla relaksu albo wygładzenia zmarszczek kosmetyczną maseczkę na twarz, rozluźnia mięśnie napięte ciągłym byciem w gotowości. Tak więc bycie samą w czterech ścianach nie jest wcale aż tak dotkliwie, jak się wydaje,

pod warunkiem że kobieta ma świadomość wolności, czasu, jaki może wygospodarować tylko dla siebie.

Mężczyzna pracujący do popołudnia nie ma takich godzin. Wraca do domu, gdzie czeka na niego żona z obiadem, i nawet jeśli przebiera się w domowe rzeczy, nie potrafi zrzucić napięcia, oddać się rozmowie z żoną. Chce uciec od niej tak samo jak od stresującej pracy. Nie zna technik innych niż zasłanianie się przysłowiami już gazetą, meczem lub filmem. Zresztą odpoczywa przy meczu, bo zainteresowanie wiadomościami z gazet czy też sportem jest prawdziwe, bardziej autentyczne niż rozmowa z kobietą, o której już wie wszystko, a przynajmniej sądzi, że wie. I nie jest jej ciekawy, bo ta wiedza nie jest mu do niczego potrzebna. Codziennosc przymusowej obecności świadka, jakim jest żona, ciąży mu bardziej niż jej. Milczenie jest kojące, potrzebne, pod warunkiem jednak, że nie pełni roli pisistoletu przystawionego do głowy: uważaj, jeśli poruszysz ten temat, pociągnę za spust! A jednak ważnych tematów nie można zastąpić nerwowym gadaniem o niczym.

Jeśli mężczyzna uchodzi za dobrego męża, stopniowo także traci kontakty z dawnymi przyjaciółmi, przysłowioowymi kolegami z wojska, i zakopuje się w czterech ścianach domu z żoną, która już dawno zrezygnowała ze spotkań z przyjaciółkami.

Para na parę

Na początku, od razu po ślubie para młodych ludzi może nawet prowadzić bujne życie towarzyskie, może urządzać szalone przyjęcia, na które zaprasza swych osobistych dawnych przyjaciół i znajomych. Stopniowo jednak odrzuca się tych, którzy „nie pasują” do nowego podwójnego wizerun

ku. Najserdecniejsza przyjaciółka czy najlepszy przyjaciel nie utrzymają się, jeśli są zagorzałymi zwolennikami życia w pojedynkę albo nie potrafią dostosować się do statecznej pary. Z latami bowiem nawet najbardziej ekscentryczne pary „statecznieją”. Te szalone mają potem co wspominać. Winnie wspomina jakieś epizody z życia narzeczeńskiego, jakby to były zdarzenia z egzotycznej podróży.

Wspólni znajomi muszą być dobrani odpowiednio do pary. Obowiązuje symetria. Spotkania towarzyskie, prośzone kolacje odbywają się według specjalnego klucza, wzorca stworzonego na potrzeby tej właśnie pary i podlegają ściślejszej symetrii: wczoraj byliśmy u Andrzejów, dziś Andrzejowie przyjdą do nas. O zaproszeniach na kolacje czy wizyty typu para na parę mówi się nawet w zadawniony, staroświecki sposób, zachowując patriarchalny styl, w którym dwie osoby występują pod jednym wspólnym imieniem męskim. Zamiast „luźnych” kolacji urządzi się biznesowe party, na które zaprasza się szefów i kolegów z firmy.

Tego rodzaju męczące, obowiązkowe spotkania były utrapieniem Sylvii Plath i Teda, jej męża. Byli Sułtanowie, Merwinowie, potem jeszcze inni przyjaciele Teda, przy których on ją upokarzał, by zmusić do działania, by przebudzić jej kobiecość, żeby wreszcie zaczęła robić to, co robią one wszystkie. No więc zrobiła cytrynowy tort, podała kawę. I wreszcie goście poszli. „Koniec z wymuszonymi uśmiechami i męczącym zdumieniem: dlaczego nie idą do domu?”

A potem zgodnie z tą potworną symetrią jest jeszcze rewizyta, trzeba iść, siedzieć i gadać nie z tym, z kim by się chciało, i nie o tym, o czym by się chciało. Jakie więc to szczęście, gdy szaleje śnieżycyca, w południe i wieczorem, i „z ulgą odwołaliśmy podwieczorek na U. of. Mass. i kolację ze znajomym Teda o imieniu Antoine. Nie wiem, skąd Ted

ich bierze. Danny W. i Than M., i Dan H, i David R., wszyscy ślą z Londynu potulne, żalosne listy pełne uwielbienia, wszyscy skrępowani, grzebiący butem w ziemi, użalający się, żadnej wewnętrznej mocy czy dyscypliny - ich demony są blade i bezkształtne". To Ted dobiera przyjaciół, to jego znajomi. Syh/ia wszystkich zostawiła za drzwiami, gdy wyszła za niego, mimo że była przecież poetką, pochodziła z tego samego uniwersyteckiego środowiska, w którym obracał się Ted.

Bezimienna kobieta

Kobiety w towarzyskich układach zostają pozbawione własnego imienia, tak jak ślub pozbawia je panieńskiego nazwiska, które, jak słusznie zauważyła Jolanta Brach-Czaj-na w *Błonach umysłu*, jest także nazwiskiem męskim, jakie przyjęła matka. Czy więc zawarcie małżeństwa, w którym do dziś kobieta przyjmuje nazwisko męża za swoje, nie determinuje jej podporządkowania? Dziś kobiety często dodają nazwisko mężowskie do swojego, bywa też, że zostają przy swoim, jednak to zdarza się rzadko, gdy kobieta zrobiła wcześniej karierę i jest już znana pod swym nazwiskiem. Ponieważ istnieje rodzaj konkursu na dobrą partię, więc kobiety wyróżnione w owym konkursie czują się lepsze, a przynajmniej wydaje im się, że górują nad tymi, które zostają bez pary, nawet jeśli tamte wybrały życie w pojedynkę. Dlatego być może uważają, że cena milczenia w sprawach niewygodnych lub przymilnego zagadywania męża, zadawania mu pytań na temat rzeczy, które ich nie interesują, nie jest wygórowana. Cenę za polectanie ego żony spłacają w ratach. Codziennie, dzień

po dniu, a mimo to dług się nie zmniejsza, a odsetki rosną. Dochodzi do paradoksalnego pomieszania: płaci się prywatnie za fasadowy wizerunek dobranej pary na większym lub mniejszym forum publicznym.

Licytacja samotności

Żona pracująca ma, tak jak jej mąż, podręczny zestaw zachowań. Oboje używają innego sposobu zachowania poza osobiście wzniesionym murem małżeńskiego getta, innego zaś, siedząc na kanapie przed włączonym telewizorem, w centrum domu zazdrośnie chronionym przed niepowołanymi spojrzeniami. Po powrocie z pracy do domu oboje przywdziewają wygodne, stare, luźne rzeczy; zestaw domowy. Wówczas grają w innej sztuce niż ta, nieco koturnowa, oficjalna, zafaszowana, rozgrywająca się poza domem.

Winnie i Willie odgrywają dla nas odarty z fałszu wielki teatr małżeński. Od pierwszego wystawienia *Szczęśliwych dni* w 1961 roku w Nowym Jorku widowia wybuchu w wielu momentach gorzkim śmiechem ludzi, którzy słyszą, widzą, wiedzą i czują, co się do nich mówi. Znają te dialogi, monologi, pauzy...

Znają obcość, jaka ich dzieli mimo fizycznej bliskości, ciepła bijącego od najbliższej osoby.

Willie i Winnie robią przedstawienie dla nas. Wspólnota gry zbliża aktorów i widzów. Każda para ma we własnym domu swój rodzaj maseczki, czy równie świadomej, jak ta, którą nakłada się rano, wychodząc do pracy? Bywa, że równie fałszywej. Zwykle jednak ta maska jest bardziej naturalna. Nie uwiera tak jak te oficjalne, popisowe, wkładane przy okazji pokazywania się na zewnątrz. Maski nakładane w domu niosą czasami przeczucie prawdy. Im lepsze małżeństwo, im głębiej rozumie się siebie i partnera, tym większa

jest wzajemna bliskość. Gdy dochodzi do pogłębienia kontaktów, do zrozumienia i szacunku dla inności, wtedy mniej liczy się płęć, a bardziej człowiek wewnątrz tej płci. Maską staje się niepotrzebna.

Świadomość prawdy przeziera z monologów Winnie, kiedy znużona, zapomina na moment o tym, że nie wolno mówić o pewnych sprawach. Zachowuje się jak dziecko, skrobiące skutą mrozem szybę, by zobaczyć, jaki jest za nią świat.

Eksplozja w czterech ścianach

Beckett, odzierając dwoje ludzi z ich niepotrzebnego sztafażu, pokazał tę modelową sytuację w sposób symboliczny. Pozbawił ów u k ł a d mieszczańskich bibelotów, tej scenografii małżeńskiej, w jakiej toczy się większość sztuk w realnym świecie związków. Ogromna ilość, wydawałoby się, niezbędnych przedmiotów, w jaką obrastają małżeństwa, rzeczy, które trzeba k o n i e c z n i e kupić, wielka ilość spraw, które trzeba k o n i e c z n i e załatwić, odfaj-kować, odbębnić każdego dnia, to szczególnie *horror vacui*, czyli lęk przed próżnią, przed pustym miejscem, który odwraca uwagę od istotnych, ludzkich spraw, budzących lęk, od wszystkich prywatnych małych i globalnych tabu. Gadanie o niczym, o drobiazgach, o spostrzeżeniach, po to tylko, by podtrzymać kontakt, to także lęk przed próżnią, która w ciszy natychmiast wypełni się samotnością, myśleniem o starzeniu. Zacznie się licytacja samotności: ja jestem bardziej samotna; nie, to ja jestem bardziej samotny; ty mnie w ogóle nie słuchasz, nie interesuje cię to, co mam do powiedzenia; wciąż gadasz i gadasz, nie rozumiesz, że jestem zmęczony, że muszę odpocząć, a ty ciągle mówisz, mówisz, mówisz, objaja mi się o uszy twoje gadanie, przestań, kobieto, bo

ja oszaleję; tak, oczywiście, liczysz się tylko ty i twoja praca, twoje zmęczenie, twój sen, nic innego cię nie obchodzi, ani moje cierpienie, ani choroba naszej córki, ani śmierć mojej matki, nic a nic, liczy się tylko twój święty spokój.

Tysiące takich rozmów toczy się w tysiącach domów, jeszcze więcej jednak niewypowiedzianych monologów powstaje w głowie, w teatrze, jakim jest kopuła czaszki. Tam, w mózgach, mają miejsce tysiące rozmów, jakie nigdy się nie odbyły, ze względu na brak gotowości na gorzką wiedzę o życiu, na ten drogi święty spokój, którego i tak nigdy się nie osiąga. „Nie zwracaj mi głowy, kobieto, i tak nic gadaniem nie zmienisz!” - mówi mąż do żony. Po latach mówi tak, nawet nie wypowiadając słów głośno. Wystarczy spojrzenie, gdy ona rozpoczyna swą kwestię: „Wiesz, dzwonił dyrektor szkoły, Maciek znów...” Spojrzenie, ewentualnie zdanie zamykające: „Proszę cię, nie w tej chwili, czy nie widzisz, że...”

Zepchnięty problem leżakuje, gnije, pączkuje, aż wreszcie dojdzie do eksplozji.

Dlatego, być może, kobiecie tak trudno późnym wieczorem, w łóżku, kochać się z mężczyzną. Może dlatego odtrąca go w nocy, tak jak on odtrąca ją, opędza się od niej każdego dnia. A jeżeli nawet dochodzi do zbliżenia, dzieje się tak „przez rozum” i trudno oczekiwać prawdziwego orgazmu, rozkoszy i namiętności od osoby, której psychika jest ciągle, każdego dnia poddawana tresurze. Spokój osiągnany w taki sposób zabiera ludziom radość, powoduje przyćmienie, hamuje rozwój zarówno uczuciowy, jak i intelektualny. Po kilku latach wyciszone pary obcują ze sobą na niezwykle ograniczonym polu. Tworzą się płaszczyzny wspólne, mało denerwujące, ale i mało ciekawe. Cóż prócz, pożałuj Boże, seksu możemy jeszcze robić razem, pyta samą siebie żona. Obejrzeć telewizję, ponarzekać, może kupić coś do domu?

Gromadzenie dóbr zbliża, ale zbytne skupienie na rzeczach materialnych oddala dwoje ludzi od duchowego dobra wspólnego, jakim jest bliskość, czułość, miłość. Może doprowadzić do patologicznego pokochania zakupów.

Tu, na trawiastej równinie, spalonej słońcem, pośrodku kopca, są tylko oni, każde dysponuje osobistym minimum, symbolicznym atrybutem uważanym za niezbędny.

Zakopana po pas Winnie, około pięćdziesiątki, „dobrze zachowana, w miarę możliwości blondynka, pulchna, ręce i ramiona obnażone, mocno wydekoltowana, obfity biust, naszyjnik z pereł”. Po lewej stronie bohaterki "pojemna czarna torba na zakupy", po prawej składana parasolka. W torbie Winnie ma wszystko, czego potrzebuje do codziennego rytuału: od okularów, poprzez przybory toaletowe, lekarstwa, lusterko, kosmetyki, aż po rewolwer. Kobięca torba pełna skarbów, jak pudełko, szkatułka zachowana z dzieciństwa, jest realna i potrzebna, a jednocześnie przypomina zabawę w dom.

Z tyłu, za kopcem, wyciągnięty na ziemi, śpi Willie. Beckett podaje nam jedynie informację o jego wieku. Dowiadujemy się, że ma około sześćdziesiątki. Jest więc o dziesięć lat starszy od swojej żony. Kiedyś uważano, że to najodpowiedniejsza różnica wieku.

Ważne jest to, że Willie ma gazetę, ten atrybut prawdziwego męża. Przewracanie stron, czytanie drobnych ogłoszeń towarzyszy monologom Winnie, bo są to w ogromnej mierze monologi, bardzo rzadko udaje się jej wciągnąć Williego do rozmowy, ma z tym takie same trudności, jakie co dzień na całym świecie mają żony i partnerki.

Wola zwycięstwa

Imię bohaterki Winnie jest zdrobnieniem od Winifred, Willie to zdrobniały William. Tłumacz polski, Antoni Libera, znawca Becketta, podaje, że zdrobnienia Winnie i Willie są znaczące. Winnie, a szczególnie *win* oznacza „wygrywać”, „zwycięzać”, Willie pochodzi od słowa *will*, czyli „wola”, a także „chcieć”, „mieć ochotę”. Możemy się domyślać, że to aluzje do tradycyjnej roli mężczyzny obdarzonego wola, który ma prawo chcieć. Być może jest to aluzja ironiczna, a przynajmniej można tak sądzić.

Win - wygrywać, zwyciężać, może oznaczać siłę bohaterki znoszącej swój trudny los z rezygnacją, prawie pogodą, może też nawiązywać do prowadzonych od dawna badań, z których wynika, że kobiety, mimo wielu przeciwności losu, dyskryminacji, mimo rodzenia i wychowywania dzieci, jak również pracy ponad siły, żyją dłużej, zwycięża więc ich wola przetrwania. Czy ciągłe stresy, umiejętność kompromisu - to prawda, że na ogół zgniłego - stosowanie przebiegłej dyplomacji są w efekcie fizjologicznie korzystne? A może istnieje nieświadoma, nieświadomiana twardość i rodzaj głębszego, chronionego JA, wykształcone przez wieki po to, by przetrwać? Może tam już nie docierają odgłosy ciągłej walki o wolność, bliskość, o słowa, słowa, słowa, których zawsze za mało, ciągle są wymuszane, niekiedy wręcz wyżebrane, tak jak to widać w przypadku Winnie. Bywają gadatliwi mężczyźni, jednak zwykle mówią nie o tym, co dręczy kobiety. Winnie, jak każda kobieta uchodząca za dobrą żonę, jest typową satelitką Williego. W metaforycznej, beckettowskiej sytuacji jest unieruchomiona, co symbolizuje zniewolenie małżeńskie, a jednak, i mimo to, wciąż „obiega” swego męża, wciąż troszczy się o jego zdrowie, radzi mu, by osłaniał głowę przed słońcem, zauważa każdy

szczegól, każdą zmianę w jego wyglądzie: „Co to, czyrak masz na szyi? Willie, uważaj na to, by ci się nie rozrósł”.

Pragnie bliskości, choćby jednego spojrzenia znad gazety, od czasu do czasu. Jest to relacja całkowicie asymetryczna. Egoizm i egotyzm Williego nie rokują żadnych nadziei, co nie przeszkadza Winnie wciąż na coś jeszcze liczyć. Jednak myli się ktoś, kto sądzi, że kobieta jest głupia, mało spostrzegawcza, nieświadoma tego, co się między nimi dzieje. Wielkość Winnie polega na tym, że ona wie, ma świadomość własnej tragicznej sytuacji i umie sobie z nią poradzić, umie z nią żyć.

Z jednej strony jest uzależniona od Williego jak alkoholik od wódki. Ona również, podobnie jak alkoholik, który mówi, że mógłby przestać pić w każdej chwili, gdyby tylko chciał, „mogłaby, gdyby tylko chciała”, opuścić męża. Uzależnieni jednak prawie nigdy nie próbują, a jeśli nawet, to próba „rzucenia” rzadko prowadzi do sukcesu. Natomiast Willie nie musi próbować, ponieważ ten układ zdaje się mu odpowiadać. Żona mu nie przeszkadza, nie znajduje się w polu jego widzenia, nawet jeśli fizycznie jest obecna. Nawet wówczas, gdy do niego gada, choć czasami ma ochotę ją udusić. Ona go rozumie i rozgrzesza, dobra żona jest przyzwyczajona do gwałtowności, a nawet do agresji, to wszystko minie, nie mamy na nic wpływu, ważne, żeby przeżyć dzień. Winnie wie, że nawet modlitwy nic tu nie pomogą, niczego nie załatwią, a jednak modli się codziennie, od tego zaczyna i na tym kończy każdy dzień. Modlitwa jest koniecznym zabiegiem higienicznym, jak mycie zębów. Dlatego jej dni są szczęśliwe. Szczęście Winnie zawarte jest w trwaniu, a nie w jakości życia.

„WINNIE: No, oczywiście, gdy jest się ze sobą - w ten sposób - i jedno widzi drugie, to nie wynika jeszcze z tego,

że jest odwrotnie. Życie nauczyło mnie również i tego. Tak, życie chyba, nie widzę innego słowa. No jak, Willie, dostrzegłbyś mnie stamtąd, gdybyś podniósł ku mnie wzrok? No, podnieś ku mnie oczy, Willie, i powiedz, czy mnie widzisz. Zrób to dla mnie. Nie? Trudno".

Ta groteskowa sytuacja dla niektórych ludzi może być niewyobrażalnie śmieszna, ale wiele kobiet zna to z codzienności, i to wcale nie w łagodniejszej formie. Zdarza się, że są ordynarnie musztrowane, jeśli usiłują przekroczyć barierę gadania o niczym i zacząć jakąkolwiek rozmowę istotną. To bowiem, co jest istotne w mniemaniu kobiety, nie jest istotne dla mężczyzny. W niektórych domach każda najdrobniejsza życiowa sprawa, z jaką żona zwraca się do męża, wymaga powtarzania. Zanim mężczyzna czytający gazetę lub oglądający telewizję usłyszy, co do niego mówisz, musisz powtórzyć to trzy razy. Nic dziwnego więc, że synowie wychowywani w takich rodzinach, obserwujący każdego dnia lekceważenie matki, przejmują nawyki ojca. Nie uczą się słuchać tego, co mówi do nich matka. W tym momencie, gdy są na tyle dojrzały, by rozumieć i widzieć, gubią szacunek, jaki mieli dla matki w dzieciństwie. Taki bywa wcale niezrządkiem ojcowski wkład w wychowanie.

Biblijny brak szacunku dla matki?

Najbardziej w naszym kręgu kulturowym znaczący przekaz, jakim jest Biblia, dobrze tę tezę ilustruje. Spróbujmy odczytać, w jaki sposób według Ewangelii Św. Łukasza mały Jezus, jeszcze dziecko, zwraca się do swej matki w sytuacji, w której ewidentnie zawinił.

Co roku z okazji święta wielkanocnego Maria z Józefem, wraz z krewnymi i podróznymi, wędrowali do Jerozolimy.

W wieku dwunastu lat Jezus szedł z nimi. Gdy już odbyli wszelkie nakazane praktyki religijne, wracali z Galilei do Nazaretu.- Sądził, że Jezus, ich syn, wraca z nimi. „Przypuszczając, że jest w towarzystwie pątników, uszli dzień drogi i szukali Go wśród krewnych i znajomych. Gdy Go nie znaleźli, wrócili do Jerozolimy szukając Go.

Dopiero po trzech dniach odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami. Na ten widok zdziwili się bardzo, a Jego Matka rzekła do Niego: «Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie». Lecz On im odpowiedział: «Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?» Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział”*.

To wcale nie jest dziwne, że rodzice nie zrozumieli, dla każdej matki taka odpowiedź byłaby beczelna. Czy szalejący z niepokoju rodzice są w stanie zrozumieć dziecko mówiące w ten sposób? Obserwujemy rozdźwięk między rozumem małego mędrca a jego uczuciami. Jak mógł nie powiedzieć matce, że zatrzyma się, by podyskutować z mędrkami? Czy to takie trudne? Wszystkie matki świata wiedzą, czym jest oczekiwanie na powrót dziecka, jak czują się, gdy dziecko spóźnia się, nie wraca ze szkoły, robi się późno, zmierzcha, matka zaczyna telefonować do kolegów i koleżanek. Nigdzie go nie ma. Nie raczył zadzwonić, zapomniał, dobrze się bawił, grał w piłkę albo zasiedział się w Internecie. Czasami ginie naprawdę, nie wraca na noc, a wtedy szuka się go z wojskiem i policją, przeczesuje lasy. Serce skacze

* Łk 2,44-50.

ze strachu, czy nie stał się ofiarą pedofila, czy nie wpadł pod samochód.

Dlaczego małemu Jezusowi zabrakło czułości w stosunku do matki, dlaczego nie zainteresował się jej stanem? To było okrutne doświadczenie. Czy jest to wyraz najdawniejszych przekonań, że tak należy traktować kobietę, która według najwybitniejszych filozofów, mędrców, pisarzy, poetów nie była uważana za „pełnego człowieka”? Jeszcze dziś są na świecie rejony, gdzie uważa się podległość kobiety za oczywistą, gdyż ona reprezentuje siły ciemności i zła. Nawet dziecko, jeśli to syn, ma prawo nie liczyć się z uczuciami matki. Bóg tak chce? Nie wierzę.

Gdyby współczesny dwunastoletni dzieciak, wybitnie uzdolniony, odłączył się od rodziców, nie mówiąc im dokąd i z kim idzie, naraziłby ich na niewyobrażalną traumę. To samo czuć musiała Matka Boska, mówiąc do beztrzesko siedzącego w świątyni dziecka: „z boleścią szukaliśmy cię”. I żadnych przeprosin, żadnych wyjaśnień należnych matce i ojcu, żadnej czułości, którą miał przecież dla obcych ludzi; co najmniej dziwne jest to zachowanie. Oczywiście, trzeba wziąć pod uwagę, że to Syn Boski, tym niemniej matka była kobietą z krwi i kości, a jej syn uważał, że może obchodzić się z nią w sposób oschły, szorstki, a właściwie beczelny.

W Ewangelii według Św. Jana czytamy o cudzie na weselu w Kanie Galilejskiej, na które zaproszona była Maria, matka Jezusowa, a także Jezus z uczniami.

„A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: «Nie mają już wina». Jezus Jej odpowiedział: «Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?»”*

* J 2,3-4.

W Kanie Galilejskiej Jezus, już jako dorosły, także ogania się od niej jak od natrętnej muchy: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto?” Czy to jest właściwy sposób zwracania się do matki? W taki sposób synowie po powrocie ze szkoły zwykli oganiać się od uwag matczynych. Ojej, mamó, przestań pytać, nic się nie stało, mówi syn do matki, mimo że ma rozciętą brew. W ten modelowy, można tu nawet powiedzieć archetypiczny sposób zachowują się mężowie nagabywani pytaniami przez żony po przyjeździe z pracy lub proszeni o wykonanie czegoś, co do nich należy.

Widzimy, że nawet matka Boga nie mogła liczyć na dobre traktowanie Syna Boskiego.

Czy były to błędy wychowawcze? Bóg nie popełnia błędów, ale ludzie, którzy Go interpretują, popełniają je. Opisują stworzenie świata, Adama i Ewy zgodnie ze swym przekonaniem o gorszości kobiety, a to przekonanie rozciąga się na całe wieki.

Bez gadania!

W drugim rozdziale Genesis nie znajdujemy ani jednego zdania, jakie Adam wypowiedziałby do Ewy, gdy Bóg ją stworzył niejako operacyjnie, chirurgicznie, z żebra męzczyzny. Bóg nie mówi nic, a Adam komentuje: „Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała! Ta będzie się zwała niewiastą, bo ta z męzczyzny została wzięta”*.

W tej sztuce Adam mówi „na stronie”, mówi o niej, nie do niej. Mówi o sobie, egoistycznie. Bo też jaki miałyby być powód, by zwracać się do własnego żebra?

* Rdz 2,23.

Zauważyłam ciekawą rzecz dotyczącą zakazu jedzenia z drzewa wiadomości dobrego i złego w sadzie Eden. Otóż „Pan Bóg dał człowiekowi taki rozkaz: «Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania; ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz**»*.

Zakazał człowiekowi, czyli Adamowi, którego stworzył, jeszcze przed stworzeniem Ewy. Bóg, zgodnie z relacjami biblijnymi - mężczyzna, nie rozmawiał o tym później z kobietą, a i Adam nie rozmawiał z nią także. Przynajmniej nie mamy takiego świadectwa. Czy obaj sądzili, że kobieta stworzona z żebra powinna mieć świadomość tego, o czym wie właściciel owego żebra, czy też liczyli na jej kobiecą intuicję, nie wiemy, ponieważ nie mamy na ten temat informacji, nie zachował się żaden przekaz, a jednak w następnym rozdziale dowiadujemy się, że Ewa o tym zakazie wiedziała! Kto jej powiedział i kiedy? Przecież to bardzo istotne, czy usłyszała o tym od Boga, czy od człowieka, swego męża, Adama? To zupełnie inny ciężar gatunkowy problemu. Nam księga Mojżeszowa nic w tej sprawie nie przekazuje, zupełnie jakby to było nieważne. Można się domyślać, że powiedział jej o tym pośrednik boski, a więc Adam.

Czyli jednak odezwał się do niej, przekazując informację?

Gdyby Bóg „wziął ją do sadu Eden”, tak jak to miało miejsce z Adamem, wytłumaczył, dlaczego obowiązuje ten zakaz, może byłaby mu posłuszna?

Ewa o zakazie rozmawiała z wężem, który był „chytřej-szy nad wszystkie zwierzęta”. To wąż, czyli diabeł, zwrócił się do niewiasty, był uprzejmy, a ona chciała

***Rdz 2,16-17.**

pogadać.

Życzliwą uwagę oraz kilka uprzejmych słów Ewa wzięła za dobrą monetę, drzewo miało piękne owoce, „było wdzięczne na wejrzeniu, a pożądliwe drzewo dla nabycia umiejętności, wzięła z owocu jego, i jadła; dała też i mężowi swemu, który z nią był i on też jadł”.

Żebro więc dało owoc większej całość, jaką był Adam, i on jadł bez protestu? Nie odrzucił zalotów uwodzicielskiego węża, nie przepędził go, tylko zjadł potulnie to, co mu dała Ewa. Coś tu nie gra, coś w tym micie brzmi fałszywie.

Bożek małżeństwa

Czasami jest gorzej, zamiast braku zainteresowania kobiety doświadczają upokorzeń, bywa, że stają się prawdziwymi ofiarami, mężowie znęcają się nad nimi psychicznie albo biją, wyładowując swe frustracje lub chore emocje. Winnie jest w szczęśliwszej sytuacji. Ma „dobrego męża”, kulturalnego, czytającego - choć chyba już tylko gazety - odzywającego się do niej, przynajmniej raz na jakiś czas. Zwykle kobieta - żona - powtarza wielokrotnie to samo zdanie, prośbę, zanim uzyska odpowiedź. To reguła małżeńskich kontaktów.

Gdyby Winnie przestała mówić, milczeliby oboje. Nie byłoby *szczęśliwych dni*, gdyby sama wzięła gazetę i zaczęła ją czytać, nie odzywając się do Williego. Chłód obojga nie przetrzymałby tylu lat. Jedno z małżonków musi pragnąć utrzymania związku, i zwykle jest to kobieta. To Winnie wprowadza życie emocjonalne w układ i walczy o bezpośredni kontakt. Gdy to się nie udaje, skarży się i modli do bożka małżeństwa, jednak bez nadziei na wysłuchanie. Wie,

że nie ma na to szans, bywa więc, że wpada w depresję, w czarną dziurę.

„No, a gdy z jakichś nieodgadzionych względów nie stać już na żaden trud? Cóż, trzeba wtedy zamknąć oczy - i czekać na taki dzień - na taki szczęśliwy dzień, gdy ciało rozpuści się przy tyłu stopniach, a noc księżycowa trwać będzie wiele, wiele godzin. Tym się właśnie pocieszam, gdy upadam na duchu i zaczynam zazdrościć zwierzętom idącym na ubój”.

Co w tym czasie, gdy ona usiłuje przekazać mu swą rozpacz, robi Willie? Ogląda pocztówkę porno. Jak ona musi cierpieć! Beckett to rozumie, tak jak wy, drogie siostry, rozumiecie; Beckett pokazuje także jej myśli ostateczne, a jednak każe się jej podnieść z upadku, z upokorzenia. Ona wie, ale o tym milczy, a jak nawet mówi, to półgębkiem, tak żeby jej nie słyszał mąż, żeby się nie rozsierdził, bo wtedy szczęśliwych dni będzie mniej. Taką cenę płaci Winnie za swoje „szczęśliwe dni”, za to, że nie jest kobietą samotną, w oficjalnym znaczeniu tego słowa, czyli jak się kiedyś w jej epoce mówiło, nie jest starą panną. Zamiast trzasnąć drzwiami, wyjść z domu i nigdy nie wrócić, siedzi potulnie, zakopana po pas w piachu, jak wiele innych żon, z partnerem, który ogania się od niej jak od komara. W najlepszym razie nie zwraca na nią uwagi.

Winnie: „Och, wiem doskonale, co tam sobie myślisz: nie dość, że muszę jej słuchać, to jeszcze patrzeć na nią! No cóż, rozumiałe! Zupełnie rozumiałe”.

Dlaczego właściwie dla Winnie sytuacja tak całkowicie asymetryczna jest zrozumiała? Dlaczego ona ma ochotę patrzeć na niego, rozmawiać z nim, zajmować się jego stanem fizycznym i psychicznym, a on nie odpłaca jej nawet przyjacielskim gestem, nie daje do zrozumienia, że docenia jej starania? Tylko czasami śmieją się razem, co daje obserwatorowi pojęcie o tym, jakie to mogło kiedyś być dobre

małżeństwo. Dobrana para. Humor jest tym, co łączy. Smutek ich dzieli. Mężczyzna nie chce słuchać skarg. Po latach żar ostygł, z namiętności został już tylko popiół codziennych rozmów, wypaliły się do cna uczucia męża. Została gazeta.

„Willie, ogłuchłeś czy co? Mowę ci odjęło? Och, wiem, nigdyś wiele nie mówił: «Winnie, ubóstwiam cię, bądź moją*», i od tego dnia już nic, tylko te ogłoszenia z gazety”.

To zdarza się dość często. Nawet jeśli mężczyzna rozmawiał z kobietą wcześniej, gdy jeszcze nie byli parą mieszkającą pod jednym dachem, przestaje z nią gadać po ślubie. Pars pro toto jest tu zachowanie mężczyzny przed i po stosunku seksualnym. Mówi do niej „przed”, czasami w trakcie miłości, nawet ją uwodzi; „po” zasypia prawie natychmiast. Wtedy, gdy kobieta ma ochotę na bliskość, czułą rozmowę. Brak symetrii jest tu równie wyraźny.

W Szczęśliwych dniach Becketta bohater przynajmniej raz na jakiś czas czyta żonie kawałek ogłoszenia lub nekrolog. Nie jest to jeszcze czas wszechobecnej telewizji. Gazeta powodowała kontakt, choćby naskórkowy. Gdyby ustawić na tej pustyni z dwojgiem ludzi telewizor i gdyby wyobcowana, upokorzona Winnie zaczęła oglądać seriale, zamiast zagadywać męża i szukać z nim kontaktu, mielibyśmy właściwy obraz współczesnego związku. Nastąpiło ochłodzenie i tak już letnich stosunków. Oddzielenie partnerów posunęło się jeszcze dalej. Kobieta wyzwoliła się niepostrzeżenie spod władzy męża dzięki temu, że ma pracę i własne pieniądze. Jeśli zajmuje się sobą, nie zwracając uwagi na mężczyznę, wówczas dochodzi do zupełnego rozpadu związku uczuciowego. Wtedy w perspektywie pojawia się rozwód.

Blizna Winnie

Gdy analizuje się kryzys wieloletniego związku, gdy pisze się o popiołach, wypaleniu, traktuje się na ogół parę jak partnerów, równoprawnych, usadowionych symetrycznie. Tymczasem upadek zaczyna się wówczas, gdy kobieta dostrzeże swą bezradność, wie, że nie uratuje małżeństwa, bo tego nie można zrobić w pojedynkę. Obojętność męża paraliżuje ją i upokarza. Do porozumienia, do naprawienia tego, co się zepsuło, potrzeba dwojga chętnych. Jeśli mężczyzna to zrozumie, wtedy można ocalić małżeństwo, naprawić, albo zbudować je na nowych warunkach.

Postać Williego jest przeciwieństwem Winnie. Beckett zbudował parę bohaterów, używając do tego całkowicie różnych środków wyrazu. Gadulstwo żony skonstrastowane jest z ponurym milczeniem męża. To ona jest tu postacią główną, wyrazistą, żywą. Willie ma zawierać tajemnicę, ale przez swą nieczułość, brak reakcji, współgrania z Winnie wydaje się pusty w środku.

Dlaczego tak się dzieje, że Willie może nie słuchać żony, ignorować jej obecność, a Winnie - symbol wielkiej liczby żon, partnerek niebędących pełnoprawnymi partnerkami, na to przyzwala? Oto szept Winnie, błagającej o współczucie, o trochę litości:

„Choć z drugiej strony, czy to jest tak wiele, czego oczekuję? Czasem doprawdy wydaje się - że nie można już mniej... od bliźniego, w końcu... co najmniej bliźniego...”

Dlaczego do tego dopuściła? Czy w przypadku tego rodzaju patriarchalnych małżeństw, w których żona jest absurdalną satelitką męża, a właśnie takich jest większość - bliźni nie kojarzy się z bliźną? Winnie ma swoją bliźnę, powinni ją mieć oboje, powinien mieć ją i Willie, lecz on dawno zapomniał o tym, co ich spotkało. Jest tam pomiędzy

wierszami ich dialogu ukryty ludzki dramat, wspólnie przeżyty, o którym nie wolno jej wspominać.

Krytycy, mężczyźni, interpretując *Szczęśliwe dni*, uważają, że Winnie plecie trzy po trzy, gada głupstwa, nie ma litości dla męża, zamęcza go słowotokiem. Rzadko zdarza się krytyk, który widzi cierpienie Winnie, jej głęboką wiedzę o tym, co jej wolno, a czego nie powinna pod żadnym pozorem. Gdy wczytujemy się dokładnie w to, co ona mówi, gdy oczyścimy jej gadanie z komentowania terażniejszości i omawiania zwykłych działań, czesania, mycia zębów i tym podobnych rzeczy, słyszymy w tym, co mówi, słowa Szekspira, głównie jego, ale również innych poetów i pisarzy. Krytycy dali się zwieść prostocie Winnie, nie czują ani jej samotności, ani jej bólu, wzorem prostackich mężów oganiają się od niej jak od muchy, są wobec wielkości tej postaci bezradni. Ona nie łudzi się, że coś zmieni w Williem. Wie. Czuje. Dotyka ją małość jej własnego istnienia, a wielka jest dlatego, że nie poddaje się, że potrafi w tej swojej samotności, odtrąceniu, być szczęśliwa. Tak jak my, drogie siostry, jak większość współczesnych kobiet.

Obserwuję od lat związki różnych ludzi, dostaję także wiele listów opisujących małżeńskie perypetie i dramaty. Wiem, jak bardzo kobiety są samotne w rozpamiętywaniu różnych cierpień. Są to sprawy różnego kalibru, mniejsze i wielkie doświadczenia, traumy. Może to być ciężka choroba, a nawet śmierć dziecka, może być stara matka cierpiąca na przewlekłe schorzenie, umieszczona w podłym przytułku. O tym nie wolno mówić. Tematy tabu. Tematy wielkiej wagi. Opowieści o znajomych ludziach to znów rzeczy zbyt błahe dla męża interesującego się gazetową makroskalą. Sieczką polityczną. Obserwacje, jakie czyni żona, nie interesują go, zamyka się w sobie, zasklepia, nie słucha. Ona wie

od dziecka, że powinna omijać to, co denerwuje męża, widziała, jak to robiła jej matka. Stosuje wpojona autocenzurę: „Ugryź się w język, córeczko, lepiej zmilcz, po co masz zadrażniać sytuację!” Sądzę, że wiele kobiet słyszało to w rodzinnym domu, a jeśli nawet nie słyszało, to miało okazję przyjrzeć się z bliska, usłyszeć odburkiwanie, każdy mógł być widzem w tym teatrzyku. Przeczekiwanie humorów męczyzny, jego zrad, wybuchów agresji, depresji, frustracji to powszechnie stosowana metoda.

Winnie jest dobrze wytresowana, sama dba o to, by nie zdenerwować męża, troszczy się o jego święty spokój.

„Tak mało jest rzeczy, o których można wspominać, że się wspomina o wszystkim. O wszystkim, o c z y m m o ż n a . Boli mnie kark. Kark mnie boli!” - woła Winnie. Ból karku i ból pleców to powszechna dolegliwość, na którą dziś także cierpią kobiety. Na swych barkach, na plecach niosą zbyt wielkie ciężary. Nie mogą się nimi podzielić, nie potrafią zmusić najbliższego człowieka, by pomógł im dźwigać traumę. Może dlatego wciąż gadają, choćby do siebie, w obecności męża, mówią na stronie, ciągle analizują rzeczywistość, czepiają się nieistotnych szczegółów. Niektóre z kobiet szukają ratunku w autoterapii, którą wymyśliły i posługują się nią, by nie popaść w ciężką chorobę sierocą, na jaką zapadają wychowywane w uczuciowym chłódzie dzieci bez matek, w domach dziecka. Ten rodzaj terapii polega na ciągłym powtarzaniu sobie, że jest dobrze, jest wspaniale, każdy dzień przynosi coś dobrego. W każdym dniu jest coś cudownego, mówi Winnie, choćby to, że smutek, który się pojawia, wkrótce przemija. Ona wie, że wszystko przemija; jest ciężko doświadczoną kobietą trwającą w małżeństwie, które jest dla niej szkołą życia i przetrwania. Przemija smutek po stosunku, to oczywiste, „to znane, zgadzasz się

chyba z Arystotelesem. Tak, to się zna i jest się na to przygotowanym. Ale po śpiewie... Nie trwa on długo oczywiście. To właśnie jest tak cudowne. Przemija Zaczyna recytować wiersz, z trudem przypomina sobie słowa, wzdycha, że ich nie pamięta, że zapomina się klasyków. Jednak już po chwili mówi do siebie: „Coś pozostaje. To właśnie jest tak cudowne. Że coś pozostaje z klasyków i pozwala przetrwać do końca dnia. O tak, to wielkie dobrodziejstwo". Gdy nie ma w zasięgu ręki czegoś wielkiego, wielkich spraw, uczuć, trzeba umieć cieszyć się małym. Żeby przetrwać. Żeby trwać. Czy samotność w pojedynkę jest cięższa niż we dwoje? Czy we dwoje jest lżej?

Płaszczyzna nieporozumienia

Napisałam kiedyś powieść o trudnym związku dwojga ludzi. Był to początek ich drogi. Moja bohaterka starała się zabić samotność zdradą, szukała mocnych wrażeń. W końcu jednak powróciła do domu, jak z dalekiej podróży. Wiedziała już, że będzie samotna, nawet jeśli będzie szczęśliwa w małżeństwie, że jest coś pomiędzy dwojgiem ludzi, co można nazwać płaszczyzną nieporozumienia. Jakość związku zależy od tego, jak wielki obszar zajmuje ta płaszczyzna.

Jeśli zyskuje się świadomość nieuniknionej samotności i wie się, że mężczyzna także tę samotność odczuwa, to wtedy dwie samotności dodają się do siebie, spotykają się codziennie przy stole, przeglądają się w herbacie dwóch bliźniaczych filiżanek i wtedy jest lepiej, paradoksalnie jest lżej, bo rodzi się poczucie więzi. Do tego jednak potrzebna jest rozmowa, a tej Winnie brak. Stąd właśnie staje się Winnie komentatorką błahych wydarzeń, już nawet nie wydarzeń, raczej rutynowych czynności, które zamieniają się w gesty

rytualne, nabierają symbolicznego wymiaru. Wiążą się z czasem, przemijaniem i przetrwaniem. Rytuał jest rękonią nieśmiertelności, wieczności. W imię rytuałów rezygnujemy z nowych doznań.

Tresura doprowadza do tego, że kobieta przestaje mówić o rzeczach ważnych, choć trudnych dla rodziny i dla niej osobiście, a zaczyna szczebiotać o niczym, udawać głupią albo pochlebiać mężczyźnie. Kontakty intelektualne dewalują się. Mąż uważa, że jego żona zgłupiała, przestała się rozwijać, nie dorasta do niego. Koło niezrozumienia zamyka się w kieracie rytuałów.

Kobiety zachowujące się w taki sposób - a jest ich wiele - popadają w nerwicę. Zaczynają gadać w obawie przed ciszą, a więc przed próżnią. Boją się, że jeśli przestaną go w unizony sposób zagadywać, mąż wyizoluje się całkowicie ze wspólnoty. Nie czują naskórkowości kontaktu, lub nie chcą o niej myśleć. Nie zwracają uwagi na to, że wymuszają kontakt, co stawia je na przegranej pozycji osoby proszącej. To pozycja podrzędności. Przyklepanie układu patriarchalnego. Jest w tym podświadoma, być może, zgoda, przyzwolenie na własną gorszość.

Małżeństwo ze *Szczęśliwych dni* ma za sobą uniesienia i namiętność. Te uczucia pojawiają się tylko we wspomnieniach Winnie, choć tęskni ona za bliskością być może nawet tego rodzaju. „«Złote» - powiedziałaś wtedy, tamtego dnia, gdy poszli wszyscy goście - «za twoje złote włosy... żeby nigdy»... Tamtego dnia. Którego?».

Czy pamięć tego, co było kiedyś, dawno, nie wiadomo już kiedy, wystarcza? Musi wystarczyć, jeśli chce się przetrwać w kalekim związku.

Atrofia uczuć

Asymetria dotyczy także małżeńskiego seksu. W fazie wypalenia, popiołów, żona zaczyna robić uniki. Przysłowiowe bóle głowy, menstruacje trwające dwa tygodnie, wymyślone choroby są przedmiotem dowcipów w kabaretach, gdy tymczasem jest to przejaw atrofii uczuć.

Postacie beckettowskie są bardzo wyraziste, wydawałoby się, że realistyczne jak ludzie siedzący w teatrze, że oglądamy psychodramę. Autor dobrze zna bohaterów i studiował z natury ich życie, są bardzo uszczegółowieni, charakterystyczni, bliscy, jedyni, niepowtarzalni, jak niepowtarzalny jest każdy człowiek, ale jednocześnie są uniwersalni. Dlatego widzimy w nich siebie, jeśli jesteśmy dostatecznie świadomi albo jeżeli brak nam tej samoświadomości, w Winnie i Williem dostrzegamy swą matkę i ojca, córkę i zięcia, przyjaciół, sąsiadów. Dopóki jednak nie zyskamy świadomości własnego zniewolenia, dopóty nie uda nam się drogą rewolucji, czy ewolucji, doprowadzić do wyzwolenia. Choćby częściowego, bo wolność w postaci czystej istnieje tylko jako idea platońska. My mamy do czynienia zawsze z jej okrojoną postacią. Nasze poczucie wolności zwykle zawiera jakieś „ale”. Na żadnym szczeblu drabiny społecznej nie ma gwarancji całkowitej wolności. Nie ma jej także w małżeństwie, a jednak są różne stopnie tej wolności.

Czy brak poczucia zniewolenia jest już wolnością?

Jest wstępem, prologiem do poematu o życiu wolnym.

Wolność to uświadomiona konieczność?

W związku małżeńskim wymaga się tej świadomości od mężczyzny w mniejszym stopniu niż od kobiety. Zwykle dotyczyła ona męskiego obowiązku utrzymania rodziny: niepracującej zawodowo żony oraz dzieci. Dziś sytuacja zmieniła się.

Mimo to, oglądając *Szczęśliwe dni*, każda, nawet najdalsza od filozoficznego zgłębiania Becketta, żona z kręgu cywilizacji euro-amerykańskiej rozumie, dlaczego Winnie jest wciąż zakopana po pas, i to z własnej, wydawałoby się, nieprzymuszonej woli, a Willie, jej mąż, leży na powierzchni ziemi i może swobodnie, w pewnych rzecz jasna granicach, pełzać. Może, lecz nie ma ochoty, na tym polega ogromna różnica losów, męskiego i kobiecego. Jest władny, ma wolną wolę, ma wybór, ale sytuacja planety obieganej przez satelit-ki zwykle w pełni go zadowala. Wolność tej pary polega na tym, że nikt nie wymusił na Winnie ani na Williem bycia razem. To ich katastroficzny wybór. Nie znali lepszego sposobu na życie. Może jednak warto pamiętać o bliskości, mieć nadzieję, że się powtórzy po kryzysie, może Winnie wierzy w to, że Willy jej pomoże, ochroni i wesprze, gdy zajdzie taka potrzeba.

Puste słowa

Kobieta nie panuje nad swoim związkiem, jest pełna wahań, napięć, bywają tygodnie i dni lepsze i gorsze, bywa, że nie jest najgorzej, jest umiarkowanie. Bardzo się stara, przemilczy swoje cierpienie, pozwoli mężowi na okazywanie złego humoru, na kaprysy, nie zareaguje na upokorzenie.

Byle utrzymać związek. Istnieje, przynajmniej teoretycznie, wyjście z sytuacji; przecież jeśli Winnie jest zbyt ciężko, jeśli nie potrafi już udźwignąć ciężaru tego udanego małżeństwa, może powiedzieć: dość, i zająć się sobą, swoją pracą czy choćby wyglądem, przyjemnościami albo rozwojem. Owszem, niektóre kobiety korzystają z dobrodziejstwa rozstania, ale prawie natychmiast wikłają się w kolejny, równie nieudany związek. Zawijają tę słodką pętlę. Wydawać by się mogło, że te, które są samodzielne, niezależne, bogate, jeszcze młode, zrywają więzy, by pozostać singlem przynajmniej przez jakiś czas, że chcą cieszyć się wolnością. Może budzić zdziwienie fakt, że to zdarza się bardzo rzadko, że czują się opuszczone i samotne, mimo że same wybrały. Równie często samotna czuje się kobieta, która nie weszła w związek, jak osoba, która tkwi latami w nieudanym stadle. Ta z wyboru samotna może myśleć, że długo szukając, znajdzie w końcu kogoś, z kim będzie blisko, żona nie ma już złudzeń. Nawet w dobrym małżeństwie, które nie naraża jej na gwałtowne stresy, a tylko koroduje brakiem zainteresowania męża.

Winnie mówi: „Choć z drugiej strony, czy wiem coś o tym, by kiedykolwiek było umiarkowanie? Nie. To są puste słowa. «Kiedykolwiek» w znaczeniu: gdy nie byłam jeszcze uwięziona w ten sposób, miałam nogi i używałam ich, 1 mogłam jak ty szukać sobie cienia, gdy zmęczyło mnie słońce, albo słońca, jak ty, kiedy znużył mnie cień. I to wszystko puste są słowa”.

W taki subtelny sposób dramaturg, pisarz i myśliciel Samuel Beckett - jeden z najlepiej rozumiejących układ rodzinny, ten zwłaszcza, który łączy i dzieli mężczyznę i kobietę, szczególnie zaś męża i żonę - pokazuje, o ile większe jest tu uwikłanie kobiety.

Klaustrofobiczne szczęście

Willie, mężczyzna, gdyby tylko chciał, może wstać, ma nogi na powierzchni. Nie wstaje nie tylko dlatego, że mu tak wygodnie, on również musi liczyć się z otoczeniem, z tym, co powiedzą jego przełożeni, znajomi, przyjaciele, rodzina. Rozstanie jest łatwiejsze, jeśli pojawi się inna kobieta, mężczyzna nie zawaha się porzucić żonę z dziećmi. Tak jak w przypadku *Kobiety zawiedzionej* Simone de Beauvoir, opuszcza pozostawioną własnemu losowi bohaterkę w zaścianku psychicznej, w depresji związanej z brakiem celu w życiu, gdy jedynym celem był mąż i dzieci, które teraz opuściły gniazdo. Ten stan jest na tyle powszechny, że nosi nawet osobną nazwę, jak szczególna jednostka chorobowa, to „syndrom opuszczonego gniazda”. Na tę chorobę zapadają kobiety, które „poświęciły się” wyłącznie wychowaniu dzieci, zrezygnowały dla nich, jak kobieta zawiedziona, z pracy zawodowej, mimo że miały wykształcenie, lub te, które nic nie umieją oprócz prowadzenia domu. To bardzo dobre zajęcie, jeśli ktoś je lubi, bardzo cenna praca włożona w dom, w zapewnienie dzieciom obiadów i kolacji o określonej porze oraz całodziennej opieki. Jeśli kobiecie odpowiada układ z takim podziałem obowiązków, gdy doceniana jest waga tego, co ona robi, dopóki mechanizm jest dobrze naoliwiony uczuciem i funkcjonuje prawidłowo, wszystko jest w najlepszym porządku, lecz gdy mąż postanowi odejść i zostawi ją z dziećmi lub, co może być wbrew pozorom jeszcze trudniejsze, odejdą dzieci, a potem mąż, zaczyna się depresja połączona z poczuciem braku wartości własnej i syndrom opuszczonego gniazda jednocześnie. Zniesienie takiej katastrofy bywa czasami niemożliwe i może skończyć się tragicznie, tak jak to miało miejsce w przypadku kobiety zawiedzionej. Popęłniła samobójstwo, staczając się powoli po równi

pochyłej, z której nie można zejść bez pomocy kogoś bliskiego. Zwykle dla starszej kobiety ratunkiem bywają wnuki, którymi trzeba się zaopiekować. Bywa wtedy zmęczona, ale nie czuje się odrzucona.

Nie ma ucieczki

Czy jest to bohater leżący obok kobiety zakopanej po pas w ziemi, czy ten siedzący z gazetą i long drinkiem przed telewizorem albo surfujący w Internecie, to nie ma większego znaczenia. Ważny jest stopień uwikłania kobiety. Czy jest „tylko” podporządkowana, czy już zaszczuta. Często kobieta musi poruszać się w klaustrofobicznym zamknięciu psychicznym, z którego nie ma ucieczki. Nie potrafi się z niego wyrwać, więcej, niekiedy nawet broni się przed zburzeniem najbardziej niekorzystnego, niszczącego ją układu. Jest -przez kulturę, obyczaj, nacisk rodziny, samowymuszenie, równie silne jak wszystkie poprzednie presje - skazana na układ, bardziej niż mężczyzna. Winnie bardziej chce pozostać w związku z Williem niż on, choć i on, mimo większej wolności własnej, po długich wspólnych latach miałby kłopot z zerwaniem.

Dla kobiety rozwód i powtórne zamążpójście nie jest rozwiązaniem, ponieważ zwykle w następnym związku historia się powtarza. Samotność, życie bez mężczyzny dla wielu kobiet jest nie do pojęcia. Przecięciem wężła zaciśniętego na szyi niczym niewidzialny powróż byłaby właśnie samotność, ale to jest dla Winnie i milionów jej podobnych najbardziej przerażające. Zrobią wszystko, zniosą każde upokorzenie, by tego uniknąć. Być może właśnie wyzwolenie wielu kobiet wpływa frustrująco na te, które nie umieją swej wolności znaleźć.

Jeszcze ciągle, mimo że sytuacja od czasów napisania *Szczęśliwych dni* bardzo się zmieniła. Jest coraz więcej wolnych kobiet żyjących w nieformalnych związkach, mimo to jest to wciąż nikły procent, a i one rozumieją, o co chodzi w *Szczęśliwych dniach*. O to, czego chcą uniknąć, nie wiążąc się na stałe. Znają to z domu rodzinnego albo z obserwacji związków przyjaciół.

Dotyczy to także mężczyzn, choć oni, by wziąć ślub, w większym stopniu ulegali naciskom kobiet, niż do niego sami dążyli.

Stereotyp mówi o zdobywaniu kobiety, o tym, że mężczyzna walczy o nią z innymi, czasami te walki porównuje się do walk samców zdobywających samice, tymczasem w większości przypadków to kobieta w taki sposób kieruje znajomością, by wynikło z niej w efekcie małżeństwo. Naprawdę niewiele jest przypadków walki mężczyzn o kobietę, która wybiera sobie na męża lepszego partnera. Zresztą, czy silniejszy znaczy lepszy? Dzieje się tak tylko wówczas, gdy ona jest obdarowana przez naturę wyjątkową urodą, pozycją społeczną, a więc władzą albo majątkiem.

We współczesnym świecie obie strony paraliżuje lęk, że małżeństwo będzie podobne do stadła ich rodziców.

Szwajcarskie zegarki

Dla kobiety dramatem jest nieczuły mąż z drinkiem i gazetą przed telewizorem, podczas gdy ona po przyjściu z pracy krząta się po kuchni, do tego pierze, prasuje, odwozi dzieci na lekcje i dodatkowe zajęcia, wszystko po to, by dom funkcjonował jak należy. To ambicja wielu nawet najbardziej twórczych i zajętych kobiet. Wydaje im się, że gdy wszystko będzie chodziło jak w szwajcarskim zegarku,

zasłużą doraźnie na łaskawsze spojrzenie męża, a w dalszej perspektywie na to, że mężczyzna nie porzuci domu i nie założy nowej rodziny.

Ponadto żona musi troszczyć się o kontakt uczuciowy. Do niej należy podtrzymywanie tego kontaktu. Różnymi technikami, manipulacją wymusza odpowiedź, zna wartość rozmowy, potrzebuje jej dla siebie, ale też dla rodziny jako całości.

Egzekwuje od męża, jak nauczyciel od ucznia, każdą czynność, jaką powinien wykonać dla domu. W podobny sposób domaga się odpowiedzi na pytania, bo tego, by mąż sam rozpoczął rozmowę, by powiedział jej coś sam z siebie, w ogóle nie oczekuje. Mówię tu o tym, co wspólne dla większości związków, choć natężenie kontaktu lub stopień jego braku jest różny.

Zdarzają się prawdziwe związki partnerskie, w których rozmowa jest codziennością, to jest możliwe i dlatego kobietom wydaje się, że jest do czego dążyć, bo porozumienie istnieje.

D l a m ęż c z y z n y traumą jest stała obecność żony, która wciąż czegoś oczekuje, nie daje mu spokoju, zaburza jego wolność, którą miał, zanim „dał się usidlić” i wziąć na najstarszy podstęp świata, na tę do znudzenia graną starą płytę, która została oswojona przez nowoczesne urządzenia, takie jak DVD, i na tej płycie wciąż powtarza się ta sama melodia: przyzwoity mężczyzna powinien ożenić się, kiedy kobieta jest w ciąży, bez względu na to, czy chciał tego dziecka, czy nie. To była kiedyś męska trauma.

Nie przychodziło mu do głowy, że jeśli dziecka nie planują, to mógłby sam tego dopilnować, a nie zdawać się na partnerkę i jej pigułkę. Zwłaszcza wówczas, gdy wie, że ona dziecka pragnie. To zmaganie odbywa się zwykle w cichości,

nie rozmawiają o tym, bo kiedyś, na początku znajomości, umówili się luźno, że na razie nie będą mieli dzieci. Upłynęło od tego czasu sporo lat, ale jemu wydaje się, że to wciąż ta sama rzeka, w której może się dowolnie pluskać.

Brakuje uczciwej, bliskiej rozmowy, podczas której albo odnowi się kontrakt bezdzietności, albo obali się go i przyjmie nowe warunki.

Willie to uosobienie patriarchy, przez wieki co prawda złagodzonego, o stępionych zębach, jak u Eskimoski żującej skórzany pas, by go zmiękczyć. Niemniej męska władza wciąż istnieje i mąż egzekwuje to, co jak sądzi, słusznie mu się należy. A należy mu się rola pępka świata, ośrodka małżeńskiego kosmosu.

Układ, który obserwujemy w *Szczęśliwych dniach*, jest obrazem klasycznym, opisującym życie starszego, udanego i może nawet kochającego się na swój sposób małżeństwa, bez patologii kryminalnej. Mąż nie bije żony, nie pastwi się nad nią świadomie, a tylko nie raczy odpowiadać na jej pytania, których albo nie słyszy, albo je bagatelizuje, bo nie chce mu się odzywać. Para Beckettowska nie ma dzieci, ma natomiast cierni w postaci straconego dziecka. I to traumatyczne przeżycie wciąż nurtuje i dręczy Winnie. Nie ma nikogo, z kim mogłaby o tym pogadać.

To zjawisko znane w większości związków, i w tych udanych, i w nieudanych. Kobieta nie ma prawa oczekiwać, by mąż uczestniczył w jej cierpieniu, on nawet nie chce o nim słyszeć, a już z pewnością nie będzie terapeutą żony. Tacy mężczyźni są wielką rzadkością, muszą chcieć i umieć przejmować się domowymi problemami. Nawet kochający, dobry mąż ogranicza do minimum „nieprzyjemne” rozmowy.

Nie wolno kobiecie-żonie mówić na temat śmierci i chorób. Gdy zaczniesz jakąkolwiek rozmowę, której on nie chce

prowadzić, jest bardzo zajęty, kończy coś, w tej chwili musi przerwać tę bezprzedmiotową gadaninę, a mówienie o tym, co powinien zrobić, czego nie robi, mimo że należy to do jego obowiązków, jest zawsze „czągadaniną”. Przerzywa w pół zdania i wynosi się do swego pokoju. Mimo że jest tak strasznie zajęty, może pół godziny gadać przez telefon lub gdy nawinie się wdzięczny słuchacz albo słuchaczka. Wtedy będzie opowiadał kwieście o różnych rzeczach. Zajęty jest jedynie dla ciebie, jedynie z tobą nie ma ochoty rozmawiać. Uważa cię za zdartą płytę.

Jest wolny dla każdego oprócz ciebie.

Nie ma żadnej symetrii pomiędzy wami. Ty nigdy nie zwracasz mu uwagi w towarzystwie bez względu na to, co robi. Czasami usiłujesz wyciągnąć go z domu przyjaciół, gdy bełkocze i już sam nie ustoi. Narażasz się wówczas na awanturę. Boisz się i dlatego tracisz autonomię. Czasami mąż rzuca coś goniącej za nimi i rozpaczającej żonie, lecz przeważnie są to dobra materialne. Za cierpienia duchowe płaci w brzęczącej monecie. Żona ucieka przed rozwścieczonym mężem, rzucając mu na pożarcie kawałki swej wolności i zranionych uczuć. On kupuje nowy samochód lub wycieczkę na Seszele i tym sposobem zamyka jej usta. Przecież zrobił to dla niej. Więcej i dłużej pracował, by kupić nowy samochód lub wykupić wycieczkę. Zrobił to dla rodziny.

Nie zapominajmy, że co czwarta kobieta wie, czym jest przemoc fizyczna w rodzinie, bo jej sama doświadczyła, istnieje więc uzasadniona obawa, że i ty możesz tego samego doświadczyć.

Łaska obecności

Mąż uważa, że żona powinna być mu wdzięczna, jeśli on chce z nią przebywać. Jego czas jest cenny, to zawsze czas wyrwany pracy, przyjaciom, meczom piłki nożnej, gazetem. Jeżeli więc poświęca jej trochę swego cennego czasu, wyrwanego sprawom najwyższej dla niego wagi, czymkolwiek by one były, nawet jeśli to tylko sen albo czytanie gazet, gdy więc daje jej kilka łaskawych godzin w weekend albo w jakiś wolny dzień, uważa, że ona powinna docenić tę łaskę obecności. Ona jednak wtedy rozpoczyna znów rozmowę na denerwujące, nigdy niezłatwione tematy, powinna być głęboko wdzięczna za to, że on chce spędzić z nią czas, a nie domagać się głębszego porozumienia, płacze i rozpacza, że on nie może pojąć, o co jej chodzi. A pojąć nie może, bo nie jest w stanie wysłuchać nawet trzech akapitów, nawet kawałka reportażu z jej cierpień.

Ona oczywiście popełnia fundamentalny błąd, bo już po pierwszych dziesięciu wspólnych latach powinna przestać walczyć o bliskość i zająć się czymś lub kimś innym, powinna pojąć, że są z innej gliny, nie są żadnymi połówkami jabłka, tylko dwoma oddzielnymi bytami, i to jej wina, że wierzy w sentymentalne brednie na temat gołąbków i turkawek, a nawet jeśli nie wierzy, że mogliby nimi zostać, to jednak stale zachowuje się tak, jakby dwa spijające sobie miód z dziobków gołąbki były możliwe. Tymczasem on po tych paru latach traktuje ją już nie jak samiczkę do skopulowania, ale jak drugiego samca w klatce, z której nie można wyjść, więc skalpuje, a potem, po kawałku, misternie rozszarpuje.

Historia powtarza się. Bywa, że związek, w którym bardzo często dochodzi do tego rodzaju konfliktów, trwa dziesiątki lat. Kłótnie stają się farsą. Bywa też, że kobieta nawet

nie rozważa możliwości rozwodu. Uzyskuje go dopiero wówczas, gdy mąż znudzony kłótniami znajduje kogoś innego i odchodzi. Podporządkowana w taki sposób kobieta oddała po kawałku całą swą wolność, porzuciła ją właśnie tak, jak jaszczurka kawałek odgryzionego ogona. Gdy zostaje sama, musi odbudować swą psychikę, często wpada w depresję, jest na granicy samobójstwa. Lecz na szczęście bywa i tak, że po początkowym szoku zaczyna czuć smak odzyskanej wolności. Wówczas regeneracja sił psychicznych postępuje szybko. Łaska obecności wydaje się jej teraz kosztownym snem.

Mężczyzna nie bierze udziału w ustawicznych rozważaniach problemów z dziećmi, w tym, co kobietę w codzienności nurtuje, zachwyca czy też przeraża. Nie zastanawia się nad jej potrzebami. Ma tę pewność wszystkich dobrych mężów, że będąc z nią fizycznie, śpiąc z nią czy choćby siedząc obok, wystarczająco wypełnia swój obowiązek. Nazwałam to kiedyś łaską obecności, i wydaje się, że to określenie dobrze oddaje męską świadomość współżycia.

Łaska obecności rozgrzesza ze wszystkiego: oto jestem, siedzę obok, nie biję cię, nie piję na umór, nie znęcam się nad tobą psychicznie, jak inni, nie upokarzam cię z premedytacją, jak inni. Oto ja, twój dobry, porządny mąż, tkwię obok ciebie. To mężowi wystarcza, by czuć się dobrze i mieć czyste sumienie. Wymagania żony, pragnącej głębszego kontaktu uczuciowego, traktuje jako mniej lub bardziej szkodliwe fanaberie. Uczucia mąż okazuje żonie w łóżku.

Tak więc życie codzienne Winnie skupia się na Williem, on jest jej oczkiem w głowie, ona stara się mu podobać, a może raczej przypodobać, choć czasem nie ma na to siły, ma momenty zniechęcenia, płytkiej depresji, przecucia mrocznej głębi, jaka ją czeka. Stąd być może rewolwer, choć

ma on i inne uzasadnienie, bo przecież Winnie jako osoba wierząca, modląca się codziennie, nie rozważa zbyt poważnie ewentualnego samobójstwa, ale myśli', by zostawić to wszystko, by odpłynąć, nie są jej obce. Także zabicie Williego nie wchodzi w grę, nawet jeśli jego uporczywe, tępe milczenie mogłoby sprowokować do morderstwa. Jednak nie Winnie, nie ją.

Szyfka

Winnie, ten Syzyf w spódnicy, Szyfka - jak wiele innych kobiet podejmuje daremny trud naprawy swojego związku. Stąd te pytania, stąd wciąganie męża w zajęcia domowe, choć często wcześniej wykonywała za niego tysiące drobnych czynności, bo to trwa krócej niż prosić, błagać, krzyczeć, awanturować się o wyniesienie śmieci, wbicie gwoźdźcia czy pogadanie z synem, który zaczyna właśnie ćpać. Jeśli zaś naprawić się nie da, a inne możliwości, jak rozwód czy samotność, z różnych względów nie wchodzi w grę, wówczas trzeba swą dolę polubić lub przynajmniej przystosować się do takiego sposobu życia.

Mechanizmy obronne to najlepiej naoliwione mechanizmy psychiczne, nie ma w organizmie lepszych, nawet przeciwciała chroniące nas przed chorobami zakaźnymi są słabsze, ponieważ gdy one przestają działać, wtedy zawsze możemy liczyć na naszą psychikę. Dopiero gdy ona zawodzi, jesteśmy u kresu. Przekraczamy moment graniczny i wpadamy do studni. Myślę, że właśnie mechanizmy obronne trzymają przy życiu wszystkie Winnie. Nie wiem, czy mężczyźni mają rozwinięte je w równym stopniu, ale gdyby tak było, żyliby dłużej, równie długo jak kobiety, choćby nawet było to kiepskie życie.

Pewnie dlatego to Willie, choć wokół niego kręci się świat tego związku, wymaga opieki Winnie, może ona nie porzuca go dlatego, że wie, że ten obdarzony wolął chęciami mężczyzna jest zupełnie bezradny, bo takim uczepiła go jego matka, a jego ojca babka. Świadomość istnienia łańcucha zależności nie jest potrzebna. Nie musi być nawet w myślach zwerbalizowana, jest wyszana z cywilizacji i tkwi jeszcze ciągle w nawet najbardziej samodzielnych i wyzwolonych kobietach.

Złe chwile kobiecej depresji Winnie mijają i znów chce go zainteresować sobą, dba o siebie, nawet w swojej dramatycznej sytuacji osaczenia układem, starością, przeczuciem śmierci wykonuje wszystkie czynności niezbędne według niej, by rozpocząć dzień. Jego zainteresowanie jest nikłe, kapryśne, jeśli Willie się odezwie, dzień Winnie jest szczęśliwszy niż zwykle, bo i bez tego każdy dzień jest przecież szczęśliwy albo dlatego, że świeci słońce, albo dlatego, że pada deszcz, przyszedł miły list lub kartka od dzieci, może udało się kupić coś nadzwyczajnego na wyprzedazy, bo dzień kobiety musi być szczęśliwy albo musi zawierać w sobie choć pierwiastek szczęścia, inaczej ona nie zdoła przetrwać.

Willie się do niej odezwał!

Oto wielkie szczęście, sam z siebie, niepytany otworzył usta i przemówił do niej! Mówi do niego, czy raczej do siebie: „Natomiast gdybyś umarł - jak się to dawniej mówiło - albo odszedł i opuścił mnie, cóż bym robiła, cóż m o g ł a b y m robić przez cały dzień?”

To jednak zdarza się tak rzadko, że jest jak święto w małżeńskim kalendarzu. Winnie budzi Williego, dotykając go

koniuszkiem parasolki. Chce kontaktu, pragnie, by mąż ją usłyszał, żeby się odezwał, zna swą samotność, wie, że nie zniesie jej dłużej, są przecież parą.

„Gdybym mogła cię nie budzić! O tak, gdybym potrafiła tylko być sama, to znaczy gadać sobie, nie zważając, czy słucha mnie kto, czy nie. Nie żebym sobie myślała, że ty mnie znowu tak słuchasz, Willie, skąd, broń Boże! Na pewno całymi dniami w ogóle mnie nie słuchasz. Ale bywają też, kiedy mi odpowiadasz. Tak że zawsze mogę sobie powiedzieć, nawet gdy n i e odpowiadasz i w o g ó l e pewnie nie słuchasz: Chwilami ktoś słucha cię, Winnie, nie mówisz wyłącznie do siebie, znaczy jak na pustyni - o, tego bym nie zniosła... na dłuższą metę. To właśnie pozwala mi ciągnąć dalej, to znaczy dalej m ó w i ć ”.

Wypowiadając tę kwestię, Winnie robi pauzy, jakby czekała, aż Willie się odezwie, aż zaprzeczy, że nie słucha, da dowód, że słyszał wszystko, co do słowa, ale daremne oczekiwanie. Ona W I E, że w tej sprawie nie odezwie się nigdy. Mężowie nie mówią o małżeństwie w metajęzyku. Jedyne, na co można liczyć, to odpowiedź na konkretne pytanie. Winnie, tak jak wiele kobiet, odkryła to już dawno. Pytanie skierowane do męża jest przecież przyznaniem się do własnej niewiedzy, jednocześnie zaś jest wyrazem wiary w to, że on może udzielić na nie odpowiedzi, bo wie więcej niż żona. Tak więc, by rozpocząć rozmowę, by nawiązać kontakt, żona powinna zapytać męża o coś, na co zna on odpowiedź. Zresztą, może być spokojna, jeśli nie zna, wymyśli coś lub skieruje jej uwagę na rzecz podobną, o której ma pojęcie.

Bardzo dobre są pytania językowe, jak się coś mówi, jak się wymawia, jaki porządek gramatyczny zachować w zdaniu. Winnie wyjmuje szczołkę do włosów i rozpoczyna

szczotkowanie, pytając: „Wyszczotkuję s i ę? Czy raczej wyszczotkuję j e? Włosy. Wyszczotkuję się i uczeszę? Jakoś podejrzanie to brzmi. Willie, mówiąc o włosach, powiedziałabyś: «wyszczotkuję się»? Czy raczej: «wyszczotkuję je»? O włosach na głowie? Willie! Mówiąc o włosach na głowie, powiedziałabyś: «wyszczotkuję się»? Czy raczej: «wyszczot-kuję je?»”.

Następuje długa pauza, a potem odpowiedź Williego: „Je”.

Wówczas Winnie mówi radośnie: „Och, odpowiadasz mi dzisiaj! Zapowiada się szczęśliwy dzień!”

Proste pytania uczennicy do nauczyciela. Nieświadomej, zagubionej, a więc stawiającej się niżej kobiety, tej niewiasty, która według Junga tylko mniema, nic n i e w i e, jest co najwyżej obserwatorką zdarzeń, zwraca się więc do mężczyzny, który w i e, czyli jest objaśniaczem świata, znającym jądro rzeczy. Każdy partner, lecz najczęściej mąż, jest właśnie kimś, kto potrafi objaśnić świat. Kobieta - partnerka - żona nie może za dużo wiedzieć, ponieważ musi pytać. Nawet więc jeśli wie, udaje, że nie wie, albo zadaje pytania o sprawy, które jej w ogóle nie obchodzą. Najlepsze i najtrwalsze tradycyjne małżeństwa to te, w których mąż to encyklopedia, a żona to *tabula rasa*. Na czystej tablicy zapisuje się hasła z encyklopedii.

Winnie podczas trwania akcji zadaje takie właśnie pytania: „Willie, co to właściwie jest wieprz? Co to właściwie jest wieprz? Nie wiesz przypadkiem? Nie mogę sobie przypomnieć... Willie, błagam cię, co to jest wieprz?”

Następuje pauza, po której Willie łaskawie odpowiada: „Wytrzebiony samiec świni. Tuczony na ubój”.

Na twarzy Winnie maluje się szczęście, że usłyszała głos męża, to znaczy, że on ją słyszy. Co prawda zadała to

pytanie wiele razy, ale jednak, mimo wszystko, uzyskała na nie odpowiedź, a więc mówi: „O, to naprawdę szczęśliwy dzień! Znowu szczęśliwy dzień! Mimo wszystko. Jak dotąd”.

Tyle wystarczy do szczęścia wspólnych dni? Łaska obecności i odpowiedź na pytanie od czasu do czasu.

Jest jeszcze jedna niebagatelna rzecz, która łączy tę parę, to wspólny śmiech, nawet jeśli Winnie dręczą wątpliwości, czy śmieją się z tego samego, czy śmieży ich zupełnie co innego. Niekiedy do tego szczęścia dokłada się jeszcze nekrolog, jaki Willie czyta swej żonie: „Jego Eminencja Przewielbny Ojciec w Chrystusie doktor Carolus Hunter zmarł, kąpiąc się w wannie”, lub ogłoszenie z gazety: „Szansa dla bystrego młodzieńca”, „Potrzebny pojętny chłopiec”.

Oczywiście, to wszystko nie zdarza się w ciągu jednego dnia. Willie ceni się bardziej, dozuje takie szczęśliwe dla Winnie chwile. Jeśli jednak odpowie na pytanie i przeczyta coś z gazety, to jest to właśnie ów szczęśliwy, bardzo szczęśliwy dzień dla Winnie.

Wspólne doświadczenie gadających kobiet

Kobieta, która pozostaje w długoletnim związku, często słyszy, usłyszała kiedyś lub jeszcze usłyszy skierowane do niej słowa, których nie chciałyby nigdy usłyszeć. Dzieje się tak wówczas, gdy zaczyna rozmowę na któryś z tematów tabu, który drażni mężczyznę, a należy go z jakichś względów koniecznie poruszyć:

- Słuchaj, kochanie, chciałam z tobą spokojnie porozmawiać...
- Właśnie teraz, gdy mam chwilę spokoju?
- A kiedy? Przecież nie wtedy, gdy jesteś zajęty.
- Musisz mi zepsuć nastrój? O co znów chodzi?

- Po prostu zauważyłam, że pijesz codziennie, i to coraz więcej. Czy nie powinieneś się trochę ograniczać? Zaczynasz być po alkoholu agresywny, no i zapominasz o wszystkim, co obiecałeś zrobić.

- Daj mi spokój! Gadasz bzdury, piję drinka, żeby się rozluźnić, a ty robisz ze mnie alkoholika!

- Pijesz sam butelkę wina dziennie, martwię się o ciebie.

- Martw się o siebie, spójrz, jak wyglądasz, najpierw schudnij trochę, ubierz się porządnie, a potem pogadamy.

- Moja tusza nie powoduje agresji!

- Proszę cię, przestań mówić, bo stracę cierpliwość! -Ty w ogóle nie masz cierpliwości ani dla mnie, ani dla dzieci.

- Skończ wreszcie gadać!

-To prawda, my cię nie obchodzimy, interesujesz się tylko sobą.

- Jak zaraz nie skończysz, to wyjdę!

- Chcę, żebyś się zastanowił nad tym, co się z nami stało.

- Nie pieprz głodnych kawałków!

- Tylko tyle potrafisz powiedzieć?

- Zamknij się, kobieto! Stul wreszcie mordę!

- Nie, ja tego dłużej nie myślę znosić, wciąż mnie upokarzasz...

- Przestań pierdolić, kretynko!!!

Szybka ręka mecenasa

Rozmawiałam niedawno z młodą kobietą, Izabelą J., która złożyła papiery rozwodowe z powodu przemocy, jakiej doświadczała ze strony męża, damskiego boksera. Dziecko ma już osiem lat, ona nie chce nawet alimentów, chce tylko spokoju.

Pochodzą z małego miasteczka, chodzili ze sobą już w czasie liceum, ona skończyła studia, on poszedł do wojska, został zawodowym wojskowym. Ślub był naturalną kolejną rzeczą. Miała pewne wątpliwości, kręcili się wokół inni mężczyźni, ale wpojono jej, że porządna dziewczyna nie próbuje nowości. Nie chciała zawieść rodziny, sądziła, że jej mąż jest zwykłym, porządnym facetem.

Widywali się z przyjaciółmi na imprezach, chodzili do kina, we dwoje spotykali się dość rzadko, prawie zawsze bywali w większym towarzystwie. Nigdy razem nie mieszkali, bo w małym mieście nie ma takiego zwyczaju. Gdy ona wyjechała na studia, on był w wojsku. Nie wiedziała, że jest alkoholikiem, był przecież jeszcze młody, a pił „jak wszyscy”.

Właściwie nigdy ze sobą szczerze i długo nie rozmawiali. Nie wiedziała nic o nim, o jego myślach, zainteresowaniach, nie znała go. On także jej nie znał. Nie wiedział, jaka jest wrażliwa. Kobiety to były dla niego „dupeczki”.

Ślub był piękny, suknia biała, welon długi. Dziewictwo zachowane. Noc poślubna taka, że Iza woli o niej nie opowiadać, nie myśleć, zapomnieć. Mąż był pijany, brutalny w miłości, nie zwracał uwagi na to, że ona po raz pierwszy jest z mężczyzną.

Pierwszy raz uderzył ją w rok po ślubie, wkrótce po urodzeniu dziecka. Wyprowadziła się wtedy z dzieckiem do rodziców, ale oni uważali, że powinna do niego wrócić, że miejsce żony jest przy mężu, zwłaszcza że przychodził i prosił, przyrzekał poprawę.

Wróciła. Nie chciała przynieść wstydu rodzinie. Kochała rodziców, jej ojciec był porządnym, łagodnym mężem i ojcem. Nie znała przemocy, była zupełnie nieprzygotowana. Rodzice także nie wiedzieli, jak cierpiała, bo nie potrafili

pojąć. Sądziła, że on dał jej klapsa, jak niegrzecznej dziewczynce.

Tego samego dnia, gdy wróciła do domu, skatował ją za to, że od niego uciekła. Potem błagał o wybaczenie, obiecywał, że przestanie pić. Nie przestał. Bijał ją regularnie, zawsze gdy się upił, nie było już przeprosin, nie było żadnych rozmów.

Próbowała rozmawiać, pomóc mu, chciała, by się leczył, by poszli do poradni, zawsze gdy zaczynała rozmowę, wrzeszczała i bił, a w najlepszym razie wychodził z domu.

Nie był przyzwyczajony do rozmów, wydawał komendy, rozkazywał, czuł się panem jej życia, kapralem na poligonie, który znalazł wreszcie ofiarę, młodego żołnierza, kota, i daje mu wycisk. Przyzwyczajenie do agresji zabija możliwość rozmowy.

Znienawidził ją, bo dostała bardzo dobrą pracę w firmie, okazała się zdolną menedżerką, awansowała.

Dojeżdżała do pracy do Warszawy. Dziecko chodziło do przedszkola, zajmowała się nim, prowadziła dom.

Pewnego dnia, kiedy mąż upił się i znów ją pobił po raz nie wiadomo który, ale skopał po raz pierwszy, zabrała dziecko, już nie poszła do rodziców. Wcześniej przygotowywała sobie grunt, miała w Warszawie serdeczną przyjaciółkę, która ją buntowała, użyczyła jej mieszkania na początek. Wyjechała z miasta, mimo że to on powinien się wynieść, bo była to jej kawalerka, którą kupili jej rodzice.

Teraz wzięła kredyt, spłaca mieszkanie w Warszawie, sprawa rozwodowa się ślimaczy. Jej mąż ma świetnego adwokata, który, jak wyraził się mąż pijak i damski bokser, „załatwi cię, suko, na cacy, tak że się nie pozbierasz, pan mecenas mnie rozumie, bo sam ma szybką rękę, byłem u niego w domu, wszystko chodzi jak w zegarku, a baba nie ma prawa głosu”.

Wygląda na to, że pan mecenas rzeczywiście może zrobić wiele złego, rozprawy są wciąż odraczane, linia obrony idzie w kierunku uznania kobiety za winną. Pouczył swojego klienta, co ma mówić, że był nerwowy, bo nie mógł patrzeć, jak ona kiepsko zajmuje się dzieckiem, jaką jest złą matką, że przedkłada własną karierę nad dobro dziecka. Tatuś nie raczył przez ostatnie dwa lata płacić alimentów, idzie bowiem za wskazówkami pana mecenasa, który uważa, że ona będzie płaciła alimenty prześladowcy, przed którym uciekła, żeby nie dać się katować, a może nawet zabić.

Obaj panowie dobrali się w korcu maku. Mecenas nie szanuje kobiet, nienawidzi ich, bije własną żonę, która, jak dowiedziała się Izabela J., również pracuje w kancelarii adwokackiej, wychowuje dwoje dzieci i jak dotąd potulnie spełnia wszelkie życzenia swego władcy. Jest prawniczką i zna się na rozwodach, ale jak dotąd nie zrobiła nic we własnej sprawie.

Izabela J. ma zamiar przeprowadzić rozwód, choć jej prawniczka nie wykazuje specjalnego zainteresowania sprawą, „jakich są setki”. Po prostu norma. Wiadomo, że część mężów - duża, większa, niż mi się kiedyś zdawało - biją żony, a one się na to z różnych względów godzą. Trudno zgłębić, co powoduje to znoszenie swego pieskiego losu w milczeniu, ale taka jest sytuacja i w ogóle nie myśli się o tym, by wprowadzić to, co od wielu lat działa w cywilizowanych krajach. To kat jest wyrzucany z domu ofiary, nie może się nawet do niego zbliżyć, a nie, jak to ma miejsce w naszym kraju, ofiara ucieka z dziećmi, zostając zresztą często bez środków do życia. Myśli się o budowie nowych domów dla samotnych matek, ale długo nikt nie próbował zająć się doprowadzeniem do porządku prawnego zagadnienia, spowodować, by prawo stanęło po stronie pokrzywdzonych.

Dopiero niedawno zaczęto mówić o tej smutnej, zaniedbanej sprawie.

Izabela J. jest w lepszej kondycji niż inne kobiety, była dzielna, mimo wszystko zrobiła karierę, nie zaniedbując dziecka, dobrze zarabia, cieszy się w firmie szacunkiem i dlatego tych dwóch psychopatów, mąż i jego adwokat, chce ją zgnoić.

Oni potrafią się ze sobą dogadać, rozmawiają, ustalają plany. To są męskie rozmowy, męska sztama. Iza J. nie ma oparcia w swojej adwokatce. Nie ma tu współpracy kobiet, nie ma porozumienia.

Wykształcony menel

Wydawać by się mogło, że język, jakim zwraca się do żony mąż czy długoletni partner, zależy od kultury osobistej, statusu społecznego, że im wyższy poziom, tym wyższa kultura, i nie ma już mowy o rękoczynach.

Nic bardziej błędnego, ponieważ w taki, nawet najbardziej brutalny sposób zwraca się do swoich żon bardzo wielu mężczyzn. Znamy ich towarzystwo jako kulturalnych panów, dyskutujących mądrze lub głupio, lecz spokojnie, uważamy ich za interesujących lub nudnych, dowcipnych, inteligentnych, zabawnych, erudyków, bezczelnych niedouków, lecz nie przypuszczamy, że mogą oni używać tego rodzaju języka w stosunku do żon, ponieważ nigdy nie odzywają się w ten sposób do mężczyzn, z którymi rozmawiają, ani też do innych kobiet w towarzystwie. Nawet jeśli przeklinają lub używają słowa „kurwa” jako znaku przestankowego w wypowiedzi, co teraz jest dopuszczalne, a w niektórych kręgach stało się wręcz językowym obyczajem, nawet wówczas nie możemy sobie wyobrazić, jak z wściekłością, w ordynarny

sposób obrażają bliską osobę, jak biją, kopią i katuja. Nie mieści się to w głowie. Chyba że we własnym codziennym życiu słyszymy takie słowa i że stały się one dla nas chlebem powszednim, i nie wierzymy pozorom. Traktujemy ten brak normy jako swoistą, wypracowaną normę.

Przykład Anny S.

Wstrząs przeżyłam kilka lat temu, kiedy usłyszałam od Anny S., swojej dobrej znajomej ze środowiska prawdziwie inteligentkiego, jak zachował się pewnego, niczym się nie-wyróżniającego dnia jej mąż, wściekły na nią za to, że przypomniła mu, co powinien był zrobić, a zabałaganił i termin upłynął. Było to coś, czego nie mogła zrobić za niego, bo zwykle wyręczała go, w czym mogła, ale tym razem wymagana była jego fizyczna obecność, ponieważ musiał osobiście podpisać jakieś papiery, upływał termin stawienia się w urzędzie...

Rozpoczął jak zwykle od krzyku na temat jej braku zrozumienia, tego, że nie docenia ważności jego pracy, że on ma zajęłą głowę i nie ma czasu myśleć o głupstwach.

Zapytałam, w jaki sposób zwróciła się do niego, czy była spięta, agresywna, może ironiczna. Odpowiedziała, że było to tylko zwykłe przypomnienie, pamiętała, że brzmiało mniej więcej tak: „Słuchaj, mija termin, powinieneś chyba pojechać do urzędu, bo musimy razem podpisać ten dokument...”

W tym miejscu należy dodać, że oboje mają bardzo podobne zajęcie, wykonują pracę twórczą, rzeczywiście wymagającą skupienia, ale to mu nie przeszkadzało przez wszystkie wspólne lata obarczać żony wszelkimi możliwymi zajęciami związanymi z domem. Dzieci nie zauważał,

dopóki nie skończyły piętnastu i szesnastu lat. Dopiero wtedy stały się partnerami do rozmów. Przyznała się po latach, że często ją; przy nich strofował, dyskredytował, wyśmiewając jej głupotę.

- A ja naprawdę byłam głupia, bo ciągnęłam tak długo wózek z tym pasożytem, który z naszego związku miał wszystko to, czego potrzebował: własny pokój, warunki do pracy, swobodę wychodzenia z domu, kiedy chciał, wolność spotykania się z przyjaciółmi, wikt, opierunek, zdolne, dobrze uczące się dzieciaki, bo pilnowałam, żeby wszystko w szkole grało, miał rodzinę, którą można się pochwalić.

Anna pracowała na jego opinię wzorowego męża i ojca. Teraz puka się w czoło.

- Tak, to on miał rację, przez dwadzieścia lat byłam, tak jak mówił, pieprzoną kretynką, pomagałam mu w utrzymaniu wizerunku dobrego tatusia i męża, jak dobrze opłacana pijarówka, pilnowałam swego idola na zewnątrz, żeby nikt się nie dowiedział, jaki jest naprawdę, nigdy nie denuncjowałam go przed jego przyjaciółmi, zachowywałam się trochę tak, jak te zaszczute, bite i katowane kobiety, które pudrują grubo twarz i zakładają czarne okulary, by ukryć podbite oko, a przecież gdyby zaczęły krzyczeć, wezwały pomoc albo oddały skurwielowi wałkiem od ciasta, musiałyby się facet opamiętać...

Nie znałam jej takiej, nagle zobaczyłam determinację i chęć walki. Dotąd zawsze była cicha i stłamszona nawet wtedy, gdy sama zaczęła robić karierę. Jej osiągnięcia przerosły jego sukcesy. Myślała, że gdy zyska szacunek ludzi, kiedy zaczną się z nią liczyć, wtedy jej mąż zacznie ją doceniać. Przeliczyła się. Był tak przyzwyczajony do niej w roli chłopca do bicia albo przysłowiowego worka treningowego do psychicznego boksowania, że po prostu nie umiał

zachowywać się inaczej. Było gorzej. Zaczął jej zazdrościć. Znalazł sobie wiele lat wcześniej sposób wyładowywania frustracji i od niego nie odstępował. Te lata bez głośnego protestu z jej strony, lata przysłowiowych łez w poduszkę, wyrzeźbiły w jego mózgu koleiny agresji. Nieodwracalne. To działało już na poziomie odruchów. Ponieważ nie protestowała, uważał, że ich małżeństwo jest całkiem dobre.

Mażeńskie zoo

On ją wytresował na potulną, starającą się o jego względy żonę, ona zaś, rozpieszczając go i dobrze karmiąc, hodowała w tym zoo małżeńskim groźnego drapieżnika. W tym stadle o żadnych rozmowach istotnych nie mogło być mowy. Jej mąż, podobnie jak Leopold Bloom z *Ulissesa* Joyce'a dla swojej żony Molly oraz Willie ze *Szczęśliwych dni* Becketta, był objaśniaczem świata, ale był stokroć gorszy od Blooma i Williego. Żaden z nich nigdy nie obraził żony takim słowem. Anna S., podobnie jak Winnie i większość żon, zakopała się po pas w piachu tej pustynnej przestrzeni, ale z pewnością była bardziej potulna niż Winnie i Molly. One wyrażały swoje zdanie i nie ustępowały we wszystkim mężowi. Mąż Anny to był prawdziwy kapo.

Jeśli chciała, by dni przebiegały w miarę spokojnie, przynosiła ciężkie zakupy, nadskakiwała mężowi i synom, uprzedzała życzenia, gotowała to, co lubił, zadawała mu pytania, by mógł w odpowiedzi wykazać się swoją wiedzą, radziła się, co zrobić, jak się zachować w swoich zawodowych sprawach, wszystko po to, by utrzymać jako taki kontakt, choćby wymuszony, szczątkowy, żeby chłopcy widzieli, że dom funkcjonuje jak należy. W efekcie synowie nauczyli się

pogardliwego stosunku do matki, odpowiadali opryskliwie, odmawiali pomocy, tłumacząc się nauką, zajęciami, spotkaniami.

Ciche piekło

To było ciche piekło.

Krótki rys charakterystyczny tego stadła daje pojęcie, czym było życie Anny S. w na pozór dobrym, wiele, bo przeszło dwadzieścia lat trwającym związku. Byli na oko jedną z tych świetnie dobranych par. On przystojny, wysoki, starannie ubrany, dusza towarzystwa, błyskotliwy i cięty. Anna obdarzona nieprzeciętną urodą, mądrze rozmawiała, pod warunkiem że mąż nie słyszał, nie gasił ironią i nie wtrącał się we wszystko, co mówiła. Przy nim się w ogóle nie odzywała. Jak większość kobiet, bała się rozwodu, znosiła ciągłe napięcia i humory, bo uważała, że mimo wszystko jej mąż jest dobrym ojcem. Nie bił ani jej, ani dzieci, a cały dramat polegał na braku szacunku, deptaniu godności, na nie-czułości w stosunku do niej oraz na braku zainteresowania tym, co miała do powiedzenia, a także tym, że to na nią spadły wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem domu i wychowaniem synów. Być może stało się tak dlatego, że było to jedno z małżeństw, które zawarto, gdy oblubienica była w piątym miesiącu ciąży. To w niektórych przypadkach powoduje patologiczne reakcje mężczyzny, który uważa, że skoro kobieta chciała mieć dziecko i zmusiła go do małżeństwa, to musi sobie sama poradzić. On nie musi poczuwać się do odpowiedzialności. Tak zachowują się jednak tylko psychopaci. Normalny mężczyzna, gdy otrząśnie się z szoku poporodowego - bo i on ostro przeżywa urodzenie dziecka, choć sam nie rodzi - a więc gdy pogodzi się z tym,

że jest ojcem, powinien więc być dorosły, zaczyna zajmować się przynajmniej trochę dzieckiem, przyjmując, że to wspólne szczęście i wspólne kłopoty. Asystuje przy kąpielach, a bywa, że i sam wykąpie dziecko, posiedzi czasem przez dwie godzinki z małym, by żona mogła na chwilę wyskoczyć do przyjaciółki, odetchnąć powietrzem innym niż aura pokoju dziecinnego. To już uchodzi za pomoc.

Mąż Anny S. nigdy jej czegoś takiego nie zaproponował, a gdy prosiła go, by popilnował maleństwa, miał zawsze niecierpiącą zwłoki robotę, więc Anna ściągała w takich przypadkach swą matkę.

W dniu pamiętnej kłótni Anna była podenerwowana i zmęczona, ponieważ od tygodnia miała oddać gotową pracę szefowi, a wciąż coś ją odciągało od roboty, bo trwał remont mieszkania, oczywiście wszystko było na jej głowie, mąż mieszkał już wówczas „na mieście”, w kawalerce kolegi, który wyjechał. Tam miał potrzebny do pracy spokój. W domu bywał od czasu do czasu na obiedzie. Wpadał zobaczyć się z dziećmi.

- Na domiar złego w momencie małżeńskiej sprzeczki w pokoju był Bogu ducha winny stolarz, który budował szafę, wyobrażasz sobie, jak musiał czuć się ten człowiek? -pyta Anna.

Wściekłość jej męża była tak wielka, że zaślepiła go całkowicie. Oczy wyglądały jak oczy mordercy w momencie popełniania zbrodni. Anna S. mówiła, że gdy na niego spojrzała, przestraszyła się i nawet przez moment pomyślała, jak to dobrze, że ktoś obcy jest w pokoju. Nie spodziewała się jednak tego, co miało nastąpić. Otóż jej mąż wyszczał scenicznym, a więc doskonale słyszalnym szeptem: „Przestań pierdolić, ty głupia pizdo!”, i powtórzył jeszcze raz: „Jesteś głupią pizdą, to ci chciałem powiedzieć”.

Anna przeżyła szok. Dotąd gdy poruszała jakikolwiek niewygodny dla niego temat, mówił: „Przestań pierdolić”. Wydawało się, że dalej nie może się posunąć. Przyzwyczała się do tego zwrotu. Nigdy też nie zachowywał się tak przy obcych ludziach. Zawsze był mistrzem maskowania swoich emocji. Potrafił wrzeszczeć podczas kłótni, ale gdy zadzwonił telefon, natychmiast uśmiechał się do słuchawki, rozprawił miłym, miękkim głosem, jakby nic się nie wydarzyło. Kiedy odkładał słuchawkę, złość w jednej chwili wracała. Znaście, moje siostry, takie sytuacje?

Anna rozpląkała się i wyszła z pokoju. Stolarz stał jak ślup, bo nie sądził, że w domu takich delikatnych i wykształconych ludzi może coś podobnego usłyszeć. Nie odezwał się do końca dnia, mimo że wcześniej bardzo sympatycznie z nimi gawędził. Zamontował szafę, wziął zapłatę i szybko wyszedł.

- Co z tym zrobiłaś? - spytałam.
- Zdradziłam go - odpowiedziała.
- A więc czyn przeciw słowom?

- To i tak było za mało. Gdybyś zobaczyła go w tym momencie, gdybyś usłyszała tę nienawiść w głosie, ten syk węża, do dziś słyszę to w głowie, przy każdej kłótni, a czasami, gdy odzywał się w łóżku, podczas seksu, słyszałam: „Przestań pierdolić, ty głupia pizdo!”, ale to mnie nie rajcowało; czasami zdarza się ludziom używać rynsztokowych słów podczas miłości, to niekiedy bierze. Jednak we wściekłości w moim domu rodzinnym takich słów się nie wypowiadało. Poczułam się zwolniona z małżeńskiej przysięgi. Tak, tak właśnie to odczułam, początek końca, zrozumiałam, że nadzedł czas podjęcia właściwej, jedynej decyzji. Przecież to obcy facet, nic mnie z nim nie łączy, tym razem zdrowo przesolił. Przez tydzień się do niego nie odzywałam. To były ciche dni, znasz to, a potem wiesz, jak to jest w małżeństwie,

są dzieci, wspólne sprawy, trzeba coś ustalić, więc zaczyna się znów gadać. Przez parę miesięcy miałam problem z seksem, ale nigdy nie lubiłam się z nim pieprzyć, bo to było właśnie pieprzenie. Do tego wciąż domagał się pochwał, a nie był w tym dobry; miałam teraz jeszcze dodatkowy problem, po tym upokorzeniu trudno mi było zmusić się do miłości, bo co to za miłość! Płakałam w poduszkę, ilekroć czułam, że on chce, wciąż sobie o tym przypominałam, nie mogłam ani zapomnieć, ani wybaczyć. To był co prawda początek końca, ale dość rozwlekły.

- Przeprosił cię?

- Nie, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ja nie zaczynałam, bo bałam się, że obciąży mnie winą za klimat, jaki zapanował w domu, bo rzeczywiście trudno było wytrzymać w takim tępych stanie. Myślę, że on też chciał zapomnieć, bo przez ten wybuch ujawnił coś, o czym może nawet sam nie wiedział, a co do niego wtedy dotarło, że nienawidzi mnie i naszego domu.

- Czy te awantury się powtarzały?

- Tak, potem zdarzały się wybuchy, było „przestań pierdolić”, ale nie było słowa „pizda”. Z seksem skończył, był zajęty własną twórczością bez reszty, wynajął sobie już na stałe pokój na mieście, bo chłopcy mu przeszkadzali w pracy.

- Jest inna kobieta?

- Nawet się nad tym nie zastanawiałam. Nie obchodzi mnie to, mam teraz spokój, i tak mi nie pomagał, a teraz przynajmniej nikt mi nie przeszkadza.

- Czyli wy nigdy ze sobą nie rozmawialiście o tym, że coś zaczyna się psuć?

- Rozmawialiśmy ze sobą dużo, często i interesująco, gdy byłam jego studentką, imponował mi wiedzą. To właśnie te mądre rozmowy o sztuce przekonały mnie do niego, bo

przecież nie seks; znałam wcześniej kilku facetów, i w tym akurat on był najślabszy. Na seksie mi specjalnie nie zależało. Liczyłam na interesujące życie z inteligentem, na wspólnotę twórczych zainteresowań, ale to się skończyło, zanim zaczęło się właściwe małżeńskie życie, urwały się nocne rozmowy, a zaczęły upokarzające sceny, podczas których usiłowałam wymusić jakąkolwiek pomoc. Na nic się to nie zdało, padałam na nos ze zmęczenia, a on i tak był niezadowolony. Oczywiście, od czasu do czasu miewał dobry humor i nie atakował mnie, inaczej cała ta historia nie mogłaby trwać aż tak długo.

- A może wy oboje podświadomie pragnęliście zmiany, ty także chciałaś to wreszcie skończyć, ale bałaś się, że nie dasz rady stanąć mocno na nogach, może więc sprowokowałaś go? Bo przecież nie można wyręczać kogoś we wszystkim i znosić upokorzeń, nie dając choćby do zrozumienia, że się tego nienawidzi - powiedziałam.

Anna zastanowiła się nad tym, jednak nie przyznała mi racji, twierdziła, że wypełniała obowiązki, robiła wszystko, co do niej należało, i jeszcze więcej, nigdy nie spotkało się to z uznaniem, z żadną pochwałą. Ona nie demonstrowała nienawiści, a jedynie smutek, rozgoryczenie i zniechęcenie. Naiwnie sądziła, że to się zmieni, że dorosną dzieci, on wreszcie zostanie szefem działu w instytucie, zaspokoi ambicje i przestanie wyżywać się na niej jak „zły chłop na Burku”, tak powiedziała. Szczęściem dla siebie, gdy miała mniej pracy z coraz bardziej dorosłymi dziećmi, mogła wziąć się za własną robotę i zdobyć uznanie w swojej firmie, gdzie pracowała w dziale reklamy. To ją uratowało przed totalnym wyniszczeniem psychicznym.

Po tej oczyszczającej rozmowie pomyślałam, jak mało wiemy o ludziach, z którymi jesteśmy blisko. Mąż Anny

wśród ludzi czuł się jak ryba w wodzie, ale ona także nie wyglądała na nieszczęśliwą. Jest ładną uwodzicielską kobietą, zawsze lubiła rozmawiać z mężczyznami i flirtować, dobrze tańczyła, a więc te momenty poza domem dawały jej wytchnienie i pewność, że nie jest z nią tak źle, jak starał się jej wmówić najbliższy, co w jej przypadku brzmi jak ironia, człowiek.

Przez wiele lat usiłował wdeptać ją w ziemię, systematycznie punktował każdą słabość lub to, co za słabość uważał. Krytykował to, co robiła, i to, czego nie zrobiła. Wykreował w niej wielki kompleks niższości. W towarzystwie, gdy przyszła gdzieś bez niego, mogła się wreszcie nagadać; wydawało mi się, że jest gadułą, a ona była po prostu wyposzczona, czuła głód słów własnych i pragnęła słuchacza, bo nigdy nie była wysłuchiwana.

Pielęgnacja ego próżnych facetów

Mężowie słuchają jedynie pochwał i niektóre żony oraz długoletnie partnerki, wiedząc o tym, hodują rozdęte do granic wytrzymałości ego próżnych facetów. Mają za to spokój i namiastkę kontaktu. One wiedzą, że nie powinno się, nie wolno, pod karą oziębienia atmosfery, nigdy krytykować mężczyzny, a raczej męża. Nauczyły się tego we własnych domach rodzinnych, karmią się tego rodzaju radami, czytając prasę kobiecą. Jak go wykołować, wyrolować, obłaskawić, zmanipulować, by ocalić rodzinę. Uprawiają cyniczne lizusostwo, śmieją się często z tych sposobów we własnym kobiecym gronie, wymieniają uwagi, korzystają z doświadczeń przyjaciółek, licytują się, która wspieła się najwyżej w tym teatrze absurdu. Oczywiście, że nie szanują mężczyzn, z którymi są, wciąż czekają na jakieś zmiany,

początkowo pograżają się w marzeniach o kimś, kto je wyzwoli, potem wpadają w czarne dziury depresji, żyją, przeczekując życie, ciesząc się z dzieci, jeśli są udane, martwią się, gdy w ciężkiej do wytrzymania atmosferze dziecko zaczyna szukać ucieczki w narkotykach, w kryminogennym towarzystwie albo oddziela się od rodziców murem obojętności, a nie może inaczej, jeśli chce przeżyć. Wtedy kobieta zostaje zupełnie sama.

Taki rodzaj samookałeczenia psychicznego jest stosowany przez kobiety w warunkach więziennych, pod małżeńską cełą.

Samotność żon i konkubin pogłębia się, zwłaszcza gdy dzieci, nawet te najbardziej związane z rodzicami, dorosną i zaczynają prowadzić oddzielne życie, mają swoje tajemnice, swoje sprawy, o których niechętnie rozmawiają z matką. Ten etap jest niezbędny do uniezależnienia się i samodzielności we własnym związku z partnerem, to etap wejścia w prawdziwą dorosłość, który trzeba uszanować.

Wówczas gdy Anna opowiadała o swoim cierpieniu, miałam jeszcze mało doświadczenia, nie zwracałam uwagi na gesty, półsłówka, spojrzenia bazyliuszka, posyłane sobie wzajemnie. Moje oceny były bardziej powierzchowne. Teraz wiem więcej, trudniej się przede mną maskować. Może też bardziej interesują mnie ludzkie problemy niż wtedy, gdy poznałam Annę i jej męża, uznając ich po prostu za mądrych, błyskotliwych i miłych ludzi.

Prawda towarzyska zwykle jest inna niż prawda o codziennym związku dwójga ludzi.

Jednak nawet dziś, gdybym nie wiedziała od Anny tego, co mi powiedziała, nie przypuszczałabym, że ten człowiek „na poziomie” potrafi odezwać się w aż tak chamski sposób do swojej żony.

W tym tkwi f u n d a m e n t a l n y b ł ą d , ponieważ takie słowa wypowiadają mężczyźni w ł a ś n i e do swoich żon. Nie mówię tu o chamach, którzy posługują się na co dzień tego rodzaju językiem w stosunku do wszystkich, ale o ludziach dobrze wychowanych, którzy nie używają rynsztokowego języka do porozumiewania się. W pewnym sensie chamy są lepszymi ludźmi od maskujących się, tych, co wiedzą, kiedy i w stosunku do kogo mogą sobie pozwolić na słowną brutalność, ponieważ chamstwo chamów dotyka wszystkich w równym stopniu, a więc nie może być szczególną obrazą dla nikogo osobiście. Są lepsi od tych, co w czterech ścianach domu krzykiem i przekleństwem ucinają każdą rozmowę. Pragną, by kobieta zamilkła, i dają temu wyraz w okrutny sposób. Zadają cios wszelkiej wymianie zdań, mimo że nie używają pięści.

Anna S. jest dziś już po rozwodzie. To zupełnie inna kobieta. Uważam, że powinna zmienić nazwisko, nawet na wymyślane, byle zatrzeć wszelki ślad po tym, z kim przez tyle lat się męczyła. Umarła tamta załężniona, zapędzona w kozi róg, ciągle uważająca na to, co robi i mówi, a narodziła się nowa Anna, samodzielna, świadoma siebie, zadowolona z radykalnego cięcia, do którego doprowadziła, mimo że jej mąż wcale nie chciał rozwodu. Ona zajmuje się dorosłymi już dziećmi, tyle ile trzeba, poświęca wiele czasu na pracę, równie wiele na nową miłość do człowieka, przy którym oddycha świeżym powietrzem. Znalazła kogoś, kto jest dla niej czuły, odpowiada na pytania i sam pyta. Prawie dwadzieścia lat nieudanego związku, w którym mąż systematycznie podawał jej codzienną porcję trucizny, nie zabiło w niej umiejętności kochania. Wystarczył krótki czas, jaki minął od rozwodu, by pozbierała się psychicznie. Teraz mówi, że dziwi się, że tak długo nie mogła się zdecydować na

stanowczy krok. Nie rozumie, jak to się stało, że zrobiła z siebie ofiarę, bo przecież dzieci zrozumiąłyby ją, gdyby rozwiodła się dziesięć lat wcześniej. Widziały jej ból, cierpiały, gdy ona cierpiała z powodu niegodziwości męża. Mówią

o tym teraz. Wtedy zabrakło jednego: szczerzej rozmowy z dziećmi, gdy z mężem rozmowa była niemożliwa.

Historia Anny S. była dla mnie źródłem i moją inspiracją podczas pisania opowiadania z cyklu *Kolory imion*, które publikowałam w „Twoim Stylu”. Uważałam, że powinnam napisać o tym, by pokazać kobietom, że istnieją rozwiązania, z których należy korzystać, nie dać sobą pomiatać. Pisałam je, antycypując zdarzenia, chciałam, żeby moja przyjaciółka uwolniła się od niszczącego ją mężczyzny, w odróżnieniu od niej wiedziałam, że da sobie radę, byłam tego pewna, dlatego uprzedziłam fakty. Moja bohaterka, której imię zmieniłam na Gretę, doszła do tego wniosku znacznie wcześniej niż Anna S. „Dzisiaj Bóg jest kobietą, jest mi życzliwy, pomyślała rozgrzaną ze snu myślą. Chciała nacieszyć się niezwykłym klimatem tego miejsca. Od dawna nie spała tak mocno i tak spokojnie. Ostatnimi czasy budziła się kilka razy w ciągu nocy z koszmarne go snu, ze świadomością, że rankiem zacznie się zwykły, całkiem realny koszmar życia. Strachy i lęki towarzyszyły jej w każdej sekundzie, nawet wtedy, gdy w domu nic się nie działo. Jak mogła do tego doprowadzić? Kiedy popełniła pierwszy błąd? (...) Dopóki dziecko nie wiedziało, co się dzieje, Greta uważała, że ma powód, żeby to znosić. Kiedy jednak podczas kolejnej sceny w kuchni, gdy nie mogła już opanować krzyku bólu po silnym ciosie w brzuch, przerażony mały chłopiec stanął w drzwiach z głośnym płaczem, a jego ojciec odwrócił się

1 szedł ku niemu wściekle z uniesioną wielką łapą, Greta bez namysłu chwyciła ostry nóż do chleba leżący na stole. Jeśli uderzy dziecko... Bolo spojrzął na nią i opuścił ręce. Przestał przeklinać. Greta stała naprzeciw niego z ostrzem wymierzonym w serce. Ich spojrzenia szepiły się. Żadne nie powiedziało słowa. Bolo odwrócił się i wyszedł z kuchni, a ona przestała być ofiarą. Zamiast przerazić się tym, co się stało, zadawała sobie pytanie, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej. To dało jej pojęcie o stanie, w jakim się znajdowała".

Moje opowiadanie różniło się od rzeczywistej historii tym, że mąż Anny jej nie bił, może kilka razy szarpnął, popchnął na ścianę, ale jej nie uderzył, nie przeszedł tej granicy, jaką ona uznawała za nieprzekraczalną. Tylko że ta granica odsuwa się, oddala, przesuwa jak horyzont, powoli przyzwyczajają kobietę do tego, co na początku związku wydawało się jej niemożliwe do zaakceptowania. Eskalacja agresji w głosie, potem w coraz ostrzejszych słowach, w gestach: najpierw potrząsanie za ramiona, ściskanie ramienia, aż zostają sine ślady pięciu palców, potem szarpanina w korytarzu, wreszcie pchnięcie na ścianę, aż kobieta uderza się w głowę. To trwało kilkanaście lat. Oprócz historii Anny znałam wiele innych, może jeszcze bardziej dramatycznych, ale właśnie to przegięcie, gwałtowne przejście granicy w słowach lub czynach, powodowało wcześniejsze rozstanie.

Jak inaczej boli rozbity nos

Wolność osobistą najsilniej kaleczą działania wykonywane pod presją. Bardziej boli oparzenie, gdy ktoś siłą włoży moją dłoń do ognia, niż wówczas, gdy nieostroźnie dotknie go sama. Gdy upadnę, stłukę łokieć, rozbiję nos, cierpię, boli

mnie, narzekam, ale jest to zupełnie inne narzekanie niż wówczas, gdyby nos rozbił mi mąż. Co prawda nie chciałam upaść, ale to jest moja sprawa, moja nieuwaga, mój zawrót głowy, moje potknięcie. Opatruję sobie rany i spokojnie czekam, aż się zagoją. Gdy przyłożył mi ktoś bliski, rany nie goją się nigdy. Przynajmniej tak sobie wyobrażam. Może wyjątek stanowią tu bity od rodziców, pod warunkiem że są to klapsy, a nie katowanie pasem z ciężką klamrą. Ciosy męzowskie bołą inaczej. Pobita powinna go śmiertelnie znienawidzić, ale wtedy powinna od niego odejść. Tymczasem dzieje się tak, że bite kobiety pozostają w stadle aż do końca, czasami do gwałtownej śmierci z ręki męża albo do jego zgonu, gdy prywatny bandzior uprzejmie zejdzie z tego świata sam lub z niewielką pomocą przyjaciół żony, albo też za pewną opłatą z rąk wynajętych do tego celu zawodowców. To, co piszę, może wydawać się śmieszne, grubo przesadzone, ale nie jest wcale wymyślone. Każdy, kto śledzi kryminalne historie opisywane w gazetach albo ogląda specjalne programy poświęcone zbrodniom, wie, że morderstwa popełniane są najczęściej nie na ulicy, lecz w domu, w rodzinie, w kręgu najbliższych osób. Statystycznie wielokrotnie rzadziej zdarza się, że dopanie cię seryjny morderca albo zginiesz jako przypadkowa ofiara porachunków mafijnych, bo znalazłaś się przez przypadek w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Znacznie częściej coś złego może spotkać cię w twoim domu, z rąk tego, z którym od lat żyjesz pod jednym dachem. Może się to zdarzyć, jeśli dasz sobie wydrzeć swoją wolność, podporządkujesz się i staniesz zniewoloną ofiarą, wciąż szukającą winy w sobie, usprawiedliwiającą wybuchy jego agresji.

Jeżeli rodzice za każde przewinienie mocno bili cię w dzieciństwie, wyrobili w tobie odruch lęku, który został

przeniesiony na dorosłe życie. Wybrałaś partnera sama, wyszłaś za niego, mimo że wiedziałaś już, że ma jak opisywany wcześniej mecenas „szybką rękę”, że załatwia sprawy w taki sam sposób, jak robił to twój ojciec. Ponieważ bicie dzieci jest powszechne, tolerowane jest także bicie, a później już katowanie żon, kobiet w związkach.

Gdybym doświadczyła ciosu damskiego boksera, gdyby zamienił się w niego mój chłopak, byłoby to nasze ostatnie spotkanie. Należę do tych kobiet, które nie wyobrażają sobie miłości cielesnej polegającej na uszkodzeniu ciała. Spotkałam dziewczyny, które mówiły, że to dostarcza im mocnych wrażeń. Być może jest tak w seksie, pod warunkiem jednak, że mam możliwość odparowania ciosu, a nawet oddania z nawiązką. Chrześcijańskie nadstawianie drugiego policzka nie jest moim ulubionym sposobem zachowania.

Gniew i pogarda

Być może wiele małżeństw dałoby się uratować, naprawić w nich to, co zostało popsute, odzyskać wygasłe uczucie i wzajemne zaufanie, gdyby nie dochodziło do fundamentalnego błędu w zdefiniowaniu dwóch bardzo ważnych uczuć: gniewu i pogardy. Pojęcia te miesza się, traktuje jak synonimy, gdy tymczasem różnią się zasadniczo.

Wcale nierzadko zdarza się, że żona mylnie odczytuje uczucia męża, i bywa, że to nieporozumienie ciągnie się całymi latami, aż wreszcie jedna ze stron nie wytrzymuje narastających konfliktów i rzecz kończy się rozwodem. Piszę o żonie, ponieważ, jak wiemy z obserwacji i z cytowanych badań przeprowadzanych na parach, to głównie ona zajmuje się wiwisekcją związku, analizowaniem uczuć, staraniem o spójność. Domyśla się czegoś, o czym nie było co prawda

mowy, ale sądzi, że „coś jest na rzeczy”; wynika to z niedopowiedzeń, z uników partnera, który zresztą nie ma pojęcia, że powinien coś wyjaśnić. I w taki oto sposób, skutkiem mylnej interpretacji pojęcia, wiwisekcja, która miała pomóc zrozumieć mężczyznę i wyjaśnić, dlaczego „on nic nie rozumie”, zamienia się w sekcję zwłok małżeństwa. A mężczyzna nie tyle kompletnie nic nie rozumie, co nie ma ochoty zrozumieć, bo jest generalnie zadowolony ze swego związku. Nie przywiązywał wagi do nieporozumień, nie dostrzegł żadnej rysy na wspólnej płaszczyźnie, a już z pewnością nie gardził żoną, mimo że często był na nią wściekły. Ona domyślała się pogardy, źle odczytując brak odpowiedzi, roz-targnienie, zapominanie o ważnych sprawach rodzinnych i domowych. Mąż był dla niej oskarżonym, a nie podejrzanym. Od momentu konfliktu interpretowała wszystko, co robił, na jego niekorzyść, jak prokurator, a nie jak obrońca.

Mąż za szklaną taflą

Mówię do niego, a on nie słucha, nie słyszy, nie odpowiada, milczy zanurzony w swoim świecie, wygląda jak w letargu, ale nie śpi. Przechodzę obok, raz, drugi, trzeci, siedzi w fotelu i nic. Mam na sobie nową bluzkę, jestem inaczej uczesana, obcięłam włosy. Nic. Nawet nie drgnie, czyta gazetę; gdyby pracował, to mogłabym zrozumieć, ale odpoczywa.

Nie widzi mnie, jestem przezroczysta jak powietrze, być może czuje powiew, kiedy przechodzę obok niego. Myśli, że to lekki wietrzyk, po prostu zefirek go owiewa, a przecież mam i wzrost, i wagę odpowiednio przyziemną. Mam ochotę krzyknąć: „To ja, nie powietrze, to ja, twoja żona, popatrz na mnie, powiedz coś, czy podoba ci się moja nowa bluzka, czy dobrze mi w tej fryzurze?!”

Nie ma na co liczyć, jak ja się nie odezwę, to on też nie. Próbowalam milczeć, brałam na wstrzymanie i myślałam zobaczymy kto kogo, ja też mogę milczeć! Ja też to umiem! Tylko jak wtedy będzie wyglądał nasz pieprzony kontakt? Zaczynam się wściekać, bo tak naprawdę, to ja nie potrafię milczeć, nie odzywać się do człowieka, który siedzi w zasięgu ręki w czasie przeznaczonym na wspólny odpoczynek. Chodzę nabuzowana, czuję, jak adrenalina podchodzi mi do gardła, ale trzymam się, nie mówię nic, jestem agresywna w milczeniu; milczenie staje się wymowne, przynajmniej tak mi się wydaje, zaczynam kombinować: a może coś się wydarzyło w pracy, czego nie chce mi powiedzieć, a może źle się czuje? Ma taki mętny wzrok. Podchodzę bliżej, zaglądam mu w oczy, patrzę, czy nie przysypia, chyba przysypia, ale co mnie to do cholery najjaśniejszej obchodzi! Ja chcę kontaktu!!! Czy ja przysypiam w jego towarzystwie? Czy ja mogę sobie pozwolić na taki egoizm!

Przedstawiłam tu tok bezmyślnego myślenia w domyślaniu się.

Wiecie, kiedy się odzywa? Po krótkiej drzemce, jak poczuł głód, wtedy mówi, że chyba trzeba by coś przekąsić! Jest wesolutki, chętny do spędzania czasu przy kolacji. Chodź do kuchni, zrobimy sobie coś dobrego, kupiłem to hiszpańskie wino, które lubisz, wypijemy po kieliszku. Jest szczęśliwy, zauważyła moją nową fryzurę. Bluzkę chwali, czy to coś nowego, nie widziałem jej na tobie, świetny kolor!

Jemy, pijemy, pytam go: dlaczego? Dlaczego? Powtarzam to jak refren jakiejś piosenki, która przyczepiła się do mnie i nie może się odzepić. Powiedz, dlaczego byłeś taki? Jaki? No jaki? Odpowiada pytaniem na pytanie. No powiedz, jaki byłem? Nie ma pojęcia o mojej złości, o podminowaniu, z jakim krążyłam wokół. No taki, jakiś taki, czy ja wiem?, niedostępny, odgradzony, szklana tafla, powtarzam, ale teraz

mówię bez przekonania, bo widzę, że to, co robię, co sobie wtedy myślę, jest pozbawione sensu.

Domyślanie się zamiast myślenia

A jednak, myślę następnego dnia, gdy analizuję wczorajszy wieczór i czułą noc, coś jest nie w porządku, dlaczego on nie może odezwać się choćby jednym słowem, dlaczego nie daje sygnału, że chce posiedzieć, побыć sam w letargu, na uboczu, że jest zmęczony albo wypalony, dwa zdania i wszystko wyglądałoby inaczej, ale nie myśl, kobieto, że te dwa zdania wyjaśnienia usłyszysz kiedykolwiek, no może czasami udaje się coś osiągnąć.

Dlaczego mam się domyślać, odgadywać jego stany, jak to się stało, że on nauczył mnie tego, że wytresował bez drastycznej tresury, nie zachowywał się wcale jak zły mąż, nie krzyczał, nie bił mnie, po prostu robił zawsze to, na co miał ochotę, a kiedy mu przerywałam ulubione zajęcia, dawał wyraz niezadowoleniu. Mącił atmosferę. A przecież każda kobieta chce, by w domu, wieczorem, gdy położy się dzieci spać, można było odetchnąć czułym powietrzem, bo tego oboje potrzebujemy. Tak jest, potrzebujemy oboje, ale tylko jedno z nas - i prawie zawsze jest to kobieta - stara się, by tak było. Nadskakujesz, obskakujesz, dogadzasz, pytasz, by mógł się wykazać swoją wiedzą. Nareszcie przecierasz mózg, jak zaparowane okulary, i widzisz! Przejrzałaś na oczy. Nie dasz się więcej tresować przez tego miłego tresera, który wcale cię nie katuje. Wygarniasz, co masz na wątrobie. Krzyczysz, kiedy on znów mówi swoje sakramentalne: „Nie w tej chwili”. Wrzeszczę: właśnie że w tej chwili, nadeszła ta chwila, w której powiem ci, co myślę, poznasz prawdę!

No i zaczyna się straszna burza z piorunami, ulewa, deszcz łez, lecą za wszystkie te ciche dni i lata mojego milczenia. Zagradasz drzwi własnym ciałem, gdy on z obra-

żoną i nieszczęśliwą miną chce opuścić pokój. Musi wysłuchać!

Teraz on także krzyczy, że przecież należy mu się chwila spokoju, nie musi od razu po pracy naprawiać czegoś albo wysłuchiwać opowieści o tym, co zdarzyło się dzieciakom. A żona w odpowiedzi: A mnie się nie należy? Ja nie potrzebuję spokoju? Ja też pracowałam cały dzień, podałam ci obiad, który musiałam przygotować po powrocie, ledwo zdążyłam, bo zostałam wezwana do szkoły, żeby wysłuchać tyrady o naszym dziecku, które esemesowało przez całą lekcję historii...

Nie miałem pojęcia, że to cię tak dotyka, gdybym wiedział... Przecież robię zakupy, staram się o dom... Jak chcesz, mogę chodzić do szkoły zamiast ciebie, mówi pojednawczo.

Dopiero w tym momencie nasze głosy odzyskują normalną barwę.

Teraz zaczyna się rozmowa. Czy nie można było tak od razu?

Po wielu, czasem dziesięciu, a czasem nawet dwudziestu wspólnych latach nadlatuje wreszcie gołąbek z gałązką oliwną w dziobie. Zaświtało mu, że cierpisz z jego powodu! Bo właściwie nie masz mu wiele do zarzucenia, dobry człowiek, mądry, ma poczucie humoru, dobry ojciec, od momentu, gdy dziecko osiąga wiek, w którym staje się partnerem do rozmowy. Przecież facet nie będzie inwestował swojej mądrości w jakieś niemowlęce bla bla bla, głupoty, nieartykułowane dźwięki. Nic z tego nie można zrozumieć, mówi do żony, skąd ty wiesz, o co temu tłumoczkowi chodzi? Nazywa małego tłumokiem albo maszynką do jedzenia i walenia w pieluchy. Żeby to coś, co gaworzy, zyskało dla niego miano człowieka, musi umieć słuchać i rozumieć, co tatuś do niego mówi. Wtedy staje się partnerem do rozmowy, ty, żona, też jesteś partnerką do rozmowy. A jednak on z tobą, tak jak

i z dziećmi, nie rozmawia wtedy, gdy wy tego chcecie, ale wtedy i tylko wtedy, gdy on chce. Ojciec, tata, tatuś, mąż, głowa rodziny wydziela wam siebie, daje dzieciom audyencje, jak król albo sam papież.

W innych krajach powstają ojcowskie kluby, grupy ojców, którzy wspierają się w ojcostwie nie wtedy, gdy już jest po wszystkim, po rozwodzie, i pozostaje kwestia, jak p o d z i e l i ć dzieci, jedno z ojcem, jedno z matką, a jeśli jest jedno? Wzdłuż czy w poprzek? Teraz ojcowie chcą być kimś więcej niż tatusiem, który raz na pół roku zabierze dzieci do kina, chcą polepszyć kontakt z dziećmi, przez co poprawiają się stosunki z żoną. Utrzymanie małżeństwa, umiejętność wyjaśnienia sobie tego, co jest źródłem napięć, rozładowanie atmosfery, technika przewycięzania kryzysów pozwala poczuć bliskość.

Kiedy odzywa się do mnie sam z siebie, chwali, wypytuje, cieszy się z moich osiągnięć, jest dumny, gada i gada, wtedy ja kładę mu rękę na karku, by zmierzyć temperaturę, może biedaczek chory?

Bardzo często d o m y ś l a n i e s i ę zastępuje kobiecie m y ś l e n i e .

Gdyby znalazła chwilę spokoju, siadła w ciszy i pomyślała o tym, co ją gnębi, zostawiła domysły i ustawiła logiczny ciąg małżeńskich problemów do rozwiązania, a wreszcie też odkryła ich rozmiar i hierarchię, wtedy mogłaby poszukać sposobów rozwiązania trudności. Nawet kosztem zmącenia miłego nastroju, zrobienia awantury.

W tym miejscu zwracam się do was, drogie siostry w gadaniu, ale i do siebie samej. Jak pomyślałam, tak zrobiłam. Siadłam przy komputerze i wypisałam sobie wszystko. Parę dni byłam uskrzydłona, Boże, ile rzeczy udało mi się uporządkować, poukładałam sobie wszystko w głowie

i w szafach, zajęłam się twórczością, którą zarzuciłam z braku czasu, zadbałam o siebie. I wtedy przyszła mi do głowy myśl, która gdzieś tam się kołatała, jako zasada, priorytet, że skoro ludzie są razem, mieszkają z wolnego wyboru pod jednym dachem, to powinni być razem w dwóch aspektach: w cielesności i w duchowości. Nasze ciała, umysły i dusze mają w sobie potrzebę oraz chęć różnorodnych kontaktów.

Coś swojego

Tak więc ja, po latach walki o równouprawnienie małżeńskie, zrobiłam rachunki, odrobiłam zadanie domowe polegające na logicznej analizie i trochę pomogło. Umiem też się wyłączyć, nic nie muszę, tylko mogę, nie ciągnę za uszy faceta, który nie ma ochoty gadać. Robię swoje, bo mam c o ś s w o j e g o , i o to właśnie chodzi. Co wcale nie znaczy, że gdy mam ochotę przekazać coś ważnego, a słyszę nieśmiertelne „nie w tej chwili”, nie dostaję czerwonej gorączki, bo wiadomo, że kobieta „w pewnym wieku” nie dostaje już białej gorączki; są to znane niektórym „uderzenia gorąca”, na ogół twarz przyjmuje wówczas barwę róży, albo raczej różyczki. Jedyną kobietą, która nie respektuje tego najczęściej używanego przez mężczyzn w stosunku do kobiet zwrotu, jest, niestety, śmierć, ona przychodzi w każdej chwili, i nic jej nie obchodzi, że ktoś robi właśnie coś bardzo ważnego. To symptomatyczne, że śmierć przedstawiana jest jako kobieta. Gdy zna się trochę historię kultury, cywilizacji, tę męską mizoginię rozpowszechnioną wszędzie i w każdym czasie, nie należy się dziwić, że mężczyźni od wieków prowadzący wojny, przeprowadzający czystki etniczne, będący zabójcami i mordercami, wybrali kobietę

do roli morderczyni, która nikomu nie przepuści. To tylko mała dygresja na marginesie.

Gdy pisałam scenariusz filmu *Femina*, z powieści *Pawilon małych drapieżców*, szukałam czegoś dla swojej bohaterki, chciałam, żeby miała c o ś s w o j e g o , żeby to było coś, co zrównoważyłoby pracę jej wyjątkowo zdolnego męża. Bogna, bohaterka powieści, była tłumaczką, bardzo wrażliwą kobietą, młodą matką, która została w kraju z dzieckiem, gdy mąż wyjechał na długo za granicę na stypendium. Mówiło się, że on robi to dla niej, dla dziecka, żeby wszystkim w rodzinie było lepiej. Bogna rozumiała to, wiedziała, że to będzie dobre dla rodziny, k o r z y s t n e dla męża, mówił, że to niezbędne dla jego kariery, a jednak tak naprawdę ona wolałaby klepać biedę razem niż czekać w samotności na powrót taty. Rozdźwięk pomiędzy wiedzą i świadomością a poczuciem krzywdy, które wyległo się w podświadomości czy, jak chcą inni, nieświadomości, stał się przyczyną kryzysu. Rozumiała, że jej rola jest rolą matki wychowującej dziecko, ale c z u ł a , że to nie w porządku, to było niesprawiedliwe, bo w i e d z i a ł a również i to, że taki jednak patriarchalny układ jest bardzo dobrym, najlepszym wyjściem dla jej męża, dla jego rozwoju.

Jej rozwój związany był z dzieckiem. Jego, od dziecka oderwany. Nigdy o tym nie mówiła mężowi w taki sposób, o tym po prostu s i ę n i e r o z m a w i a ł o - asymetria była dla wszystkich naturalna, wpisana w życie złotymi zgłoskami, ale podświadomość Bogny buntowała się. Wpadła w depresję; pozbiierała się, przeżyła śmierć matki. Lepiej poznała matkę dopiero wtedy, gdy zaczęła o niej rozmyślać. O ich wzajemnej relacji, o układzie między rodzicami. Matka nigdy nie powiedziała jej, dlaczego płacze, co takiego działo się między nią a ojcem. Nie rozmawiały o tym. Bogna

przysięgła sobie, że nie będzie powielać losu matki. Nie chciała podporządkować się, płakać w poduszkę, miewać cichych dni. Pamiętała, że gdy ojciec mówił, matka słuchała, nie odzywała się, znosiła jego złośliwości, a potem miała czerwone oczy. Zrozumiała, że matka nie chciała spięcia z ojcem, nie chciała kłótni i zadrażnień, dla niej, dla Bogny. Tak zresztą jak moja matka. Pewnie i wiele waszych matek kładło uszy po sobie. Kobiety często nie wyrażają swoich poglądów, nie rzucają mężowi w twarz tego, co powinny, żeby nie stawiać sprawy na ostrzu noża, bo dzieci na tym mogą ucierpieć. Mężczyzna-ojciec, gdy jest wściekły czy rozdrażniony, albo znudzony i żąda, by dano mu spokój, nie zajmuje się tym, czy dzieci słyszą jego podniesiony głos, czy uczestniczą w scysji, czy się boją, czy nie. On przeprowadza swój program tresowania żony i dzieci w sposób bezwzględny.

Dlatego rozmowy, które powinny były się odbyć w realnym świecie, kobiety prowadzą w głowie. O, tu mówią ostro, co myślą, odpowiadają bezczelnie, twardo, mają argumenty, których mąż nie pozwala im użyć, nie dopuszcza do głosu, a gdy skończy swoją tyradę, odwraca się plecami i nie słucha. Po chwili jest już uspokojony, zabiera się do swoich zwykłych zajęć, pogwizduje, podśpiewuje. Kobieta „nie wykręciła się” do końca, nie miała okazji, wciąż słyszy w głowie jego podniesiony głos, niedający sobie przerwać, nie ma momentu, żeby mogła wciąć się z własnym zdaniem. Potem w nocy, w myślach ćwiczy logiczne zbijanie męzkich argumentów, prezentuje swoje stanowisko.

Ona, Bogna, nie była już taka potulna. Słowa „bo ty zawsze”, „bo ty nigdy” latały pod sufitem jak ptaki, krzyczała, prosiła, groziła, że odejdzie, ale dziecko...

Wszystko szło mniej więcej tak, jak chciała, do momentu urodzenia dziecka. Jej mąż był zajęty, robił karierę, oczywiście dla niej i dla małego Antka. Wtedy nie raz płakała w samotności. Była sama, gdy cierpiała po stracie matki. Jej mąż Jacek napisał list, współczuł bardzo, pytał, czy ma przyjechać na pogrzeb! Pytał! Pytał ją, a więc nie znał jej. Oczywiście odpisała, że da sobie radę sama, że on i tak nic nie pomoże. Uważała, że powinien wsiąść w samolot, stracić trochę dolarów i być przy niej. To pytanie spowodowało przełom. Bogna wiedziała, że ona znalazłaby się natychmiast przy nim. Zauważyła, że asymetria towarzyszy ich małżeństwu jak cień. Zburzyła wreszcie harmonię tej asymetrii, na jakiej zbudowana jest większość związków.

Popełniła błąd, jaki popełniają wszystkie siłaczki. Powinna napisać: wsiadaj w samolot i przylatuj. Mężczyźni potrzebują jasnych deklaracji właśnie dlatego, że nie są specjalistami od domyślania się. Dlatego że biorą znaczenie słów wprost, że nie czytają naszej rozpaczy między wierszami. Ja różnię się od mojej bohaterki właśnie tą wiedzą, z pewnością ja bym napisała, ale na szczęście dla mnie pogrążonej w nieszczęściu, my byliśmy razem przy śmierciach bliskich, z obu naszych rodzin, ale wiercie mi, drogie siostry, że nie wymyśliłam tej historii, o facecie, który n i e w i e d z i a ł , że powinien wydać parę złotych, żeby znaleźć się obok swojej żony, gdy naprawdę potrzebowała wsparcia. Wspierał ją przyjaciel, i z tego wspierania i wspólnego przeżywania bólu narodził się romans, który uległ transformacji w drugi związek. Zraniona kobieta zaczęła przyglądać się swojemu mężowi i znalazła rys psychopatyczny. Nie potrafił dzielić uczuć, był chłodny, zbyt chłodny. Przypominała sobie rozmowy jakie prowadzili: pieniądze, ich wydawanie, budowa wielkiego,

reprezentacyjnego domu, jego plany wyjazdowe, jego kontakty ze znanymi ludźmi...

Bogna, bohaterka mojej powieści, była inna, inna niż ja, ale także inna niż zraniona kobieta, której mąż był wzorem zachowania w nieszczęściu. Jednak Jacek nie miał złej woli, on kochał żonę, przyleciałby, gdy tylko napisała słówko. Nie chciała pisać, pragnęła spontanicznej reakcji. Dlatego postanowiła uniezależnić się od męża, znaleźć coś swojego, mieć tajemnicę. Znalazła to coś, co zajęło ją, odciągnęło od zmaltretowanych, niechcianych myśli o nieczułości swojego męża. Najpierw była to praca. Była tłumaczką, zaczęła tłumaczyć wielką powieść niemieckiego pisarza Hilmara Firci-ga (nie muszę wyjaśniać, że jako autorka wymyśliłam zarówno pisarza, jak i fragmenty rzekomej powieści, moje zdziwienie było niebotyczne, gdy w recenzji przeczytałam, że „w powieści jest wiele cytatów z literatury niemieckiej!”). Tłumaczenie pochłonęło ją. W kraju działało się wówczas wiele ważnych rzeczy, ruszyło podziemie.

Spotykała się z ludźmi, g a d a ł a całe noce. Wciągnęło ją to. Wszyscy byli wówczas rozgadani. Mężczyźni i kobiety stali się bliżsi sobie przez konspirację. Zaczęło się inne, ciekawe i prawdziwe życie, bez Jacka, który był daleko, robił swoją karierę, przestał być najbliższy. W tamtym czasie wielu działaczy podziemia było na miejscu, ale zajmowali się spiskowaniem, niektórzy izolowali żony.

Bogna poznała bardzo młodego drukarza. Rozmawiała z nim, i jak to bywa w romansach kobiet, o s ł o w a , k o ń c z y s i ę r o z m o w a , a z a c z y n a m i ł o ś ć . Uciekła w namiętny związek, chciała za wszelką cenę zdradzić męża. I mimo że wielokrotnie kochała się z tym „obcym człowiekiem, który stał się bardzo bliski”, mimo że przekraczała różne granice, nie udało się jej zdradzić Jacka n a p r a w d ę . Uważała jednak, że grzech, bo wed-

łóg matczynej kategorii był to grzech, a matka, mimo że umarła, wciąż była obecna i pouczała Bognę, co powinna, a czego nie powinna - więc grzech opłacił się, zyskała pewność siebie, twardość, której wcześniej nie miała, a także wolność wyboru. Mogła wybrać młodego kochanka, który poświęcał jej cały swój wolny czas i czujną, a także czułą uwagę. Zawsze mogła z nim porozmawiać, miał dla niej czas i słuchał, co mówi. Może dlatego, że był o wiele młodszy? A jednak wybrała męża. Po długim rozstaniu, z dzieckiem na lotnisku czekała na niego już inna kobieta. Stęskniony Jacek także był już innym człowiekiem. Wiedział, jak ciężko znosił rozstanie, zrozumiał, co jest dla niego najważniejsze, chciał być z Bogną. Bardzo za nią tęsknił. Nawet nie sądził, że tak bardzo.

Piszę tyle o tej powieści, dlatego że była dla mnie bardzo ważna. Powstała właśnie z niedopowiedzeń, nieporozumień, z tego, że i ja domagałam się d o m y ś l n o ś c i od męża. Konflikty powstawały dlatego, że wciąż czekałam, że on się domyśli, że pojmie, co ja czuję, odczyta stany mojej duszy, depresję, która atakowała mnie, ale starałam się jej nie pokazywać, bo wydawało mi się, że muszę być twarda. Gdy dochodziło do wyładowania, słyszałam:

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? Ja nic nie wiedziałem.
- Nie było okazji, nigdy nie było czasu na taką rozmowę ani odpowiedniego klimatu.
- Gdybyś powiedziała, z pewnością bym zrozumiał, czas by się znalazł, a klimat by się wytworzył.
- Myślałam, że sam się domyślisz.
- Dlaczego miałbym się domyślać, skoro wszystko było w porządku?
- W porządku? W porządku?

- No, nic nie mówiłaś, a ja byłem zajęty, przecież pracowałem.

- Ja też pracowałam, a do tego nie wiem, czy zauważyłeś, ale mamy dziecko, które wymaga opieki.

- Jesteś niesprawiedliwa, przecież ja się staram. -Może byłoby lepiej, żebyś mniej się starał, a więcej czuł.

- Mam dość twoich pretensji, naprawdę zastanów się, co robisz.

- Zastanawiam się przez cały czas. Może ty byś pomyślał, kiedy ostatni raz byłeś z dzieckiem na spacerze, kiedy zająłeś się nim, żeby ja mogła coś zrobić albo nawet odpocząć.

- Muszę skończyć doktorat. A ty robisz wszystko, żeby ja nie mógł pracować.

- No właśnie, a ja nic nie muszę, prawda, ja tylko mogę...

I tak dalej, i tak dalej, coraz głośniejsze, coraz ostrzej.

Wreszcie moje łzy i jego słowa: „Nie myśl, że dam się szantażować łzami”.

Te słowa dokonały rewolucji. Pomyślałam, że jeśli do tego stopnia się nie rozumiemy, to gdzieś tkwi błąd. Ja byłam w rozpacz, on się bronił, myślał chyba, że łzy są sztucznie wywoływane, płyną na zawołanie, bo jeśli służą do szantażu, to nie mogą być prawdziwe. Dotarło do mojej świadomości, że prawdziwy problem umknął albo został skierowany umiejętnie przez mojego rozmówcę na boczny tor. Mieliśmy mówić o tym, że to on nie spełnia swych obowiązków, że ja zostaję sama, z dzieckiem, z depresją, z rozgrzebaną pracą, która mnie ciągnie, a ja nie mam chwili, by do niej sięgnąć, a zamiast pogadać o tym, zaczęliśmy zajmować się moimi uczuciami, tym, że ja nic nie rozumiem, że on musi. Kot odwrócony ogonem miauczał przeraźliwie, ale rozmowa stała się niemożliwa.

- Przepraszam cię, ale ja nie mam czasu na pogawędki - powiedział i siadł do swej roboty.

A ja miałam czas na pogawędki? Wtedy pomyślałam, że pora zmienić sposób postępowania. Dziecko sprawiało mi wielką radość, ustawiłam sobie życie w taki sposób, że mogłam rysować, a potem zaczęłam pisać. Pogawędki zaś, rozmowy prowadziliśmy wieczorami, gdy dziecko spało. Okazało się, że nawet niemowlę jest partnerem do rozmowy, często lepszym niż dorośli. A mały, gdy skończył rok, zaczął gadać jak najęty. Czułam, że to jest dobre dla nas wszystkich. Dziecko, do którego się mówi, z którym dużo się gada, odpowiada na jego pytania, rozwija się w oczach.

Musiałam jednak przyznać się przed sobą do błędu. Wydawało mi się, że sposób załatwienia naszego problemu, potraktowanie go formalnie, z góry: „nie mam czasu na pogawędki”, był pogardliwy, że to brak szacunku dla mnie. Tak nie było, choć można było to tak odbierać. Wiedziałam, że się kochamy, i to pozwoliło nam przetrwać trudne lata. Pomógł mi zwłaszcza stosunek mojego męża do wszystkiego, co robiłam, zawsze pozytywny, wzmacniający. Gdy miałam pierwszą wystawę swoich prac, gdy wyszła w „Czytelniku” pierwsza moja książka, był ze mnie dumny, chwalił mnie przed ludźmi, przy mnie i za plecami. Rozumieliśmy się najlepiej, jak można, żyliśmy codziennym, spokojnym, pełnym miłości życiem, od jednej awantury do drugiej, kiedy to czar pryskał, kolorowa bańka mydlana robiła się czarna, ogarniała mnie rozpacz, nie mogłam pojąć, jak możemy się tak nie rozumieć, skoro tak się rozumiemy.

Kobiety często w kryzysowych momentach uciekają w chorobę, mężczyźni w sen. Ja uciekałam „w dziecko”, „i to było dobre” - jak mówi Pismo.

Kiedy byłam mała, zawsze chciałam zobaczyć, jak rozkwita kwiat. Wpatrywałam się w pąk, ale nigdy nie udało mi

się uchwycić momentu rozwinięcia płatków. Zawsze dopiero następnego dnia widziałam, że jest już rozwinięty. Zostało mi to do tej pory. Lubię kwiaty, które zamykają się i otwierają, tak jak tulipany stulające płatki na noc. Lubię obserwować rozwój i zmiany. No więc w tak poetycki sposób dałam wam, drogie siostry, do zrozumienia, że obserwowanie rozwoju własnego dziecka było czymś nadzwyczajnym. Udało mi się wciągnąć męża w ten codzienny rytuał.

Zaczęłam pisać dziennik, tam umieszczałam swoje radości i rozpacze.

Zaczęłam prowadzić trochę osobne życie. Miałam swoich, oddzielnych przyjaciół. Niewielu, ale dobrych. Oprócz tych wspólnych.

Zaczęłam mieć swoje sprawy i tajemnice. Sekrety często pozwalają przetrwać kiepskie momenty. Zrobiłam się pogodna. Choć zdarzały się od czasu do czasu czarne dziury. Nabrałam pewności, że to, co robię, jest słuszne, jest dla mnie dobre.

Tak jak Bogna, bohaterka mojej powieści, znalazłam c o ś s w o j e g o . Dziecko, praca, przyjaciele, długie rozmowy. Inaczej dom zamieniłby się w piekło. Takie życie wybrałam.

Utracona wolność Krystyny K.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek miałam tę utraconą wolność, której od dawna usilnie poszukuję? Tytuł sugeruje, że tak było, ponieważ nie można utracić czegoś, czego się nigdy nie miało. Z jednej prostej przyczyny: nie wiadomo, czego szukać, gdy nie wie się, czym to jest. Przyjmując rozumowanie Pascala na temat Boga, każda z nas może sobie

powiedzieć: nie szukałabyś mnie, gdybyś mnie już nie posiadała. Co zakłada, że każdy kto szuka wolności, wie choćby intuicyjnie, czym owa wolność jest. Wie ukrytym rodzajem wiedzy, jeśli nawet jej poczucie wolności zostało stłumione, wyparte do piwnic nieświadomości i ukryte przed nią samą.

Poczucie uciemnienia, które nierzadko towarzyszyło mi: najpierw w domu rodzinnym, w różnych szkołach, do jakich uczęszczałam, na uniwersytetach, w pierwszej i jedynej pracy etatowej, a potem już we własnym domu, daje pojęcie o wielkiej wartości zguby. Ciągłe walczę i staram się wyzwalać nowe obszary, kiedyś niedostępne, choćby ze względu na powyższe i nowe, inne obowiązki. Nawet jeśli sama je sobie narzuciłam, chciałam takiej drogi, wybrałam taki sposób życia, często nie mogłam poradzić sobie z uwikłaniem, jakie sama sobie narzuciłam. Krótko mówiąc, było niezupełnie tak, jak sobie wyobrażałam. Szkoła kazała mi uczyć się nie tylko tego, co mnie interesowało, na uniwersytecie traciłam czas na kiepskich, za to obowiązkowych wykładach, musiałam zdawać egzaminy, nawet poprawkowe, z czegoś, co wzbudzało we mnie tylko nudę albo nawet obrzydzenie. A jednak świadomość, że muszę skończyć studia, studziła ciągoty ku anarchii.

W początkowej fazie małżeństwa wszystko układało się mniej więcej po mojej myśli, oboje studiowaliśmy, mieliśmy wiele towarzyskich, studenckich kontaktów, z ludźmi z różnych kierunków, wśród naszych przyjaciół było kilku matematyków, fizyków, byli malarze, rzeźbiarze, muzycy, poeci, młodzi krytycy, pisarze. Wszyscy się wtedy wykluwaliśmy, dopiero zaczynały nam się krystalizować zainteresowania, ujawniać talenty.

W naszym domu, ani w moim rodzinnym, ani w tym nowym, założonym z mężem, nie mieliśmy telewizora -z

wolnego wyboru. Nie mieliśmy czasu, wówczas wszyscy dużo czytaliśmy, chodziliśmy do kina na dobre filmy, a także do teatru. Ja studiowałam polonistykę, mój mąż kończył

psychologię. To był pasjonujący okres. Często wieczorami, podczas kolacji we dwoje, prowadziliśmy rozmowy, które oboje bardzo lubiliśmy, przenikała się w nich psychologia z literaturą, życie ze sztuką. Rysowałam, malowałam, zaczynałam pisać, notowałam różne pomysły, nie wiedziałam jeszcze, kim będę. Taki stan rzeczy trwał prawie pięć lat; w tym czasie skończyłam studia, a mój mąż rozpoczął pisanie doktoratu.

Wtedy urodził się nasz syn. To było szczęście, ale także punkt krytyczny naszego związku.

Złodziejka pamięci

Dopiero wtedy moje wyobrażenia o naszej wspólnotcie - jako pary - o pomocy, o wzajemnym zrozumieniu, zderzyły się z realnym peerelowskim życiem. Oczywiście już jako dziecko, mimo szklanego klosza, ochrony, jaką rodzice zwykle zapewniają dzieciom, poznałam wszelkie możliwe uciążliwości PRL-u, całą biedę, strach przed mówieniem głośno, co się myśli, zniewolenie zewnętrzne, lęk przed chorobą, lęk przed śmiercią bliskich, bo ojciec był schorowanym człowiekiem. Oddzielałam to od zniewolenia umysłu, bo w domu mówiło się prawdę, czasami dla dziecka straszną, czasami dowiadywałam się „z podsłuchu” o pewnych sprawach, które miały pozostać tajemnicą. Stąd wzięła się moja powieść *Złodziejka pamięci*, książka o dziewczynce, która pamięta to, co miało być przed nią ukryte, i potem jako dorosła pisarka odtwarza wszystko z pamięci. Sięga w rejo-

ny dotąd niedostępne i pięci wspomnienia. Nawet te bolesne.

Okres dzieciństwa był mimo różnych cierpień dobry, nie kaleczył mnie, nie upokarzał, nie czułam się wtedy gnębiona. Nawet przez szkołę, bo dość ją lubiłam, czułam się w niej wolna, a jak doskwierała mi nuda codziennych lekcji, robiłam sobie urlop w postaci wagarów. Gorzej było, gdy zaczęłam dojrzewać. Matka urodziła mnie już po czterdziestce, chyba była to wpadka, efekt środka antykoncepcyjnego, jedyne, jaki uznawali moi rodzice, czyli kalendarza małżeńskiego. Nie wiem zresztą nic pewnego na ten temat, bo w domu nigdy „o takich rzeczach” się nie rozmawiało. Gdy więc przechodziłam ciężki okres dojrzewania, matka wpadła w rodzaj hysterii na punkcie seksu, że ktoś mnie skrzywdzi, wykorzysta, porzuci z dzieckiem, że wpadnę w złe towarzystwo, zejść na złą drogę, porzucę wiarę, bo zaczęłam się buntować przeciw przymusowi spowiedzi i niedzielnej mszy. Zamiast ostrzec mnie po ludzku, powiedzieć, czego mam się obawiać, stosowała metodę zrażania mnie do mężczyzn w ogóle. Może miała swoje powody, w każdym razie dowiadywałam się, że mężczyźni nie szanują kobiet, że trudno spotkać godnego człowieka.

Nic dziwnego, że chciałam jak najszybciej uciec z domu, miałam duże powodzenie, byłam ładna i bystra, nie pozwalałam sobie w kaszę dmuchać, no i nie czytałam jeszcze wówczas filozofów i mędrców, którzy o kobietach pisali w taki właśnie sposób, w jaki matka przedstawiała stosunek mężczyzny do kobiety. Myślałam, że matka ma przestarzałe poglądy, trochę się z tego śmiałam, trochę mnie przerażały jej opowieści.

Miewałam różnych chłopaków, narzeczonych, z którymi nie sypiałam, po bardzo ciężkim doświadczeniu pierwszego razu, kiedy to, co miało być pierwszą miłością, romantyczną

utrata dziewictwa na plaży, skończyło się krwotokiem, nocną eskapadą do lekarki. Pani doktor stwierdziła, że przez ten brutalny akt pewnie nie będę mogła mieć dzieci. Nie byłam uświadomiona, ani przez dom, ani przez szkołę, nie przygotowano mnie do uprawiania seksu, ani cieleśnie, ani duchowo, nie wiedziałam także o tym, że mimo mojej niewiedzy moje ciało reaguje tak, jakbym była doświadczona, mój pierwszy kochanek nie wierzył, że jestem dziewicą. Tak więc był to gwałt-nie-gwałt, bo przecież sama chciałam, nie wiedząc dokładnie, czego chcę. Mężczyzna był starszy ode mnie, doświadczony, ale...

Absztyfikanci, tak nazywał mój ojciec tych, co się „kręcili” wokół mnie. Jedni przychodzili z gitarami pod okna, inni pisali wiersze, byli też tacy, którzy nic nie pisali, tylko od razu brali się do rzeczy, a ja po pierwszych pocałunkach uciekałam, gdzie pieprz rośnie, bo bałam się, że znów dojdzie do tego, czego starałam się za wszelką cenę unikać. Jedni byli starsi, inni młodzi, jedni się od razu oświadczali, inni długo „chodzili”, miałam szczęście do takich, którzy chcieli od razu się żenić. Uciekałam od wszystkich, gdy robiło się zbyt gorąco.

Potem, gdy mi przeszło, gdy zwalczyłam strach, dopiero po czterech latach (!) z pomocą żonatego mężczyzny, bo tylko ten mi się podobał, zaczęłam w miarę normalne życie seksualne, nie całkiem takie, jak być powinno, bo obwarowane wieloma zakazami, ograniczeniami, jednym słowem dmuchałam na zimne. To było studenckie życie poza domem. Znudziło mnie jednak studiowanie wyłącznie sztuki, malarstwa, rzeźby i tak dalej. Wróciłam do domu, zaczęłam studiować polonistykę, zerwałam z tamtym życiem. Aż wreszcie poznałam kogoś, kto wydawał się dla mnie stworzony. Pobraliśmy się bez zgody rodziców, po wspólnie

spędzonych wakacjach, podczas których poznaliśmy się lepiej, kiedy okazało się, że nie tylko rozmowy, intelekt i twórczy rozwój mają znaczenie, ale również seks może być namiętnym odkryciem. „Definitywnie będziemy razem”, oświadczyliśmy naszym rodzicom i po naradzie jednych z drugimi tę zgodę dostaliśmy, jednak nie czekaliśmy na nią, bo papiery w urzędzie złożyliśmy już wcześniej. Mój ojciec kupił nam obrączki, bo nie stać nas było na nie. Miał szczęśliwą rękę, służą nam do dziś.

Moje baśniowe dziecko

Po czterech latach współżycia i życia okazało się, że naprawdę jestem w ciąży, ale zanim dotarło do mnie, trwało to jakiś czas, wiedza na temat zapłodnienia była dla mnie wiedzą tajemną, niezgłębioną. W przedziwny, magiczny sposób nie wiązałam miłości w łóżku z poczęciem. Może przyczyniło się do tego katolickie wychowanie i znajomość katechizmu na poziomie niezbyt wysokim. Jako dziewczynka grałam Matkę Boską w jasełkach, a więc ta symbolika związana z brakiem seksu mogła zaważyć na przekonaniu, że trzeba oddzielać grzeszny, choć jakże przyjemny seks od świętości poczęcia. Można śmiać się z tego rodzaju interpretacji, ja też się z tego śmiałam, ale naprawdę sami nie wiemy, w jaki sposób ciążą na nas wcześniej poznane dogmaty.

Najpierw brak menstruacji uznałam za objaw stresu, bo był to czas ciężkiej choroby i odchodzenia ojca. Potem uznałam, że to ja jestem chora, bo bałam się pomyśleć, że to prawda, bałam się zapeszyć, aż wreszcie zyskałam pewność! Tak. Będę miała dziecko! Jestem w ciąży!

Dziecko było wspnianiałym prezentem od losu, bardzo chciałam je mieć, czekałam na nie, prawie jak bohaterka baśni Andersena, bezpłodna kobieta, która nie mogła mieć

dzieci, czekała na Calineczkę, i doczekała się malutkiej dziewczynki pływającej na liściu nenufara, w kołysce z łupiny orzecha. Pamiętam tę bajkę, może coś przekręciłam, ale piszę o tym, żeby pokazać wam, drogie siostry, jak zaciążyła na mnie ta piękna historia o spełnionej miłości samotnej kobiety do dziecka. Ja także myślałam, że jestem bezpłodna, i miałam do tego pewne podstawy, związane właśnie z pechowym „pierwszym razem”. Cztery lata małżeństwa, bez żadnych środków antykoncepcyjnych - i nic. I nic. I wreszcie po czterech latach udało się! Nie należałam do płodnych jak królice, do tych, o których słyszałam w szpitalu, na sali, gdzie leżały młode i starsze matki, nie byłam taka jak te, co zachodziły w ciążę, gdy zobaczyły spodnie. Jako dziecko, mała dziewczynka płakałam ze wzruszenia nad szczęściem, jakie spotkało tę wymyśloną przez Andersena kobietę czekającą na dziecko. Potem w dorosłości oczekiwałam cudu, i ten cud się zdarzył, był zresztą bardziej po mojej myśli niż Calineczka, bo wołałam, żeby urodził się chłopiec. Obawiałam się, zupełnie bez sensu, że dziewczynka będzie moją dublerką, rodzajem klonu, że nie będzie to dla mnie tak ciekawe jak narodziny małego „obcego”, obdarzonego inną płcią niż moja.

Myślałam, że oboje z mężem jesteśmy w podobny sposób przygotowani na przyjście dziecka, że oboje będziemy cie szyli się tak jak kobieta czekająca na Calineczkę. Że on ma taką samą wrażliwość, że takie same mamy pragnienia. Oczywiście byłam jakoś „uświadomiona”, czytałam książki o ciąży, o tym, co robić, żeby urodzić zdrowe dziecko, jak je potem karmić, jak wychowywać, ale uczuciowo opierałam się na baśni, nawet o tym nie wiedząc.

Tymczasem mój mąż nie bardzo przejmował się losami kobiety wypatrującej Calineczki ani też tą mikrodziewczy-neczką się nie zachwycał. W dzieciństwie

czytywał Karola Maya i chodził na radzieckie filmy przygodowe. Był też czynnik dodatkowy, niesprzyjający: pochodził z tak zwanej rozbitej rodziny. Rodzice rozwiedli się, gdy miał cztery lata, i najbliższy stał mu się starszy, sześćioletni brat Janusz, później znany jako Jonasz. Myślę teraz, bo wtedy tego nie rozumiałam, że mój mąż bał się dziecka; bał się i miał powody. Przypuszczam, że tak było, bo często rozmawialiśmy o niedobrych chwilach jego dzieciństwa: o rozdzieleniu braci (jeden u ojca, drugi u matki), o wyjeździe matki, kiedy obaj zostali z ojcem, a właściwie z kolejnymi niańkami i gosposiami, bo ojciec był bardzo zajęтым człowiekiem. Wreszcie bracia wylądowali u matki, która - jak to często rozwiedzione kobiety - ukrywała dzieciaki przed mężem, który „miał prawo do odwiedzin”. Trwało to wiele lat, zanim doszło do normalności. Z tym bagażem trudno patrzeć w przyszłość jak w baśń.

I tak poznałam smak samotności

Zostałam sama z opieką nad dzieckiem, musiałam porzucić pisanie rozpoczętej powieści i zastanowić się nad tym, jak będzie wyglądało moje dalsze życie. Rozumiem gorzki smak porzucenia, choć nie zostałam porzucona. Miałam dobrego męża, który pracował naukowo, robił karierę, ale już nie zarzucał mi braku ambicji, co wcześniej się zdarzało, bo on był wybitnym studentem, a ja kiepską studentką. Uważał, że mam różne talenty i powinnam robić z nich użytek, a nie czytać po całych dniach, choć dzięki czytaniu rozwijałam się i mieliśmy zawsze o czym rozmawiać. Nie uczyłam się tego, co zadawano na studiach, nudziło mnie to. Studiowanie zaczęło mnie zajmować, gdy pojawiły się

interesujące ćwiczenia i wykłady, teoria literatury, historia kultury, wtedy stałam się dobrą studentką. Nie miałam jednak naukowego zacięcia, takiego jak on, pracowałam w domu, a najważniejsze, że byłam kobietą. Gdy urodziłam dziecko, moją ambicją powinno było być jego wychowanie. Dlatego opieka nad dzieckiem i prowadzenie domu spadło na mnie, choć nie byliśmy tradycyjnym małżeństwem. Było to z górą trzydzieści lat temu, i nie były to czasy feminizmu, nikomu nawet nie wpadło do głowy, że mąż mógłby na korzyść żony wyrzec się czegokolwiek, co dotyczyło jego pracy i wspinania się po stopniach kariery

Sądziłam wcześniej, że będę miała więcej swobody, czasu na własną pracę, zawsze dużo rysowałam, malowałam, ale teraz, przez pierwszy rok nie miałam czasu na nic. Myślałam, że zaznam większego zrozumienia i doświadczę zainteresowania moimi problemami, łudziłam się, że nie są tylko moimi, ale są naszymi. Oczywiście, mąż pomagał mi, wnosił wózek, gdy wracałam ze spaceru z dzieckiem, robił cięższe zakupy, mył naczynia, czasami obrał warzywa do obiadu, jak na tamte czasy był bardzo nowoczesnym mężem.

A jednak oczekiwałam czegoś więcej. Nagle okazało się, że miałam więcej wolności w dzieciństwie. Rodzice dbali, żebym miała czas na naukę, na rozwój. Rodzice dbali, ale nie zauważałam, że dzieje się to kosztem wolnego czasu matki. Miałam się uczyć, bo wykształcenie było jedynym kapitałem, jaki mogli zaoferować mi w biedzie socrealistycznej. Oni to dobrze rozumieli i wbili mi do głowy. Ciągłe mówiło się o tym, że to, czego się nauczę, przyda mi się w każdej sytuacji. Rzecz jasna, nie zgadzałam się z nimi, ponieważ uważałam, że wybrali nieodpowiednią, bo żeńską, szkołę dla mnie, ale generalnie lubiłam wiedzieć i nauka nie była dla mnie ciężarem nie do zniesienia, w odróżnieniu od reżimu szkol-

nego i domowego. W obronie przed nim nauczyłam się kłamać, czyli mijać się z prawdą, manipulować. Brzmi to nieładnie, ale było konieczne, by chronić i zdobywać pewne obszary wolności.

Moja matka zaoferowała pomoc, chciała wziąć dziecko, wychowywać je, a ja mogłabym pójść do pracy. Jednak nie przyjąłam tego, bo nie tak wyobrażałam sobie wychowanie syna. Wolność zatańczyła w jednej parze z poczuciem obowiązku. Nie był to łatwy taniec, ale był mój własny. Sama go wybrałam.

Poluzować łańcuch

Niestety, wiele kobiet nie ma komfortu wyboru. Są zabiegane, zapędzone w kierat, z krótkim łańcuchem na szyi, niepozwalającym oddalić się ponad dopuszczalną odległość. Nie starcza im czasu na skupienie, może też nie chcą poznać prawdy o swoim związku, mężu, dzieciach, a głównie o sobie. Nie potrafią odczepić się od domysłów, wariantów zdarzeń, od tego słynnego nic niewnoszącego „co by było gdyby” i wejść twardo w to, co jest. Trudno porzucić neurotyczne scenariusze, gdy żona nie ma czym zająć mózgu. Gdy pochłania ją praca, rozrywki, jakieś ulubione zajęcie, nie ma czasu na gdybanie, tak jak nie ma na to ani czasu, ani ochoty jej mąż. Czasem jest to usprawiedliwianie własnego lenistwa, niechęci do pracy, do uczenia się czegoś nowego, doskonalenia się. Wiele kobiet z małżeńskimi problemami, które mają w domu bardzo podobną sytuację jak ta skrzywdzona przez los, zrywa łańcuch i uwalnia się. Nie całkowicie, bo to jest niemożliwe, ale przynajmniej rozluźnia go na tyle, żeby nie ranił do krwi, nie dusił. Taka kobieta przestaje wisieć na mężu, z czego on jest zadowolony, traci nadopiekuńczość, co pozwala lepiej i samodzielniej

rozwijać się dzieciom, zmienia charakter, nie jest już owijającym się wokół nich trującym bluszczem. Zamiast szukać pożywki dla swojej obsesji, wyzwała się z zabójczego domyślania się i robi karierę, ucieka w pracę własną, zamiast szukać dziury w całym, choć może nie do końca całym małżeństwie. W końcu nikt nie jest doskonały, i nie ma powodu oczekiwać, żeby mąż był idealny. Zamiast myśleć: „To ja poświęcam się dla nich, nikt się mną nie zajmuje, to ja obiegam wszystkich”, czas powiedzieć sobie: „Muszę wreszcie stanąć pewnie na nogach, zarobić własne pieniądze, uwolnić się od rodzinnego uzależnienia. Zyskać choćby częściową autonomię”.

Nie damy się nabrać!

Istnieją kobiety spełnione w małżeństwie, lubiące swą pracę w domu, wychowywanie dzieci, niańczenie wnuków. Jest w tym taki sam sens jak w każdym innym zajęciu, pod warunkiem że taka rola wiecznej opiekunki innych jest uwewnętrzniona, że istnieje na nią świadoma zgoda, dająca szczęście. Taki typ kobiet nie ma problemów z zaśnieciem, nie dręczy ich zraniona duma, nie czują upokorzenia. Nie spędzają godzin na domyślaniu się wrogich zamiarów ze strony bliskich, nie szperają mężowi po kieszeniach, żeby znaleźć coś, co je upokorzy. Taka żona nie będzie odczytywała usłyszanych w przelocie słów i w niedopowiedzeniu nie zacznie dopatrywać się czegoś przeciw sobie. Ma czas na rozmowy z dziećmi, dobry kontakt, nie obawia się, że dzieciaki ćpają albo oglądają porno w Internecie. Zajmuje się wychowaniem, jest czytana, wie, co może się złego przytrafić dziecku, i stara się temu zapobiec.

Zaczęła się nawet jakaś moda na rzucanie pracy po kilkunastu latach i zajmowanie się dziećmi, moda na spełnienie

w domu i w rodzinie. Pisze się o tym artykuły w kolorowych magazynach i w poważnych dziennikach. Zachwyceni konserwatyści-i ich satelitki damskie prowadzą kampanię, która ma udowodnić, że kobiety rozwijają się poprzez nadskakiwanie mężowi, spełnianie obowiązków i pieczenie pysznych ciasteczek oraz wożenie latorośli na rozliczne zajęcia pozalekcyjne. Jak na razie jeszcze kształcić mają się także dziewczynki, ale pewnie w następnym etapie może okazać się, że przecież z dziewczynek wyrastają kobiety, które są materiałem na żonę, lepiej więc uczyć je gotowania niż fizyki czy socjologii, bo i tak im się to do niczego nie przyda. Nie jest to zjawisko masowe, ale podobno odpór feminizmowi dają właśnie feministki, bizneswoman, te same, które domagały się praw, walczyły jak lwice, a teraz nagle wylądowały znów w kuchni, jak spadochronem na morzu, i tworzą kluby dla takich jak one, spotykają się na kawie, gadają o tym, jakiego to wspaniałego wyboru dokonały, utwierdzają się wzajemnie, że znów są w awangardzie nowego. To nie byłoby groźne, najgorsze są dobre rady tych ciotek nowoczesnych, choć wypalonych, które radzą innym kobietom: rzućcie firmę, jeśli jesteście dość bogate, i poświęćcie się całkowicie domowi, jeżeli to możliwe ze względów finansowych. Wcześniej dziko oddawały się pracy, a teraz, gdy czują się jak wyczerpane baterie, udzielają innym dobrych rad.

Zamiast namawiać ojców, by przejęli część obowiązków i włączyli się w wychowanie dzieci i pomagali w prowadzeniu domu, zwała się znów cały domowy balast na plecy kobiet. To bardzo wygodne i zyska spore poparcie polityków i wszystkich zagrożonych facetów kierujących firmami, którzy czuli, że lepiej wykształcone i zdolniejsze kobiety mogłyby zająć ich miejsce, a prowadząc taką kampanię, pozbywają się konkurencji; do tego mają czyściutkie łapy, bo robią to rękami kobiet.

Podobno w Ameryce wiele świetnie wykształconych kobiet na wysokich stanowiskach, dyrektorek, prawniczek, porzuca fotele przy biurkach w wielkich gabinetach i z rozkoszą wraca do kuchni, do domu. Nie chcą już godzić wyczerpującej pracy łączącej się ze stresem z frustracją matki, która nie zapewnia dzieciom i tak dalej.

Radość konserwatystów, piejących z zachwytu nad nowym trendem, jest dwuznaczna i przedwczesna. Dowiadujemy się, że na brytyjskich akademiach medycznych studiuje 63% dziewcząt, na wydziale prawa 60%, na zarządzaniu firmą 55%, a potem odnajdujemy tylko 20% lekarek w szpitalach, 37% prawniczek, a na dziesięć wielkich firm tylko jedną zarządza kobieta. Może więc jest tak, że kobiety są po prostu zmęczone, oddają pole, wyczerpały się, nie mają siły walczyć.

Osobną sprawą jest to, co owe damy mówią o zadowoleniu, o rozkoszach bycia panią domu, gosposią męża i dzieci, zamiast księgową czy lekarką albo właścicielką firmy z własnymi pieniędzmi. Znów wrócą do punktu wyjścia, do uzależnienia od kasy faceta, z którym żyją, i będą zależne od jego dobrej albo złej woli. Muszą się bardzo głośno utwierdzać, że mają rację, i pisać z zachwytu jak kura, która zniosła złote jajko. Jajo wygląda na złote, ale jest z tombaku. Zawsze twierdziłam, i uważam tak nadal, że mechanizm racjonalizacji, czyli umiejętność tłumaczenia sobie, że to, co jest dla nas średnie, albo wręcz szkodliwe, jest dobre, jest najlepiej naoliwionym mechanizmem naszej psychiki; gdyby nie działał, ludzie wisieliby na drzewach jak gruszki w rok urodzaju.

Dlatego też, gdy nieszczęsne kobiety wycofały się na pozycje w okopach, m u s i a ł y uznać, że są szczęśliwe, że tego właśnie pragnęły. Gdyby tego nie zrobiły, mogłyby nie wytrzymać i wpaść w depresję. Jeśli zaszły tak wysoko, przy

różnych przeszkodach, na jakie napotykały w swej karierze, musiały być bardzo silne. Im twardsza była wcześniej kobieta, tym bardziej potem cierpi. Żeby nie wylądować w psy-chiatryku, trzeba znaleźć wyjście z kiepskiej sytuacji. Mówi sobie: Byłam kiedyś w awangardzie, namawiałam kobiety do robienia kariery, ale dłużej tak nie mogę, nie mam sił, czuję się jak cytryna wyciśnięta przez skąpca do ostatniej kropelki, mam dość!

Smutne życie ryjówki

W tym miejscu następuje zwrot w akcji filmu o ambitnej kobiecie, która zrozumiała, że teraz najbardziej *trendy* jest piec ciasteczka i gdy już się przywiezie całą trójkę rozkosznych dzieciaczków ze szkół i zajęć, czekać razem z nimi na powrót ukochanego tatusia i męża z banku, którego jest dyrektorem. To pozwala utrzymać dom na odpowiednim poziomie. Jego praca i jego kasa. Czy może być coś, co daje kobiecie większe szczęście? Musi powtarzać sobie to jak mantrę, tak jak ryjówka, małe zwierzątko, musi przez cały czas jeść, bez chwili przerwy, bo jak przestanie, to umrze. Tak to wygląda, jakby przestała sama się utwierdzać, to umarłaby jej pewność, że zrobiła dobrze, wypęłzyłby wątpliwości i depresja gotowa.

Wstrzymać się należy z oceną tego zjawiska, odczekać kilka lat, by przekonać się, czy to szczęście jest naprawdę wewnętrzne, wypełnia kobietę jak gaz napełnia balon; czy lada ukłucie nie przebije go i nie zmieni słodkiej zoneczki i czulej mamuśki w oklapły strzęp człowieka.

Jedna z takich zamożnych dam, opisywanych przez „Ob-server”, to Celia. Skończyła Manchester University i jeszcze dodatkowo college w Londynie, pracowała piętnaście lat przy produkcji filmów, jeździła po całym

świecie, znała ważnych i popularnych ludzi. W wieku trzydziestu pięciu lat urodziła dziecko i wtedy zajęła się wyłącznie niemowlęciem. Teraz radzi innym:

„Uważam, że jeśli trzydziestoparoletnia kobieta ma ponad dziesięć lat pracy, to jest najwyższy czas, by zajęła się czymś innym, jeśli tylko może sobie na to pozwolić”.

Kategoryczne rady, co powinna kobieta, są głupie, przypominają wojskowe przepisy: co żołnierz ma pod łóżkiem? Sprzątać. Co żołnierz ma w spodniach? Chodzić.

Może by raczej ta szczęśliwa Celia pomyślała, zanim zacznie radzić wszystkim to samo. Może nie spostrzegła, że późno urodziła dziecko, że większość kobiet w jej wieku ma już dzieci kilkunastoletnie, na wylocie z domu, i rady, jakich udziela, są pozbawione sensu, bo syn i córka za chwilę wyjadą na studia, wyprowadzą się z domu i kobieta zostanie w czterech ścianach, o które będzie obijała się jak kiedyś amerykańskie panie domu cierpiące na syndrom opuszczonego gniazda. Właśnie wśród nich notowano największą ilość prób samobójczych, a także uzależnień od narkotyków czy alkoholu. Klub pijących razem kawkę i wymieniających przepisy na szarlotkę nie pomoże. Na długo nie wystarczy.

Wiem lepiej, czego mi trzeba

To, co jest dobre dla starszych matek małych dzieci, niekoniecznie sprawdza się w przypadku młodych matek starszych dzieci. Każda z nas przyjmuje jakiś swój model życia. Oczywiście, kierujemy się także tym, co przytrafiło się innym, często układamy sobie los w opozycji do naszych matek. Tak było w moim przypadku. Nie chciałam powtórzać jej losu, wchodzić w koleiny, jakie mi wyznaczono. Jeśli

jestem szczęśliwa, to dlatego że sama wybrałam, jeżeli, bywa, czuję się nieszczęśliwa, dzieje się tak z tego samego powodu. Przyjęłam całkiem inny modus niż wspomniana tu Celia, może dlatego tak mnie denerwuje to, co ona zaleca. Otóż ja kończyłam studia, pisałam pracę magisterską, będąc już od czterech lat mężatką. Pobraliśmy się wbrew radom naszych rodziców i przyszłych teściów, którzy powtarzali aż do znudzenia, zaczekajcie, aż Krysia skończy studia, a Mirek niech najpierw napisze doktorat. Pracę obroniłam w lipcu, we wrześniu urodził się Wawrzyniec. Siedziałam przez cztery lata w domu, wychowując go. Klepaliśmy biedę. Łatwiej było ją klepać, bo były to lata PRL-u, gdy wszyscy byli biedni. Dużo czytałam, rysowałam, przygotowałam dwie wystawy rysunków. Potem zaczęłam pisać, choć szło mi ciężko, mąż kończył doktorat, nie miał czasu mi pomagać tyle, ile bym chciała i potrzebowała. Wawrzyn poszedł do przedszkola, kiedy skończył cztery lata. Najpierw na trzy godziny, potem na dłużej. Wiedziałam, że siedzenie z dzieckiem, wychowywanie go opłaci mi się, i tak się stało. Gadanie do niemowlęcia, potem do małego dziecka, osobisty ciągły kontakt z matką daje efekty. Takie dzieci mają większy zasób słów, są inteligentniejsze, bo daje to im możliwości rozwoju. Potem już moja praca zawodowa przebiegała harmonijnie. Codziennie rano przygotowanie obiadu, później kilka godzin pisanie, czytanie, siedzenie z rodziną. Tak jest do dziś. Nie zrezygnowałam z tego nawet podczas choroby, chyba tylko wówczas, gdy cierpiałam bóle po chemioterapii. Moja praca dawała mi siłę, sklejała mnie i dawała poczucie bezpieczeństwa: jak dobrze, że nie wiszę na moich bliskich, którzy i tak mają ze mną zgryzotę, dobrze, że mimo wszystko jestem niezależna.

Nie ośmieliłabym się jednak radzić nikomu niepytana, tak jak robi to Celia. Nie radziłam też nigdy wybierać takie

go rodzaju pracy, jaki ja wybrałam, bo jest tylko pozornie lepszy niż etat. Po pierwsze dlatego, że mało kto ma dyscyplinę potrzebną, by pracować, a nie marudzić czy szlajać się po domu. Nie ma się stałej pensji, ubezpieczeń, zabezpieczeń emerytalnych, wszystko trzeba samemu wypracować, a zdobycie pozycji w moim biznesie trwa ładnych parę lat, posiwiatych skroni nie widać głównie dlatego, że fryzjerka Mira dobrze się spisuje.

Wiem, że mój model sprawdził się na moim żywym organizmie, nie bez bólu, kryzysów, napięć, stresów, frustracji. Było tego sporo, ale uważam, że dla mnie ten styl pracy i życia rodzinnego jest najodpowiedniejszy. Zdarza się, że przychodzi do mnie ktoś i mówi: „Jak ja ci zazdroścę!, siedzisz w domu, pijesz herbatę i sobie piesz, a ja muszę użerać się przez cały dzień z moimi pracownikami w firmie, a jak wracam do domu, to padam”.

No cóż, mogłabym powiedzieć: „Pisz też. Siedź sobie w domu, myśl, pij herbatę, nikt nie może ci tego zabronić”. Jak ja odpadam po całym dniu od komputera, to też padam! To jest jednak moje padanie, mój wybór. I nawet wtedy, gdy narzekam na przepracowanie, wyrażam obawy o przyszłość, wiem, że mam, co chciałam.

Big Mother

Często dom wsysa kobietę w swoje wnętrze jak ogromny odkurzacz, a ona zamyka się, ogranicza do jego ścian. Chce być doskonała w tym, co robi, ale coraz częściej nie starcza jej czasu na nic innego niż sprzątanie, przygotowywanie pierogów z wiśniami, nadzorowanie remontów. Przestaje się liczyć dla bliskich, mimo że „generalnie” mąż ją kocha, dzieci także, ale im dalej w las, w gąszcz nowych problemów,

tym bardziej rodzina oddala się od niej. Wtedy zdarza się usłyszeć: ty tego nie rozumiesz, nie masz pojęcia o polityce, ekonomii, sporcie, to mówi mąż; o Internecie, rapie i modzie - to dzieci.

Najpopularniejszy w rodzinach jest typ mieszany. Rola żony, rola matki - tak, ale w zamian za to należy mi się pełna kontrola nad wami, dostanę tekę ministra spraw wewnętrznych naszej rodziny, każdy będzie musiał mi się zwierzać, mówić mi o wszystkim, donosić na rodzeństwo i ojca, mam także prawo do totalnej inwigilacji. Muszę wiedzieć o was wszystko. Ja nie mam nic na sumieniu, jestem przezroczysta, nie mam nic do ukrycia, a więc wy też nie możecie mieć.

Oczy matki stają się czujne jak oko kamery przemysłowej śledzącej drobne przestępstwa w fabryce czy klientów w marketach. Big Mother wykryje, kto popija za szafą i kto sprowadza dziewczynę pod nieobecność rodziców. Pytanie matki: a co ja z tego będę miała?, jest dobrze postawione, tylko waluta, w jakiej płaci rodzina, może okazać się nie do przyjęcia. Ani mąż, ani dzieci, ani wnuki nie będą chciały tyle zapłacić. Zaczną się kłamstwa, wykręty, drobne oszustwa, zawsze usprawiedliwione, bo przecież każdy chce mieć prawo do tajemnicy. Wolność jest potrzebna nawet małym dzieciom. Wolności muszą się uczyć, by nie stać się w przyszłości niewolnikami, w pracy czy w nowej rodzinie, jaką założą.

Ponadto, inwigilując po amatorsku, wchodzi się całkowicie w życie śledzonych. Profesjonalny tajny wywiadowca traktuje szpiegowanie jako pracę, wraca do domu i przestaje zajmować się ofiarą. Żona i matka, mając podejrzaną ciągle pod ręką, na widoku, ani przez chwilę nie odpoczywa, przez cały czas jest na służbie w swoim małym ministerstwie spraw wewnętrznych. Związana silnie z tymi,

których obserwuje, nie może spocząć ani na moment, musi śledzić. A to jest męczące nie tylko dla inwigilowanych, równie męczące, a może nawet bardziej, jest dla niej. Zamiast rozmów odbywają się przesłuchania.

Królowa domyślności we własnej firmie

Mąż przyjmuje świat zewnętrzny bardziej prostodusznie, bardziej wprost, nie poświęca ani wiele uwagi, ani też czasu na rozmyślanie o podtekstach. Z pewnością nie spędza godzin na d o m y ś l a n i u s i ę . Żona dziwi się, że jej mąż jest taki „niedomyślny”.

- Naprawdę, nie domyślasz się, o co chodzi? To niemożliwe, przecież wszystko na to wskazywało! Jak mogłeś nie zauważyć, że coś się między nimi dzieje?! Ja wiem o tym od dawna, wszyscy wiedzą, tylko dla ciebie to jest niespodzianka! - wydziwia żona, której mąż, szef firmy, nie wie o romansie swojej sekretarki z wiceprezesem.

Jakiż on niedomyślny! Nagle ona, żona prezesa, czuje swą wyższość. Oczywiście, jej mąż jest inteligentny, prowadzi firmę świetnie, ale w sprawach ludzkich, w psychologicznym podejściu ona jest lepsza. Także w dzieleniu włosów na czworo, na dziesięcioro, nie ma sobie równej. To są te krótkie momenty satysfakcji, które jednak niewiele twórczego wnoszą. Chwila panowania, nawet tytuł k r ó l o w e j d o m y ś l n o ś c i , jaki sobie przyznamy, nie wzbudza podziwu. Statystycznie lepiej wykształcona, więcej czytająca, bardziej zainteresowana sprawami ludzi, marnuje swoje talenty w domowym kieracie. Chyba że wreszcie pojmie, że jej umiejętności mogą się przydać, i zacznie myśleć o tym, jak je wykorzystać.

Niektóre kobiety już wiedzą, jak to się robi. Okazuje się, że u nas jest w tej chwili najwięcej kobiet, które same się za trudniają, co w sytuacji bezrobocia jest niezwykle cenne. 34% kobiet posiadających małe, dwu-, trzyosobowe firmy, to rekord Europy. Sytuacja zmusiła je do tego, żeby zamiast s i ę d o m y ś l a ć , zaczęły m y ś l e ć . Może sytuacja, a może odpowiedni moment historyczny, może nadszedł wreszcie ten od dawna zapowiadany czas kobiet. Kiedy tylko wyzbyły się nerwicy bycia z kimś za wszelką cenę, nieważne z kim, po to tylko, by uniknąć staropanieństwa, gdy wywalczyły prawo do autonomii małżeńskiej, do zajęcia, które je pochłania, zaczynają robić karierę we własnych małych firmach.

Wiele średniej wielkości firm upada, natomiast małe radzą sobie całkiem nieźle, a najlepiej te, w których szefem jest kobieta. Mimo że co trzecia firma zakładana jest przez kobietę, to jednak po pewnym czasie ambitne pracownice tłuką „szklany sufit”, przez który kiedyś przyglądały się tylko, jak zmieniają się mężczyźni na stanowisku szefa. Starszego siwego, który przeszedł do rady nadzorczej, zastępuje młody prężny brunet. Oczywiście bywa, że dziewczyny chcą szklany pułap przebić głową i mocno się przy tym pokaleczą, ale są uparte i nie ustąpią. Wylizują rany i zabierają się do szefowania. Domagają się awansów, startują w konkursach, są doceniane i zostają szefami. To scenariusz optymistyczny. W małych firmach, bo wielkie oferują zbyt duże pieniądze, żeby można było oddać je kobietom. Tak samo prestiżowe instytucje publiczne, rządowe, polityczne, oferujące zaszczyty i prawdziwą władzę, wciąż są ringiem boksem dla mężczyzn. Mężczyźni na wysokich stanowiskach, z jakiegokolwiek partii, bez względu na

ideologię, zostawiają kobietom walki w kisielu, lecz nie chcą rywalizować z nimi o władzę.

Jednak w biznesie, nawet na naszym rynku, najbardziej znane i prężne są duże firmy kosmetyczne, zarządzane przez kobiety. Każda kobieta zna kosmetyki ERIS, AA OCEANIC Doroty Soszyńskiej, DERMIKĘ Zwolińskiej. Wszystkie zaczęły od zera.

Na czele J.W. Construction, firmy budowlanej, stoi Barbara Blida, była pani minister. Prekursorki w dziedzinie mody zaczęły w PRL-u: Kobieta Instytucja, Barbara Hoff, i jej znany Hoffland, Grażyna Hase przez lata dyktowały modę. Dziś Teresa Rosati, Ewa Minge, Gosia Baczyńska, Halina Zawadzka, właścicielka Hexeline, czy najlepiej mi znana Wanda S. pokazują nam, jak się ubierać. Torebkę zaprojektuje Bożena Batycka. Czeszą nas fryzjerki we własnych salonach, jak Mira, kosmetyczki prowadzące własne zakłady dbają o nasze twarze.

W bankowości, ekonomii, polityce, nauce Hanna Gron-kiewicz-Waltz, Zyta Gilowska, Aldona Kamela-Sowińska, Hanna Suchocka, Danuta Hubner, Barbara Labuda, Ewa Plucińska, Jolanta Kwaśniewska prowadząca fundację „Porozumienie bez Barrier”, Iza Jaruga-Nowacka, Magda Środa, Lena Kolarska-Bobińska, Renata Siemieńska, Maria Janion...

„Twój Styl”, z którym wciąż współpracuję, został stworzony przez Krystynę Kaszubę i do dziś jest numerem jeden na naszym rynku pism kolorowych. Niedawno dostał tytuł najbardziej znanej marki wśród magazynów kobiecych.

Kobiety na ogół nie robią „przekrętów”, są bardziej rzetelne w interesach, mają zwykle dobrą markę; oczywiście, jak zawsze znajdują się niechlubne wyjątki, ale z reguły w skorpumpowanym męskim biznesie, jakim jest ten świat, są jasnymi punktami.

Kiedy mężczyzna robi się domyślny

Wiemy już, że kobiety są roztargnione, rozproszone, wciąż dzielą swoją uwagę, poświęcają zbyt wiele czasu na dom, dzieci, porządki, głównie zaś tracą cenne godziny na domyślanie się, przewidywanie, uprzedzanie próśb, spełnianie życzeń... To wszystko robią wtedy, gdy mąż zajmuje się egoistycznie własną karierą. Jest jednak odstępstwo od reguły: czas, w którym mężczyzna zaczyna się domyślać.

To moment, w którym na horyzoncie pojawia się t e n t r z e c i . Uczucie zazdrości, zwłaszcza wybujałe, często przeradza się w paranoję. Szekspirowski zielonooki potwór, który skłonił Otella do uduszenia Desdemony, jest w stanie zmienić, wydawałoby się, normalnego faceta, skupionego dotąd na pracy i prawie wyłącznie na sobie, w gniewnie porykującego lwa, w detektywa węszącego wszędzie zagrożenie ze strony tylko wymagowanego czy też prawdziwego rywala. Domowy Bond nie ogranicza się do picia whisky wstrząśniętej, niemieszanej, on wstrząsa posadami własnego małżeństwa.

Psychologowie ewolucjoniści uważają, że działa tu biologia; chodzi o samicę, „obcy” wszedł na teren należący do przewodnika stada, by umieścić swoje plemniki, a więc geny, w jego własnej, osobistej żonie-samicy, i teraz może się zdarzyć, że on, ważniak, szef rodziny, legalny mąż, będziełożył na utrzymanie i wychowanie cudzych bachorów. Potocznie sądzi się jednak, że chodzi o zranioną dumę, która wstrząsnęła uspionym dotąd ego.

Zazdrość przekracza wszelkie granice, nie liczy się wiek, uroda, jej brak, gdy ziarno padnie na podatny grunt, kiełkuje i jeśli jest dobrze nawożone i podlewane paranoją, szybko wyrasta z niego baobab, a wrywanie z korzeniami baobabów wymaga nadludzkiej siły.

Kobiety też bywają zazdrosne, i także chorobliwie, ale znacznie rzadziej przybiera to taką formę jak u zazdrośnika męskiego. Znane są przypadki żon robiących przeszukania, rewizje, sprawdzających zapachy obcych perfum na koszuli męskiej. Co bardziej zmyślne, umiejące poruszać się w wirtualnym świecie Internetu, komputerów, znajdujące się na SMS-ach, wchodzą na strony internetowe, z których korzystał mąż, sprawdzają jego mailową pocztę.

Twardy ogon twojego kota

Zdarza się także, że żona jest bardzo spokojna, niczego nie szuka i nagle wpada na aferę, o jakiej nawet nie śniła.

Roztargniony mąż śpieszy się na radę nadzorczą. Już jest spóźniony, a ma dziś bardzo ważne wystąpienie, prezentuje nowy projekt, nad którym ostatnio tyle pracował; czy te kolory do siebie pasują?, pyta żonę, a ona patrzy krytycznym okiem na obrzydliwe zestawienie, podaje mu inną marynarkę, on przebiera się w biegu, rzuca tę, którą zdjął, na fotel i wybiega z domu w szale. Wyrozumiała żona cieszy się, że mąż poświęca się teraz pracy, przez dłuższy czas tkwił w marazmie i nagle przyszło ożywienie, jakieś nowe projekty przedsiębiorstwa pochłaniają go całkowicie, biedaczek wraca czasami w nocy, jest tak zmęczony, że zasypia, zanim położy głowę na poduszce. Nie ma chwili, by porozmawiać, stale w biegu, biedaczek, ale przecież zaharowuje się dla niej i dla dzieci. Obiecał, że pojedą w tym roku na wakacje do Grecji. Trochę brakuje jej bliższego kontaktu, rozmów, miłości w łóżku i tych nocnych szeptów, jakie pamięta, seks nie bardzo wychodzi, nic dziwnego, przepracowany facet nie nadaje się do użytku. W Grecji odpoczną, będą mieli czas pogadać.

Nagle słyszy charakterystyczny dźwięk nadchodzącego SMS-a. Dochodzi z kieszeni marynarki leżącej na fotelu. Komórka została! Chyba wiadomość z firmy, myśli kobieta, naciskając klawisz, czyta podświetlony tekst, oczom nie wierzy, czyta raz jeszcze komunikat: „Kocie puszysty z twardym ogonem zostaw w domu zone bo twoja koteczka nalała już mleczka czeka aż wskoczysz do jej łóżeczka a wtedy podrapie cie po plecach i nie tylko”. Wyświetla się numer komórki, data, godzina. Żona czyta po raz kolejny.

Najpierw myśli, że to pomyłka, ale po chwili nadchodzą kolejne komunikaty od zniecierpliwionej kochanki. Teraz używa imienia zdrajcy i objaśnia, co ma jeszcze na sobie, a co z siebie zdjęła. No więc ma jeszcze stringi! Stringi, które ty, droga siostró, uważasz za bieliznę dla zboczonych, nie dlatego, że są nieprzyzwoite, tylko że przez cały czas cienki pasek wrzyna się między pośladki. Kto może to wytrzymać? Koteczka!

Teraz rozumie, wie wszystko. Zdrada!!! I do tego z kim! Z koteczka! Co za kiczowaty język, i te rymy. Ogonem zone! Nawet nie potrafi używać odpowiednich znaków interpunkcyjnych. A może za bardzo się śpieszy? Czekaj!

Twardy ogon! Proste skojarzenie: ach, więc to dlatego ostatnio jest ciągle zmęczony! Nawet gdy ona dawała mu łagodnie do zrozumienia, że byłaby nie od tego, on zamykał się i siedział w wannie długo, bardzo długo, tak samo jak ona kiedyś czekała, aż on zaśnie, bo nie miała chęci na „miękki ogon”. Ciekawe, skąd nagle ten ogon jest twardy? Może mąż bierze potajemnie viagrę? Sama kiedyś zaproponowała mu, że mogliby spróbować z tą niebieską table-teczką, ale oburzył się, skąd, on tego nie potrzebuje, on jest tylko przemęczony. Wtedy kupiła sobie wibrator. Leży spokojnie w szufladzie, a co parę dni spełnia swe zadanie.

Rozmowa o viagrze miała właściwą oprawę, doszło do niej kiedyś, gdy jeszcze ze sobą rozmawiali w łóżku. Jakie to były wspaniałe czasy, łąza się w oku kręci.

Po kolejnym SMS-ie, gdy koteczka zdjęła już wszystko i mogła zdjąć z siebie jedynie skórę, do czego zdradzona chętnie przyłożyłaby pazury, nie wytrzymała i wysłała odpowiedź, której nie można tu przytoczyć. Wysłała trzy razy, żeby nie było wątpliwości, a potem spakowała mężowi walizkę, tak jak robiła to zawsze, gdy wyjeżdżał w dłuższą podróż służbową, i wystawiła przed drzwi.

Mąż nigdy nie jest za stary

Starsi faceci wytaczają armaty przeciw swoim żonom. Są według nich za stare, nie mogą już urodzić dziecka, którego on pragnie jak kania dżdżu, zamiast pragnąć wnuków. Opuszczają swoje partnerki, nie patrząc na to, czy są chore, czy dadzą sobie radę same z dziećmi albo po kilkudziesięciu przeżytych latach. Są całkowicie bezwzględni, wydaje im się, że alimenty załatwią sprawę. Są egoistyczni, nie oglądają się za siebie. Kobiety tak nie postępują, i to nie tylko dlatego, że nie ma amatorów na panie „w pewnym wieku”, które już nie rodzą dzieci. Nawet jeśli przytrafi się im romans, są odpowiedzialne i nie aż tak zadufane. Odpowiedzialność czasami krępuje im ręce, unieszczęśliwia. Stają się przez to sfrustrowanymi, trudnymi do zniesienia partnerkami. Nie chcę idealizować żon, bo znam sporo przypadków dalekich od ideału, ale statystyka jest w tej kwestii nieubłagana. Żona alkoholika męczy się z nim i pomaga mu podnosić się z upadku, tak samo partnerka narkomana albo bardzo ciężko chorego. Z reguły nie opuszcza mężczyzny, gdy ten zaczyna się sypać albo chorować na nieuleczalną chorobę.

Mężczyźni tak właśnie się zachowują, zostawiają rodzinę także wówczas, gdy rodzi się dziecko niepełnosprawne, z downem, z wrodzonymi wadami. Gdy związek opierał się na seksie, namiętności, gdy nie było bliskości wynikającej z rozmów, podczas których ludzie mogą się poznać, gdy nie ma głębokiej więzi i uczuć, jakie powinna tworzyć para.

Faceci żenią się powtórnie lub po raz enty, żeby zaludnić teren nosicielami swoich genów. W tym celu muszą wziąć młodą żonę. Niestety, jakkolwiek sumę by zapłacili, ile byliby warci, na którym miejscu listy najbogatszych by się znaleźli, bez względu na to, jak wielką miłością darzy ich o trzydzieści lat młodsza piękna aktorka, modelka czy osobowość telewizyjna, nigdy nie będą wiedzieli z pewnością, czy ten nowo urodzony dziedzic fortuny, potomek, ma w sobie ich geny czy całkiem kogoś innego. Bo jeśli trzymać się teorii socjobiologicznych, to w interesie młodej piękności jest zapewnienie potomstwu dobrych genów, silnego, zdrowego przystojniaka i zasobów, których młodzieniec jeszcze nie posiada i być może nigdy ich nie zdobędzie. Pewność miałyby stary bogacz jedynie wtedy, gdyby sam urodził, a to jeszcze się nie zdarzyło.

Tak więc jest ogromna różnica w małżeńskiej zazdrości. Kobieta nie ma bowiem największego i najgłębszego męskiego problemu, straszliwej niepewności, jaka dręczy mężczyznę: Czy to naprawdę jest moje dziecko? Oczywiście to się zmienia, nie ma już tak wielkiej wagi jak kiedyś, ale w wielu pokutuje jeszcze zazdrość o geny, jak dawniej o błonę dziewiczą, o to, kto był pierwszy.

Patologicznie zazdrosny mąż, nawet szalony, zapalony kibic, jest w stanie zrezygnować z oglądania meczu, by śledzić żonę, która udaje się właśnie do firmy, na zakupy albo do przyjaciółki. Może nawet zapomnieć o tym, że odbywają

się Mistrzostwa Europy czy Świata w piłce nożnej. W tym momencie mężczyzna staje się zdolny do drobiazgowej analizy, zaczyna myśleć podobnie jak kobieta, interpretować każdy szczegół, zapamiętuje znacznie więcej, obserwuje dokładnie, tyle że jest monotematyczny. Tak jak wcześniej świata nie widział poza pracą, był na niej skoncentrowany, aż do granic wytrzymałości żony, tak teraz cała energia idzie w dociekanie prawdy o zdradzie. Zanedbuje obowiązki, opuszcza się w pracy, przestaje o siebie dbać, nie potrafi tego, co kobieta wyssała z mlekiem matki. Mężczyzna nie ma podzielności uwagi. Ona, jak jej matka i babka, była przyzwyczajana od dziecka do wielokierunkowego działania i myślenia. Pisałam o tym już kiedyś: nogą buja dziecko w wózku, by zasnęło, nastawiła pranie, piecze mięso na jutro i kończy doktorat z genetyki. Zaczynała pisać razem z mężem, ale w sam środek zagadnienia choroby szalonych krów wkroczyło, a raczej wpadło, maleństwo. A więc on skupił się na swoim doktoracie, z rzadka, bardzo rzadko, zajmował się niemowlęciem, namawiając ją, żeby się nie męczyła, by rzuciła pracę, nie wracała do niej po urlopie macierzyńskim, on postara się zarobić na dom. Na szczęście nie zrobiła tego. Jest doktorem, będzie profesorem. Jej praca została zauważona, choć niechętnie, bo przecież jest kobietą. Najpierw pojechała z wynikami do Pernambuco, potem do Japonii i wreszcie przebiła się na rynku krajowym. Jest kobietą walki, nie da się zdołować.

Ta nadzwyczajna niekiedy kobieca podzielność uwagi nie jest wcale dobra, ale tak się dzieje, taki styl panuje w społeczeństwie, w którym kobiety, jeśli chciały robić karierę i jednocześnie mieć rodzinę, musiały nauczyć się robienia wielu rzeczy naraz, a także, niestety, myślenia rozproszonego. Mężczyzna skupiał się na jednym zadaniu, dlatego

wykonywał je dobrze i potem miał czas dla siebie, na swoje hobby. Na rozmowy z żoną tego czasu zwykle brakowało.

Gdzie jest deser?

I nagle, drogie siostry, budzi się w nim lew-samiec, który zwęszył na horyzoncie innego samca. Znajduje się czas na rozmowę, na którą nie było dotąd odpowiedniego momentu. Rozmowa nabrała sensu, bo stała się okazją do wplątywania podchwytliwych pytań. Mąż wykazuje się wtedy sprytem, ojaki by się go nie posądzało. Okazuje się, że umie mówić!

Przypomina dziecko ze słynnego żydowskiego dowcipu, tego synalka, małego Icka, który nic nie mówił, nie odzywał się w ogóle, i biedni rodzice sądzili, że jest niemową. Aż tu nagle, któregoś dnia, wszyscy siedzą przy stole, obiad dobiega końca, gdy nagle mały Icek woła: gdzie jest deser? Zrobił się ruch, rwetes, mamele i tatele ściskają malca. Icuś mówi! Jak to się stało, kochany srulku, że przemówiłeś, dotąd się nie odzywałeś! Bo zawsze był deser, odpowiedział Icek 1znów zamilkł.

Jest bardzo prawdopodobne, że wiele kobiet nie mogło nawiązać z mężem dialogu, prawdziwego, a nie naskórkowego kontaktu, nie doczekały się nigdy zainteresowania ważnymi dla nich sprawami. Chodziło o problemy rodzinne albo o kryzys uczuć. Zawsze wtedy były zbywane jak marudne dziecko. Niektóre zaczęły więc szukać zainteresowania poza domem. To były te żony, których mężowie odpowiadali monosylabami albo „nie słyszeli”, bo po prostu nie słuchali, co one mówią. Jeśli taka sytuacja trwa latami, kobiety świadomie lub podświadomie znajdują rozwiązanie w znalezieniu kogoś, „z kim można pogadać”. Nie zdają sobie sprawy, że otwierają puszkę Pandory. Najpierw tylko pogadać, po

tem, gdy okazuje się, że rozmowa jest możliwa, że są mężczyźni, z którymi wymienia się nie tylko komunikaty, lecz i myśli, idą za ciosem i budzą się w łóżku obok obcego, który stał się bliskim. Rozmowy bowiem są intymne, zbliżają ludzi niekiedy bardziej niż seks, i to jest fakt.

Niekiedy nawiązują się „tylko” przyjaźnie, powiedzmy, coś w rodzaju bufetu z napojami bez konsumpcji, i te przyjaźnie często zaczynają znaczyć więcej niż informacje lub krótkie komunikaty, wyciągane ze ślubnego męża za uszy.

Kobiety analizują stale swoje małżeństwo, to jest codzienność żony. Wszystkie chcemy poznać lepiej swego partnera, zrozumieć, co kryje się w tym „wielkim uczuciowym niemowie”, który zmienia się na widok gości, staje się wręcz gadatliwy. Oczywiście, znają stary sposób na „nawiązanie kontaktu słownego”, jakiego używały ich babki, Winnie i Molly Bloom. Słowny kontakt zamiast rozmowy. One pytają, on - ten, który wie wszystko - odpowiada, poucza, jednak przychodzi taki czas, kiedy się buntują: „Dlaczego mam robić z siebie kretynekę i wysłuchiwać tego, czego nauczyłam się w liceum? Dlaczego mam udawać, że to mnie cholernie interesuje? Czy tylko dlatego, żeby to on mógł w swoim mniemaniu błyszczeć?”

Bunt, drogie siostry, jest na miejscu, jest konieczny. Niestety, często przychodzi zbyt późno. Karty zostały rozdane. On jest szefem, ona podwładną. Układ trwający kilka, kilkanaście lat niełatwo zmienić, ale jest to możliwe. Kobieta zaczyna domagać się uwagi, mężczyzna jest zdziwiony. Czasami rozumie, dociera do niego fakt, że ona czuła się przez wiele lat „zdołowana”, wykorzystana, bo przecież to on robił karierę i nie musiał się o nic martwić, podczas gdy ona siedziała w domu i zajmowała się dziećmi. Nakarmiony, oprany, oprasowany, nabrał poczucia wyższości w stosunku

do kogoś, kto spełnia poślednią rolę. Mógł pozwalać sobie na odburkiwanie, na chowanie głowy w papierach. Ona i tak w końcu, po cichych dniach pierwsza zaczynała mówić, bo miała w tym interes. Chciała, żeby w domu, który jest dla niej najważniejszym miejscem na ziemi, z którego rzadko wychodzi w swoich sprawach, była dobra atmosfera. Wszystkie te kobiety zachowują się jak Winnie ze *Szczęśliwych dni* w stosunku do Williego.

Żywa sekretarka automatyczna

Kobieta w rodzaju Winnie stale główkuje, jak ulepszyć związek, by można było być blisko, pogadać. Co zrobić z tym fantem, gdy już dowiedziała się, że jest tłem mało wymagającym, spełniającym swoją rolę aż nadto dobrze. Kucharka, kochanka, sekretarka, jak trzeba było coś załatwić, bo wyjeżdżał. A kto przepisywał mu na komputerze, kto nauczył się obsługiwać Internet, żeby go odciążyć, ja, głupia, byłam jego sekretarką automatyczną, bo tak mnie traktował..

Ta lista jest znana, każda z pogrążonych w rozpacz kobiet ją zna, może wydłużać ją i zmieniać w zależności od tego, czyją jest żoną, z jakiej klasy społecznej pochodzi. Jedna mówi, że była jego automatyczną sekretarką, inna, że robotem kuchennym, jeszcze inna, że laleczką Barbie do pokazywania na firmowych bankietach albo nawet lalą z sex shopu.

Wspólne jest to, że wszystkie określały się nazwami przedmiotów. W tym kryje się cały ból związków bez bliskości, bez rozmów, czułych, poważnych czy, jak mawiał Witkacy: istotnych albo całkiem błahych, przyziemnych czy miłosnych, psychologicznych, gadek na temat ludzi, plotek, obgadywania całego świata... Każde stadło wypracowuje

własny sposób rozmawiania i milczenia, kod porozumiewania się bez pomocy słów lub za pomocą zwrotów właściwych tylko dla tej jednej jedynej pary. Mogą to być kawałki wierszy, używane tylko w danej sytuacji, jakieś śmieszne zdania, do których klucze ma tylko on i ona albo bliska rodzina, są porzekadła, które wynosi się z domu, i one żyją, funkcjonują w nowym układzie. Można zaryzykować, że im lepsze małżeństwo, tym więcej takich zdań-kodów.

Kobiety są takie wytrwałe w poszukiwaniu słownego kontaktu, bo jego brak nie daje im żyć. Stają się spięte i niedowartościowane. Czują ból pleców, obręcz, zapadają na chorobę zestresowanych kobiet. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy w początkach małżeństwa w ognisku domowym, w tym kominku bliskości płonął ogień, gdy zawsze było oczym gadać, a teraz? Siwy popiół. Trzeba długo pogrzebać, żeby zobaczyć iskrę, umiejętnie ją podsycić i rozpalic wielką gadaninę o wszystkim, o czym się nie gadało od takiego długiego czasu. Cugu brak. Kobieta ostrożnie dmucha, delikatnie podsycy, by się znów rozpałiło.

Teatr kłótni

Potrzebna jest świadomość tego, co nas dotyka, i także, a może nawet zwłaszcza, wówczas, gdy „tracę głowę”, „wali mi się świat”, „mam ochotę się zabić” z powodu absolutnego braku porozumienia. Jeśli mogę to wykrzyczeć, to wcale jeszcze nie jest źle.

GNIEW w małżeństwie, nawet awantury z krzykiem bywają czasami konieczne, a w niektórych małżeństwach wręcz niezbędne. Oczywiście, nie chodzi o pochwałę karczemnych awantur z biciem i wulgarnym obrażaniem, zwłaszcza w obecności przerażonych dzieci, które mogą

zostać psychicznie okaleczone i mieć potem problemy w dorosłym życiu. Myślę o naszych zwyczajnych kłótniach domowych, o podniesionym głosie, o zdenerwowaniu, o domaganiu się wyjaśnień i dochodzeniu własnych racji. Trzaśnięcie drzwiami, po chwili kobieta wchodzi po raz drugi do pokoju, bo przypomniało się jej jeszcze coś! Teatr kłótni, odgrywanie ról wciąż wzbogacanych, aktorzy grają jak ze szkoły Stanisławskiego. Najlepiej, gdy sztuka jest kameralna, rozpisana na dwoje aktorów. Widzowie są zbędni, słuchacze przez ścianę również. Obsada czasami powiększa się o teściową, teścia, brata żony, siostrę męża. Jednak wiadomo, że im większa obsada, tym trudniej wrócić do normalnego życia. Wtajemniczeni członkowie rodziny puszczają to dalej, a my jesteśmy na nich wściekli, że się przed nimi obnażyliśmy. Czyż nie dlatego nie lubimy spotykać się z przyjaciółką, przed którą otworzyłyśmy serce? Z mężczyznami jest inaczej, oni się nie zwierniają kolegom, oni konstatują: „Musiałem wyjść, bo moja gada i gada, nie mam pojęcia, o co jej chodzi”. Kolega stwierdza filozoficznie: „Nie zrozumiesz kobiety, ona jest z Wenus, a ty jesteś z Marsa”. „Jaka tam z niej Wenus, musiałyby z dziesięć kilo zrzucić, kiedyś to może i była, ale dziś?!” Pośmieją się, wzniosą kufle, stukną się, aż piana polecą, na zakąskę wezmą po setce i czują się odprężeni, by nie użyć odrażającego słowa, zrelaksowani. Potem mąż wraca w nocy do domu, jest nastawiony pojednawczo, ma ochotę na małe co nieco w łóżku, ale żona, która przez cały czas jego nieobecności macerowała w sobie przebieg kłótni, jest rozgoryczona i nie ma na to ochoty. Nie poszła na piwo, nie zrzuciła z siebie paskudnego nastroju, zaczyna więc od nowa, ale widzi, że on już śpi. Nie może znieść spokojnego równego chrapania, odgłosu piłowania najgrubszego dębu, budzi go, tarmosi, chwytą za nos,

wszczyna kłótnię. Noc nie jest dobrą porą kłótni, zwłaszcza letnia noc, gdy otwarte okna zapewniają wściekłych, bo przebudzonych słuchaczy.

Zero reakcji

Wiadomo, że byłoby lepiej zachowywać się spokojnie, wyjaśniać sobie drażliwe punkty, siedząc w fotelach i pijąc herbatę, jak w Wersalu. Nikt nie wie, dlaczego taki idealny stan rzeczy nazywany jest Wersalem, przecież w Wersalu intrygowano, używano przemocy, a nawet zabijano, by osiągnąć cel. Spokój jest dla nas, w naszych związkach, niedostępny.

Nawet gdy kochamy męża. Może nawet, gdy kochamy, trudniej zdobyć się na wyważone działanie, bo wtedy bardziej nam zależy na byciu razem, nie chcemy stracić tego, co jest nam drogie, chcemy to naprawić i dlatego wciąż wracamy do tematu, drążymy, wiercimy dziurę w brzuchu. Wreszcie, gdy już argumenty nie docierają, kiedy „mówi baba do obrazu, a obraz do niej ani razu”, bo obraz w postaci męża, najbliższego człowieka, nie reaguje, krzyczysz, żeby wreszcie usłyszał. Wtedy odzywa się i mówi zwykle: „O co ci chodzi? Przecież słyszę”. Niektórzy mężowie reagują dopiero wówczas, gdy żona zaczyna płakać. Posądzamy ich wtedy o sadyzm psychiczny, być może zresztą słusznie.

Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Podczas choroby wiele czytałam na temat reakcji mężczyzn na raka żony, rozmawiałam też z kobietami w Centrum Onkologii. Niektóre opowiadały, jak reagowali ich

mężowie na taką wiadomość. Najlepiej zachowywali się ci, którzy byli, tak jak mój mąż ze mną, razem na badaniu. Przytulali, -pocieszali, zaczynali działać: trzeba dowiedzieć się, kto jest najlepszym specjalistą, niech wytnie drania... Ocierali łzy jej i swoje, a więc uczestniczyli w cierpieniu, wciągnęli się w temat. Sam fakt, że mężczyzna zwolnił się z pracy, by przyjść z nią na badanie, miał wielkie znaczenie dla kobiety, która wie, jak ważna jest dla niego robota. Nawet to przynosiło ulgę, dawało pewność, że będzie miała na kim się oprzeć. Krótkie, pocieszające zdania przed wejściem do gabinetu. Rzeczowe rozmowy o tym, co dalej robić, były dla mnie na wagę złota.

Były jednak opowieści krew w żyłach mrozące, męskie pytania słuszne, choć w takim momencie egoistyczne: „Ciekawe, kto będzie zajmował się dzieckiem?” Jedna z kobiet mówiła, że w dzień badania miało odbyć się przyjęcie w firmie, w której pracował jej mąż, a ten oznajmił krótko: „Przestań się mazać, nie możesz tak wyglądać, od tego bankietu wiele zależy, od jutra możesz płakać”.

CO Z TEGO, ŻE WCIAŻ JESTEM ZAJĘTY, DLACZEGO MI NIE POWIEDZIAŁAŚ, ZE MASZ RAKA?

Jednak było parę opowieści o wielokrotnym powtarzaniu tej strasznej dla kobiety wiadomości; jedna o człowieku, który znad gazety bąkał swoje zwykłe: uhm, taaa, okej, okej, dopiero za trzecim razem, gdy podniosła głos, zerwał się z krzykiem:

- Boże, to straszne, dlaczego nic nie mówisz?
- Właśnie mówię - odpowiedziała żona.

Dopiero wówczas zaczął zachowywać się jak człowiek, dopiero wtedy dotarło do niego, co się dzieje. Inny znów oglądał mecz, gdy siadła obok i dość cicho zakomunikowała, że ma raka, bo trudno wrzeszczeć na ten temat. Nie dosły

szał, bo nie słuchał, jak zwykle zresztą, więc mówi do niej: „Czy musisz w tej chwili przeszkadzać? Nie widzisz, że strzela?” Oczywiście potem przeproszał, ale drzazga została i siedzi, paskudzi się wciąż, powoduje pytania: kim ja jestem dla tego faceta? Czy on mną pogardza, że mnie w ogóle nie słucha? Czy tak zachowuje się najbliższy człowiek?

Kobieta przypomina sobie, jak było, gdy on dowiedział się, że ma cukrzycę. Była przy nim zawsze, gdy jej potrzebował, tak jest do dzisiaj, bez chwili przerwy.

Nie ma symetrii, on jej tego nie oddaje. Ona się „poświęca”, on spełnia obowiązki. Uważam, że spełnianie obowiązku, tego imperatywu kategorycznego, jest rozwiązaniem lepszym niż płacz i poświęcanie się, i tego musiałam się nauczyć, tego wszyscy musimy się nauczyć, ale moment, w którym słyszy się podobną diagnozę, jest naprawdę szczególnie i wymaga wrażliwości. To są dla związku momenty najwyższej wagi. Straty w uczuciach mogą okazać się już nie do odrobienia. Część związków właśnie z takich powodów wali się w gruzy, jak stare domy przeznaczone do rozbioru. Moja choroba była naszym testem na miłość. Bolesnym, ale dzięki niej wiem, czego wcześniej nie wiedziałam o mężczyznach, o mężu i synu, o ich umiejętnościach opanowania paniki, jaką niesie choroba, o czułości, zdolnościach organizacyjnych i chęci do niesienia pomocy. Rozmowy mają wielkie znaczenie także dla młodszych dzieci; wiem od pacjentek, z którymi przechodziłam chemioterapię, że dzieci potrafią współcierpieć i współodczuwać. Gdy się przed nimi ukrywa chorobę, ich trauma staje się nie do zniesienia.

Zabójcza pogarda

Według badaczy gniew jest lepszą strategią niż pogarda. „Nareszcie dowiedziałeś się, co myślę!”, „Krzyczę, bo mam powody, ty cholerny psychopato!” - wołamy, gdy już nie możemy wytrzymać. Keith Oatley i Jennifer Jenkins prowadziły badania na 139 rodzinach. Aż 79% kobiet z badanych rodzin uważa, że kłótnia daje dobre efekty, pozwala zachować indywidualność. Z pewnością dobra kłótnia oczyszcza atmosferę. W domu przestaje być duszno. Tym kobietom nie są potrzebne ciche dni; może też być tak, że gdy „strategia” cichych dni nie skutkuje, kiedy milczenie nie daje rezultatu, w rozpaczę sięgają po krzyk.

POGARDA odczłowiecza tego, kim pogardzamy. Pogarda może być cicha, zimna, może przybierać bardzo agresywną formę, niekoniecznie jest to bicie. Inna jednak jest agresja wynikająca z gniewu, nawet z wrzasku, inna jest ta, która wypływa z pogardy. Pogardę okazuje mąż, który tresuje żonę przy każdej publicznej okazji, daje do zrozumienia, że ma ją pod obcasem, poprawia, wyśmiewa, prawi złośliwości, krzyczy, obrzuca obelgami. Pokazuje, że jest panem sytuacji. Żona łyka łyzy, coraz rzadziej się odzywa, potem woli nie chodzić z nim na przyjęcia. Jednak on ją zmusza, bo jest sadystą, bo lubi swoją rolę. Idiota, sądzi, że ludzie tego nie widzą? Nie znoszą go, jej współczują, namawiają po cichu do rozwodu. Pogardzają nim, małym palantem, któremu się wydaje, że jest bogiem.

To nie dotyczy jednak tych wciąż zajętych mężów, którzy nie słuchają, co do nich się mówi. Ich brak odpowiedzi nie wynika z pogardy, choć jest denerwujący i głupi. To jest tylko i aż LEKCEWAŻENIE, zwykle nie przeradza się w pogardę, choć może być tak odbierane. Być może kobiety jako osoby bardziej zajęte analizowaniem związku, czujne i czułe

na sposób, w jaki mąż, partner zwraca się do nich, jak zachowuje się w relacjach z nimi, gdy wynika problem, domyślając się ciągle czegoś, MYLNIE ODBIERAJĄ SYGNAŁY. Albo ich brak. Jego ciągle skupienie na własnej pracy, egoizm i egotyzm, niedojrzałość emocjonalną, która nie pozwala dojrzeć problemu, interpretują jako pogardę.

Stopniają te uczucia w następujący sposób: lekceważenie, obojętność, chłód, pogarda.

Pogarda ma jednak inne oblicze, jest najcięższa do zniesienia.

Z tego punktu widzenia, przynajmniej w początkowej fazie związku, nie chcą przyjąć do wiadomości, że brutalne zachowanie męża, szarpanie, bicie, kopanie jest wyrazem odczłowieczenia, a więc pogardy. Oczywiście, że bywają mężczyźni gwałtowni, wściekli, tacy, którzy biją słabszą, ponieważ wiedzą, że im nie odda, a nie mogą przyłożyć szefowi, więc wyładowują trujące emocje, żeby się rozluźnić, uspokoić. Może zdarzyć się jakiś wyjątkowy przypadek, kiedy raz, jeden jedyny, mężczyzna uderza kobietę, jeszcze zanim pomyśli.

W badaniach na temat przemocy stwierdzono, że jeśli za pierwszym razem kobieta odda cios, rzadko dochodzi do następnego razu. Bo ci, którzy bijają kobiety, na ogół są tchórzami, jak dostaną w pysk, uspokajają się. Jeżeli kilka razy żona potulnie przyjmuje znęcanie się fizyczne, staje się ofiarą na długie lata, następuje eskalacja pogardy i wybuchy są coraz groźniejsze.

Bicie jest formą najgorszego rodzaju pogardy i nic nie może go usprawiedliwić.

Żony interpretują bicie jako gniew, jako gorącą reakcję, żeby nie dopuścić do siebie myśli, że są pogardzane. Zwykle uważają, że mąż bije z zazdrości, a to znaczy, że kocha.

Takie rozumienie pozwala ciągnąć to, co powinno zostać natychmiast przerwane. Tym można by tłumaczyć utrzymywanie się takich chorych związków długo, czasami nawet aż do momentu, w którym on ją zabije albo ona jego.

On może zabić, tłukąc ją bez umiaru. Katuje, ponieważ straciła ludzkie oblicze, przestała być dla niego coś warta, stała się tym, czym jest frajer dla bandziora, czym byli dla faszystów Żydzi, Słowianie, Cyganie. Nie byli ludźmi, tylko insektami, które należy tępić. Stąd właśnie, z takiego punktu odniesienia, biorą się czystki etniczne, wciąż obecne w świecie,

Kobieta jest Murzynem świata

Tak powiedział John Lennon, mężczyzna wrażliwy, mądry, genialny w tym, co pisał, komponował i śpiewał. Pewnie dlatego musiał go zabić inny mężczyzna, fanatyk, który chciał, by świat dowiedział się o jego istnieniu.

Od wieków, od zarania społeczeństw mężczyźni uważają kobiety za podludzi, najtęższe głowy, najwybitniejszych filozofów, rozmyślając o kobietach, zamieniały się w głupie twarogłowe pały, a te pały potrafiły wymyślać i wypisywać o kobietach te wszystkie bzdury, utrwalając obraz kobiety, w najlepszym razie, jako ubezwłasnowolnionego dziecka bez żadnych praw. W gorszym - kobieta była pozbawionym duszy złem, ciemnością, nieczystą istotą, którą za pomocą pięści należy uczyć moresu. Gdyby kobiety nie rodziły dzieci, gdyby nie miały tej cechy niedostępnej mężczyźnie, zostałyby wytępione we wszystkich częściach świata. Wszystkie religie zwracały się i zwracają przeciw kobietom, buddyzm, islam, chrześcijaństwo.

Moja imienniczka Krystyna z Pizy, żyjąca w piętnastym wieku, była literatką. Zdarzały się takie dziwolągi. Była kobietą uczoną, jakich w tamtych wiekach było niewiele. Siedząc w bibliotece, znalazła rozprawę *Lamentacje Malthelousa* z trzynastego wieku, która to rozprawa poświęcona była kobietom. Były to kłamstwa, głupoty, przeinaczenia. Wzięła się więc do roboty i napisała pierwszą chyba w świecie rozprawę feministyczną *Księga miasta kobiet*. Pisała w niej, że lamentacje jednego z uczonych idiotów nie są żadną rozprawą naukową. Cóż jednak dziwić się jakiemś podrzędnemu pisarczykowi, skoro Pitagoras uważał, że istnieją dwa źródła stworzenia człowieka: dobre i złe. Dobre stworzyło porządek, światło i człowieka. Źródło złe stworzyło chaos, ciemności i kobiety.

To jest pierwsze motto ważnej książki Simone de Beauvoir *Druga płeć*, która także stała się „księgą kobiet”.

Drugie motto, jakże inne, napisał mężczyzna, Poulain de La Barre: „Wszystko, cokolwiek mężczyźni napisali o kobietach, musi być podejrzane, gdyż każdy z nich jest jednocześnie sędzią i stroną”,

Jest więc na świecie sporo mężczyzn światłych, rozumiejących, takich, którzy starają się naprawić wyrządzone kobietom zło. Przykładem jest choćby David D. Gilmore, autor książki o mizoginii, która może wzburzyć krew czytelniczki. Warto wiedzieć, jak głęboko sięgają korzenie męskiej pogardy, kto zatruwał umysły nienawiścią do kobiet. Dziś ci mądrzy mężczyźni szukają kontaktu, partnerstwa, rozmawiają z żonami, poznają naszą inność, wiedzą, że to nie jest gorszość. Takich facetów należy szanować i dążyć z nimi do porozumienia. Ja nie wykluczam mężczyzn, nie potępiam ich w czambuł ani za płeć, ani za winy filozofów. Zawsze gdy myślę o kontaktach z mężczyznami, o układzie

kobieta-mężczyzna, staram się doprowadzić do jakiegoś konsensusu. Oczywiście, zwalczam szowinistów i mizogi-nów. Z pozostałymi da się żyć. Nie chcę zachowywać się jak moja nauczycielka fizyki i chemii z podstawówki. Jej wściekłość skupiała się nie na wagarowiczach, ale na tych, którzy nie uciekli, grzecznie zostali w klasie. Zostali ukarani, bo byli dostępni, więc to im robiła klasówki i zadawała do domu karkołomne zadania. Dowiadywaliśmy się o tym od tych łamistrajków, gdy zadowoleni wracaliśmy pod szkołę po filmie.

My nie popełnimy błędu zdesperowanej nauczycielki, będziemy rozmawiać z tymi mężczyznami, którzy chcą dojść do porozumienia, zbliżyć męskie i żeńskie, nie tylko w seksie, w łóżku, ale także przybliżając wzajemnie nasze inności. Jak dotąd nie wymyślono bowiem nic lepszego niż wzajemna bliskość, a bez wymownych spojrzeń, słów, zdań, półsłówki nie ma rozmowy, która potrzebna jest, by tę bliskość osiągnąć.

Czy to jest możliwe? Nie wiem, ale nie dowiemy się, nie próbując. Nie mówię, że będzie łatwo, ale zawsze lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć.

Jest piątek wieczór. Długo oczekiwany weekend. Pora „Wiadomości” i kolacji. Większość par z dłuższym małżeńskim stażem odpoczywa po całym dniu spędzonym w pracy. Siedzą w domu przy drinku, oglądają telewizję, czytają gazety, jedzą kolację. Niektórzy, a jest ich niezbyt wielu, czytają książki. Spotykają się z dorosłymi dziećmi, rodziną lub przyjaciółmi. To wszystko może być świetnym relaksem, bardzo przyjemnym wspólnym spędzaniem czasu lub martwą nudą. Zależy, jaki rodzaj kontaktu ma para. Czy rozmawia ze sobą i o czym rozmawia. Nie jest tak, że dobry kontakt małżeński polega na nieustannym gadaniu. Dom

jest miejscem, w którym można także odpocząć od rozmowy, a milczenie bywa rodzajem balsamu po całym dniu pracy. Jednak bardzo ważny jest rodzaj milczenia. Te codzienne godziny wspólnego milczenia, siedzenia obok siebie, czytania, odpowiadania monosylabami albo dzielenia się uwagami na temat czytanej właśnie gazety czy oglądanego filmu, po których znów zapada cisza, są prawdziwym wytchnieniem dla obojga. Pod warunkiem, że oboje tego chcą, że nie jest to wymuszone milczenie dlatego tylko, że jedna ze stron nie ma ochoty w ogóle rozmawiać o problemach i terroryzuje drugą, bo ma nad nią przewagę.

W takich przypadkach czas wolny, ten niby wytęskniony weekend, może z upływem lat stać się dla jednej lub dla obu stron czasem katorgi. Załóżmy jednak, że perspektywa dwóch wolnych dni powoduje odprężenie. Przed parą małżeńską kolejny spokojny wieczór.

Pary młodsze, te, które żyją w jako takiej harmonii, usiłują zapędzić dzieciaki do snu, a potem, gdy się to już uda, przygotowują się do wyjścia, stroją się, idą do kina, na umówione spotkanie, przyjmują gości u siebie, może idą z przyjaciółmi na dyskotekę albo słuchając muzyki, czekają na zamówioną pizzę. Wiele zależy od warunków materialnych, ale także od inwencji i chęci. Piją wino, piwo, myślą o seksie. Czekają na pójście do łóżka. Ze strachem lub z radością.

Po kilkunastu latach życia we dwoje mężczyźni zaczynają czuć się wypaleni, czasami tracą zdrowie, mają depresje, a wszystko to, zarówno dolegliwości fizyczne jak i psychiczne, przekłada się na kłopoty z potencją. Częściej jednak problem z pójściem do łóżka mają kobiety. Niektóre są załęcznione, inne chłodne, bo nigdy nie zostały rozbudzone. Są związki, w których kobieta przez wiele lat udawała orgazm, opracowała na własny użytek techniki zmniejszające koszty

psychiczne. Wmawiała sobie, że kocha męża, a seks jest tylko mało znaczącym dodatkiem. A jednak coraz mniej chętnie udaje orgazm. Kiedyś, na początku małżeństwa, gdy kobieta czuła, że pożąda jej mężczyzna, którego ona kocha, podniecała się swoją rolą, była obiektem pragnień i westchnień. Było to pożądanie sytuacyjne, w sytuacji seksualnej, ściśle związane z seksem, choć pozbawione spełnienia. Cieleśność i seksualność fizyczna spadały u kobiety na drugi plan, podczas gdy u mężczyzny zajmowały całą przestrzeń. Można zaryzykować twierdzenie, że mężczyzna podniecał się za dwoje i spełniał za dwoje. Być może kobieta uważała, że to się zmienia, że z czasem przyzwyczają się do siebie, a on będzie zgłębiał jej marzenia i pragnienia, że będzie je odgadywał. Jego pożądanie uruchamiało w niej poczucie własnej wartości. To było wiele warte, nawet jeśli nie dawało rozkoszy, jeżeli nie zaznała orgazmu, czuła się zaspokojona psychicznie. Wydawało się jej, że nadejdzie czas, gdy jej mąż odgadnie, co ją szczególnie podnieca, że doprowadzi ją wreszcie do szczęśliwego finału. Jeśli wcześniejsze doświadczenia z innymi mężczyznami doprowadzały do szczytowania, sądziła, że i ta małżeńska historia może zaowocować tym, czym powinna.

Gdy nie miała żadnych doświadczeń, nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, czym jest udany seks i jak może być dobrze. Przypominała w tym bardzo młodą, niewinną, jak się wówczas mówiło, rzymiankę, która została wydana za starszego mężczyznę, senatora, znanego i bogatego polityka. Po paru latach małżeństwa poznała młodego człowieka, zakochała się i poszła z nim do łóżka. Największe zdziwienie wzbudził w niej fakt, że nie cuchnęło mu z ust. Nie wiedziała, że tak może być, bo nigdy nie zbliżyła się do innego mężczyzny na taką odległość, by mogła się tego dowiedzieć. Myślała, że wszyscy mają nieświeży oddech.

Komórki do wynajęcia

Dziewczyny miewają teraz więcej doświadczeń, ale nie zawsze są to romanse udane. Młodzi ludzie starają się dowiedzieć o seksie tego, co może być przydatne, lecz informacje wcale nie są łatwe do zdobycia. Sama teoria nie wystarczy. Zbyt wczesny instruktaż polegający na oglądaniu filmów pornograficznych, wizyty w agencjach towarzyskich kierują seks w rejony niekoniecznie pomocne w stałym związku.

Dziewczyny są bardziej wymagające, ale częściej, niż nam się wydaje, wybierają zwykle do małżeństwa wcale nie tego, z którym seks jest najlepszy, lecz tego, który ma dobrą pozycję zawodową, jest zamożny albo jest im bliski w zainteresowaniach; kogoś, z kim można porozmawiać, na kogo można liczyć. Wydaje się im, że seks nie jest taki istotny, i czasami mają rację, są z tym szczęśliwe. Nie osiągają orgazmu, ale profity psychologiczne są większe niż niespełnienie seksualne.

Bywa też i tak, że mąż jest partnerem, a kochanek zaspokaja namiętności. Wbrew temu, co mówi się publicznie o zdradzie, o tym, że jest nie do przyjęcia, że kaleczy związek, że jest podłością nie do wybaczenia, dość duży procent związków funkcjonuje w ten właśnie sposób, że jedna ze stron ma kogoś na boku. Uważa się, że częściej jest to mężczyzna, który prowadzi „podwójne życie”, w którym króluje „ta trzecia”. Takie życie bywa tematem sztuk, filmów, powieści, dramatów i fars. Mężczyźni są również słabsi w udawaniu prostolinijności, nie potrafią kamuflować się tak dobrze jak kobiety ćwiczone od setek lat w zachowywaniu pozorów. Mieć żonę i kochankę to w męskim rozumieniu żaden wstyd, to nawet potwierdza fakt bycia „prawdziwym mężczyzną”. Mąż, który robi skoki w bok, jest męski, jest

samcem, i to mu w potocznym rozumieniu przystoi, kobieta zaś powinna to zrozumieć - jeśli nie może zrozumieć, musi to przynajmniej przyjąć i wybaczyć, jeśli zależy jej na utrzymaniu związku.

Zdarza się i tak, że „ta trzecia” opowiada o swoim kochanku przyjaciółkom, ponieważ chce, by wiadomość dotarła do żony, która wyrzuci go z domu. Część „tych trzecich” uważa, że to najlepszy sposób, by wymusić rozwód i zająć miejsce tej pierwszej. Zwykle mężczyzna „dla świętego spokoju” mówi, że rozwiedzie się dla kochanki, ale znajduje dziesiątki powodów, dla których krytyczny moment jest stale odwlekany. W stałych związkach trwa nieustanny ruch, dziecięca zabawa całkiem dorosłych, choć może niedojrzałych ludzi w komórki do wynajęcia. Chwiejność, brak równowagi, wydawałoby się, jest ostatnią rzeczą, której możemy pragnąć, a jednak ta chwiejność, odbijanie uczuciowej piłeczki od ściany do ściany niezwykle mocno cementuje. Każdy, kto zaznał mocnych wrażeń, tego, że raz stały związek, a znów innym razem romans wisi na włosku, w wyprostowanej, jednoznacznej sytuacji czuje niedosyt i nudę. Dla niektórych ludzi interesujące jest manipulowanie innymi, a nawet własnym życiem i emocjami. Adrenalina skacze po każdej kłótni i pogodzeniu. Oczywiście ważne jest także polectanie EGO, czyli JA w centrum. Takie na pozór nieudane związki, pary, w których jedno ucieka od drugiego, o ile nie rozpadną się od razu, są bardzo trwałe.

Podwójny nelson

Rozmowa z mężem na temat małżeńskiego seksu większości kobiet wydaje się niemożliwa. To jeden z tematów TABU. Żony wstydzą się lub boją urazić partnera. Nigdy o tym z nim nie rozmawiały, nie wykształcił się język rozmowy, nigdy nie przedstawiały swoich seksualnych fantazji, ulubionych pozycji, a nawet fundamentalnych problemów: chcę, nie chcę, lubię, nie lubię, kocham to lub nienawidzę. Myślą o seksie często w pierwszej fazie, w początkach związku, gdy namiętność gra wielką rolę, potem stopniowo coraz mniej, często wypierają marzenia o udanym seksie, spychają w głąb, do nieświadomości, gdzie tego rodzaju myśli, fantazje, marzenia leżakują jak wino, czekając na kogoś, kto sięgnie po butelkę i naleje do kieliszków. Wtedy kobieta ma namiętny romans, ale bywa, że nikt nie sięga 1 wino w otwartej przecież butelce (jednak!) się psuje albo wysycha.

Mężczyźni, nawet jeśli się nie cieszą, to przecież nie lękają się, raczej pozostają obojętni. Boją się „kompromitacji” jedynie wówczas, gdy tracą zainteresowanie seksem z żoną, tracą potencję, co niekiedy jest wynikiem nudnego, małżeńskiego seksu. Przeważnie nie czują się w obowiązku niczego tłumaczyć. Także i w tej dziedzinie nie ma symetrii.

Mężczyzna, jeśli ma ochotę, czuje gotowość, po prostu sięga po kobietę. Kobieta nie potrafi odmawiać, uważa za swój obowiązek czy za powinność mieć chęć na seks zawsze wówczas, gdy chce tego mężczyzna. Gdy on nie przejawia ochoty, ona z reguły nie mówi, że chciałaby się kochać. Uważa się, czy też przyjęło się sądzić, że kobieta zawsze może, nie ma barier fizjologicznych, więc nie ma problemu. Ten pogląd pokutuje w wielu związkach. Co więcej, kobiety

utwierdzają się w tym wzajemnie: „Daj spokój, o czym tu gadać, tylko się narazisz, zamknij oczy, zaciśnij zęby, przecież to długo nie trwa, raz-dwa i będziesz miała z głowy” -mówi doświadczona mężatka do swojej przyjaciółki, która dopiero niedawno wyszła za mąż. Mąż ma prawo być całymi tygodniami albo miesiącami zmęczony, oderwany od życia, zajęty pracą, karierą, i wówczas wydaje mu się naturalne, że nie sypia z żoną. Natomiast jeśli ma dobry humor, nastrój, przerwę w pracy i ochotę na seks, a żona jej nie ma, natychmiast pojawia się problem. Drażliwość męska w tej sprawie jest znamienna. Wrażliwość na stan psychiczny partnerki z reguły prawie żadna. Kobieta, gdy nie ma chęci, wymyśla różne powody, żeby nie urazić, nie upokorzyć męża.

Mężowie nie dowiadują się, kiedy kobieta ma ochotę na seks, a kiedy jej nie ma. I w tym względzie partnerka jest przygotowana do podległości i posłuszeństwa, tresura dała efekt. Dlatego bardzo często szczęściem kobiety jest jej oziębłość. Jeżeli pragnie utrzymać swoje małżeństwo, kocha męża, a nie lubi seksu, może, zamykając oczy i „trzymając język za zębami”, przetrwać okres męskiej wzmożonej potencji, a później odfajkowywać małżeńskie obowiązki. I może być z tym wszystkim szczęśliwa.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat obyczajnie zmieniły się, młodzi ludzie nie mają oporów przed różnymi sposobami wyrażania się w seksie. Jest wiele erotycznych książek i filmów. Ogląda się bez żadnego wstydu pornograficzne kasety. Seksuolodzy w pismach kobiecych odpowiadają na wszystkie, niekiedy bardzo drastyczne pytania. A jednak istnieje niebywały rozdźwięk między wyzwoleniem w seksie i poprzez seks, uprawianym w młodości przez wolnych ludzi, niezwiązanych żadnymi więzami, będących jedynie w układzie przyjacielskim i erotycznym, a późniejszym formalnym i

przypieczętowanym związkiem małżeńskim. Wydaje się, że im bardziej młoda kobieta była dziewczyną wyzwoloną, im więcej miała partnerów, tym trudniej pogodzić się jej z monogamią i skazaniem na jednego mężczyznę, nawet jeżeli sama go wybrała. Popularność wibratorów nie wzięła się znikąd. Tego rodzaju sprzęt popularny był już w starożytności (dilda, tak nazywały się sztuczne penisy), a pewnie jeszcze wcześniej, od momentu, w którym człowiek zaczął odczuwać przyjemność z seksu. A więc od zarania.

Samotność seksualna, niezaspokojenie, nieumiejętność, brak dążenia mężczyzny do poznania upodobań partnerki, jego egoizm, wszystko to powoduje, że i ten rodzaj samotności odczuwają kobiety. Znalazło to wyraz w słynnym monologu Molly Bloom w *Ulissesie* Joyce'a*:

„próbowałam z bananem ale bałam się że się złamie i zgubi się we mnie gdzieś tam tak bo kiedyś wyjęli coś takiego z jakiejś kobiety co było tam przez całe lata obrośnięte solą wapienną oni wszyscy szaleją żeby dostać się tam skąd wyszli można by pomyśleć że nigdy nie mogą dojść dostatecznie wysoko w górę a potem w pewnym sensie zrywają z tobą aż do następnego razu”.

Zrywają z tobą aż do następnego razu - te słowa Molly są pełne goryczy. Oddają dokładnie to, o czym mówimy. Oto krótki film akcji: klaps, scenka numer taki i taki, kobieta leży na łóżku, przykryta kołdrą, mężczyzna wchodzi do pokoju, rozbiera się szybko, nie do końca, zostaje w skarpetkach, gramoli się pod kołdrę, kładzie się na kobiecie; kołdra wznosi się i opada, wznosi się i opada coraz szybciej; kobieta ma zamknięte oczy; mężczyzna sapie; twarz kobiety wykrzywia grymas; odczuwa ból; jęczy; mężczyzna wydaje spazmatyczne okrzyki; po chwili opada na łóżko obok kobiety; wyciera się ligninową chusteczką; oddycha głęboko; zasypia; twarz kobiety zwrócona w kierunku

mężczyzny; po paru sekundach kobieta kładzie się na wznak; oczy otwarte, patrzy w sufit.

O mężczyznach zawsze mówiono, że muszą się w młodości wyszumieć, przymykano oczy na ich zdrady, skoki w bok, numerki na przyjęciach. Istnieje do dziś powszechne przyzwolenie w tej sprawie. Nie ma o czym rozmawiać, takie są prawa biologii, powtarzają matki córkom, a wtóruje im socjobiologia.

Syndrom milczenia kobiet

Z wielowiekowych religijnych tradycji wzięło się bagatelizowanie tego, co mówi kobieta, oganianie się od jej słów jak od brzęczenia natrętnej muchy. Zauważamy, jak Jezus odnosił się do swej Matki, jak opryskliwie jej odpowiadał, i to zarówno jako nauczający w świątyni mały chłopiec, jak i potem w Kanie Galilejskiej. Jung zwrócił na to uwagę w swojej *Próbie psychologicznej interpretacji dogmatu*

o Trójcy Świętej. Twierdzi, że wykluczenie kobiecości, a więc obecności Matki Boskiej w kontaktach z Ojcem-Bo-giem wzięło się z „misteriów, męskich wtajemniczeń”, w których kobiety nie mogły brać udziału.

Męski animus odpowiada ojcowskiemu logosowi, anima zaś macierzyńskiemu erosowi, świadomość kobiety według Junga określona jest przez erosa, ponieważ to właśnie „eros jest wyrazem jej prawdziwej natury, podczas gdy logos nie-rzadko bywa jedynie żalonym epizodem. W rodzinie i kręgu przyjaciół logos kobiety daje tylko powód do nieporozumień i nieprzyjemności, ponieważ opiera się nie na przemyśleniach, lecz na mniemaniach. Mniemania takie mogą działać irytująco”. Dlatego kobieta nie potrafi rozmawiać - tak twierdzi Jung.

Kiedyś kobieta musiała milczeć, nie mogła protestować, nie była w ogóle dopuszczana do tego stołu, przy którym mężczyźni głosili między sobą i dla siebie tego rodzaju ponure teorie. Za protest, o ile nie była intelektualistką czy artystką i nie prowadziła intelektualnego salonu, mogła zostać po prostu wychłostana. Słowami, pięścią, kołkiem lub biczem. Mogła również, jeśli trafiła na złą epokę i ortodoksyjną grupę mężczyzn u władzy, zostać zamknięta w szpitalu dla wariatów lub być ukamienowana, albo za radykalne poglądy głoszone publicznie spalona na stosie jako czarownica. Dlatego musiała milczeć. Język trzymać za zębami. Milczenie mamy opanowane.

Co mówią single w pubie

W śródmiejskim pubie mnóstwo samotnych mężczyzn. To mylące, niewłaściwe określenie, oni nie są samotni. Prawie każdy z nich zostawił w domu milczącą kobietę. To ona jest samotna. Chciała z niezmiennym od lat uporem wymusić na mężu coś na kształt zainteresowania domem, wspólnymi sprawami, spełnienie czegoś, co dawno obiecał, o czym ciągle zapomina. Może to być wartość duchowa lub wymiana przysłowiowej uszczelki: „Słuchaj, wymień ją, kupiłam wczoraj, wracając z firmy kilka sztuk, rzuć okiem, któraś powinna pasować”. Albo chodziło o wbicie haka w ścianę: „Czy możesz wreszcie wbić ten cholerny hak? W zeszłym miesiącu spadła nasza ślubna fotografia, czas byłby ją wreszcie powiesić, nie uważasz, że to może mieć znaczenie symboliczne?” On nie ma „w tej chwili” ochoty zajmować się „głupotami”. Rani ją boleśnie swoją obojętnością. Ona chowa się do skorupy. Przestaje się odzywać. Milczy. Zaczynają się słynne ciche dni, syndrom milczenia kobiet.

Monolog męski na ciche dni

Czego ONE chcą? Czy naprawdę chodzi jej o ten głupi hak, czy to jest hak na mnie, może wie, gdzie byłem we wtorek? No, ale gdyby tak było, toby nie milczała, to byłby dopiero krzyk i szloch! Wtedy musiałbym chyba wbić ten cholerny hak i się na nim powiesić! Naprawdę nie wiadomo, o co IM chodzi. Taki jest świat, tak jest ułożony i skonstruowany, że męzczyzna może więcej. Zawsze tak było i jakoś wszystko się dobrze układało. A teraz nagle to zaczęło IM przeszkadzać i zaczęły się problemy.

Przejęła się ideami tych wszystkich popieprzonych feministek, co pchają się na afisz, wymyślają teorie wolnościowe, piszą o równych prawach. Dołączyła do stada wyzwolonych kockodanów, którym poprzewracało się we łbach. Tak, to ONE ją zbałamuciły. Kiedyś była zupełnie inna. Jednak ONE mają teraz za dużo swobody, to fakt.

I tak już myśli teraz: ONE, bo w takich momentach uogólnia żonę, czyniąc ją elementem całości. Oczywiście nie mówi w taki sposób, bo teraz nie wypada tak się odzywać. Nie zauważył jednak, że zaczął uogólniać. Głośno tego nie powie, w końcu jest inteligentem, wie, co można, a czego nie. Jeszcze parę lat temu w kłótniach można było sobie na to pozwolić, teraz uszy po sobie. Lepiej milczeć, jeśli chce się mieć spokój w domu: obiad na stole, dzieciaki zadbane, a ciuchy poprane i poprasowane.

Jest znów wolny

Skoro ona milczy, to trudno, jej sprawa. Nie będzie jej wypytywał, przepraszał, namawiał, przytulał. Jest okazja, by czmychnąć z domu. Jej milczenie zwalnia go ze wspólnego spędzania wieczoru. Nawet dobrze się składa, już mu zaczęły ciążyć te zatęchłe wieczorki. Ma ochotę odetchnąć innym powietrzem. Poczuć inny zapach. Tak jak wówczas, gdy był kawalerem, kiedy był sam; jest znów panem siebie. Rozporządza własnym czasem. Jeżeli zostanie w domu, ukrywa się za gazetą, ogląda mecz, słucha ulubionej kasety albo ogląda męski film wszech czasów, wczuwając się w rolę słynnego agenta: nazywam się Bond, James Bond. Jeśli wyjdzie, pójdzie na mecz, do kina, spotka się ze znajomą z pracy, która od dawna mu się podoba. Ma na to własne błogosławieństwo, jest rozgrzeszony, bo przecież to ona - żona - się do niego nie odzywa. Został przez nią skrzywdzony, upokorzony, musi się jakoś pocieszyć.

Kobieta zostaje w domu i to ona jest samotna, nie ma z kim podzielić smutku. Wstydzi się o tym mówić. Zatelefonuje do matki albo do córki, która już nie mieszka w domu, żeby chwilę pogadać, tak naprawdę jednak nie może przecież ranić starej matki, która ma dość problemów, materialnych, ze zdrowiem, z pamięcią. Mroczne myśli zaczynają dobijać się właśnie wtedy, gdy milczenie przechodzi w stan chroniczny. W barku znajdzie się pocieszenie, jest jeszcze trochę słodkiej wódki, którą lubi. Sięga po kieliszek. Coraz więcej samotnych w małżeństwie kobiet pije. Wtedy czują się lepiej.

W pubie tymczasem kwitnie życie towarzyskie; faceci wymieniają się uwagami na temat cichych dni: ile trwają, jak można je przełamać. Czy coś kupić, a jeśli tak, to co najlepiej udobrucha żonę? „To zależy od stanu twojej kasy,

człowieku, nie przesadzaj z prezentami, bo będzie stosowała tę metodę, żeby wymusić bukietek stokrotek, perfumy albo futro. Możesz, chłopie, okazać uczucie, pocałować i utulić, albo załatw rzecz po męsku, dawno się nie kochaliście, więc weź viagrę i daj jej popalić. A jak nie będzie chciała, bo jest wciąż obrażona? Poczekaj, aż zaśnie, w nocy w łóżku jest bezbronna, a ty jesteś mężczyzną. Nakłonisz ją albo zmusisz, wszystko jedno, zobaczysz, że będzie zadowolona".

Pieszczotą czy perswazją, siłą albo sposobem, jakkolwiek zachowa się mężczyzna, zawsze jest wygrany.

Milczenie kobiety obchodzi go mniej niż zeszłoroczny śnieg. To dla niej jej własne milczenie jest zabójcze. Mężczyźnie w niczym nie przeszkadza, niczego nie utrudnia.

„Możesz też czekać, aż się sama zacznie odzywać, przetrzymać ją i nie ustąpić: będziesz miał, chłopie, święty spokój, swobodę przez dłuższy czas, bo masz powód, żeby spieprzyć z domu, zawsze możesz potem powiedzieć, że atmosfera stała się nie do wytrzymania, i zwalisz całą winę na nią".

„Zyskujesz argumenty".

„Zbierasz punkty przeciw niej".

„Masz na nią haka".

„Możesz zacząć gadkę o dzieciach, żadna się nie oprze, jak zobaczy, że interesujesz się sprawami dzieciaków, to nie ma siły, każda się odezwie, bo inaczej będzie wyrodną matką".

Dylemat mężczyzny podczas cichych dni: Czy walnąć pięścią w stół, zmilczeć, czy rozkwasić jej nos? To zależy od modelu związku.

A więc dobrym słowem, sposobem czy siłą, reakcją albo brakiem reakcji, jakkolwiek mężczyzna rozwiąże syndrom

cichych dni, kosztuje go to mniej niż jego partnerkę. Zwykle nawet to on zyskuje.

Kobiety nie chcą artykułować swych pretensji, swoich myśli, ponieważ boją się, że zostaną potraktowane brutalnie, grubym słowem lub pięścią.

Może czasami kilka żon-rewolucjonistek wykrzyczy swoje pretensje i żale, ale regułą jest krzyk do środka. Na zewnątrz milczenie.

Wygodny rodzaj buntu

Mężczyzna akceptuje ciche dni jako wyraz niezadowolenia kobiety, jest to dla niego wygodny rodzaj jej buntu, zwłaszcza że za jej milczeniem nie idą inne niedogodności. Mężczyźni ciche dni nie przeszkadzają w funkcjonowaniu. Obiad na stole, koszule wyprane i wyprasowane w szafie, wszystko działa normalnie. Nienormalny jest tylko stan jego żony, ale przecież może się odezwać, skoro jest taka uparta, niech cierpi.

Kłótnia i jej konsekwencje mają płęć. Są zabarwione żeńskością lub męskością.

Scena z małżeńskiej kłótni o głupstwo.

- Prosiłam cię od dawna, żebyś to zrobił.
- Teraz jestem zajęty czym innym.
- Mówię o tym od tygodnia.
- Może za dużo o tym gadasz.
- To musi być zrobione teraz.
- Nikt nie będzie dyktował mi, kiedy mam coś zrobić.
- Myślałam, że to jest nasz wspólny dom.
- Nie będziesz mi rozkazywała.
- Prosiłam cię.
- Jesteś agresywna.

- Nie mam już siły tego znosić. Muszę wszystko robić sama.

- Nikt cię nie zmusza.

- Jak to nie zmusza? Przecież to musi być zrobione.

- Nie w tej chwili.

- A co takiego robisz w tej chwili?

- Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Nie widzę.

- Dla ciebie nieważne jest to, co ja robię.

-Siedzisz i oglądasz telewizję, a ja robię wszystko za ciebie.

Przy słowach: jesteś agresywna, kobiecie zbiera się na płacz. Łyka ły, ponieważ wie, że nie jest agresywna, chce tylko, by jej mąż włączył się w roboty domowe. Chodzi o wspólnotę głębszą niż podział obowiązków. Dlatego powiedziała, że to jest ich wspólny dom. Sądziła, że tego rodzaju armata, zawsze przygotowana, zawsze w pogotowiu, by móc ją w stosownej chwili wytoczyć, załatwi sprawę, że on nie będzie mógł zaprzeczyć oczywistości, bo przecież to jest ich wspólny dom.

Kobieta zabiera się do zrobienia tego, co miał zrobić mężczyzna. On wstaje sprzed telewizora i wściekle wrywa jej z rąk sporny przedmiot.

Ich oczy spotykają się. On ma ochotę ją uderzyć, niekiedy zabić.

W jej oczach wiszą ły, jak krople deszczu na liściach, zaraz spadną.

Jego oczy ciskają się wściekle po jej twarzy, po ścianach. Siłowanie się wzrokiem. Zaczyna padać deszcz łez. Ulewny. Od dawna się zbierało. W mężczyźnie narasta napięcie. Burza. Wyładowanie.

Siłowanie się, szarpanie. Ona nie puszcza. On jej wrywa. Krzyki.

- Jesteś kompletną kretynką!
 - Ty egoisto! Jak śmiesz tak się do mnie odzywać! Myślisz tylko o sobie, gdyby nie ja, ten dom by nie istniał!
 - Może tak byłoby lepiej, miałbym święty spokój!
 - Twój spokój jest najważniejszy! Ja się nie liczę, dzieci też nie. Nikt się dla ciebie nie liczy.
 - Nie mam ochoty z tobą rozmawiać! Pewnie powiesz, że masz okres.
 - Nawet nie wiesz, kiedy mam okres, ciebie to nic nie obchodzi. I tak ze mną nie śpisz, wciąż jesteś zajęty!
 - No nie, tego nie zniosę, przecież to ciebie wciąż boli głowa!
 - Nie mogę sypiać z kimś, kto mnie nawet nie widzi!
- Kobieta wychodzi z kuchni, zostawiając otwarte drzwi. Mężczyzna wychodzi z kuchni, trzaskając drzwiami. Wchodzi do pokoju, trzaska drzwiami. Jeśli mają dwa pokoje, siedzą oddzielnie. Potem ona wraca do kuchni i kończy zostawioną przez niego robotę, on ogląda telewizję, jednocześnie czytając gazetę. On nie czuje zniewolenia, ona tak. Odbiera to jako zamach na jej godność. Miota się, nie potrafi wyłączyć natrętnych myśli. Straciła dawnych przyjaciół. Nie chce o tym z nikim rozmawiać. Nie zachowała przywilejów z okresu godowego. Obowiązki pochłonęły ją bez reszty. Zapomniała o wolności osobistej. Teraz musi ją odnaleźć.

Święty czas mężczyzny

Mężczyźni zabierają kobietom ich czas, dają minimum, za to bardzo rozsądnie gospodarują swoim czasem. Mają rację, bo tylko w ten sposób można dojść do odpowiednich efektów. Mężczyźni żądają dla siebie świętego czasu zarówno wówczas, gdy pracują, ale także wtedy, kiedy odpoczywa

ją. Olimpiady czy mistrzostwa w piłce nożnej dają pojęcie o skali zjawiska. Mecz jest czasem świętym jak szabas dla rabina. Tej świętości nie wolno naruszyć ani przerwać, nie wolno się odzywać, pytać. Chyba że pytanie dotyczy wyniku meczu lub któregoś z graczy.

Czy kobiety mają święty czas? Chyba tylko w kościele; może stąd biorą się dewotki, że kościół daje kobietom wytchnienie? Przysługuje on im tylko podczas ciężkiej choroby, gdy leżą przykute do łóżka. Wtedy przyzwoity, dobry mąż staje się partnerem. Rozmawia, pyta, opiekuje się. Wówczas okazuje się, z kim żyło się tyle lat pod jednym dachem.

Miałam to szczęście, że udało mi się odnaleźć w mężu partnera. Był przy mnie i wspierał dzielnie. Nie ma natomiast symetrii przy chorobie alkoholowej. Żona na ogół zostaje z mężem, opiekuje się nim, leczą się razem; mąż zwykle rzuca żonę alkoholickę.

Oglądanie seriali, które kobiety podobno lubią, na ogół wiąże się z wykonywaniem cichych domowych zajęć, zwłaszcza z prasowaniem. W tysiącach domów przed ekranem telewizyjnym przy desce do prasowania stoi kobieta z żelazkiem w ręku. Czy ktokolwiek szanuje jej wolny czas, jeśli ona w ogóle go ma? Czy „mamusia pracuje” ma taką samą wagę jak „tatuś pracuje”? Być może zaczynają się tego rodzaju procesy, ale w większości znanych mi rodzin, przynajmniej w związkach małżeńskich ludzi w średnim wieku, czas pracy lub odpoczynku tatusia jest święty, mamusia zwykle w ogóle go nie ma, a jeśli ma, to można jej go w każdej chwili jakimś głupstwem przerwać. Nie ma tu żadnej symetrii.

Nawet wówczas, gdy dzieci są już samodzielne i wyprawdają się z domu, gdy para mogłaby spędzać czas we dwoje,

mieć wspólne przyjemności, nawet wówczas mąż ma prawo do świętego własnego czasu na pracę i odpoczynek. Jeśli kończy jakąś pracę, nie wolno mu przeszkadzać, trzeba wszystko za niego w domu zrobić. Oczywiście on powie, że nic nie trzeba, może chodzić brudny, głodny albo zjeść byle co, a głupia kobieta, zamiast pozwolić mu na to, wyjechać czy wyjść, zakasuje rękawy i robi za niego całą robotę. I jeszcze miło zagaduje, by raczył zwrócić na nią swą uwagę. Zamiast zająć się sobą, wszystko jedno, karierą czy własną skórą, zamiast „dzielić swe libido celowo”, robi z siebie podległą sługę.

Zmowa matek i babek

„Do roczku dziecku wszystko wolno”. Moja matka często powtarzała tę maksymę. To była złota myśl rodzinna, wędrująca z praprababki na prababkę, z niej na babkę, potem na moją matkę i na mnie. Ta transmisja po kądzieli oznaczała, że do roczku nie wolno karać małego dziecka, jak również, że nie wolno go jeszcze tresować, czyli poddawać obróbce wychowawczej. Piastunki i nianie, jeżeli były, przygotowywano również w tym duchu. Kobiety w mojej rodzinie dawały w ten sposób dziecku wolność działania, pomijając jego płeć, jakby jej jeszcze nie było. W naszej rodzinie rok dawano zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom, stosując absolutne równouprawnienie dzieci w tamtych odległych czasach, w których równe prawa figurowały jedynie na papierze. Międzypokoleniowa zmowa matek wynikała z przekonania, że dziecko jest zbyt małe, by zrozumieć, o co rodzicom chodzi, a więc zarówno wychowywanie, jak i kara mijają się z celem.

Pamiętam, że matka posłużyła się Kodeksem Hammura-biego, gdy ja powtarzałam, że ciotka ma za długie włosy i spadają jej na twarz, matka wzięła nożyczki i powiedziała, że zaraz zetnie mi kosmyki. Wtedy przeraziłam się i zrozumiałam różnicę między planowanym obcinaniem na życzenie: „Teraz obetniemy Krysi włoski i wyrównamy grzywkę”, a anarchicznym i podstępny pozbawieniem kogoś kędziorów. Ja wystąpiłam w roli małej Dalili, a potężna, obdarzona władzą, pilnująca mnie ciotka odegrała rolę Samsona. Sprawa z kontaktem była trudna do wyjaśnienia, dziecko często uczy się na błędach, dotyka żelazka, oparzy się i więcej go już nie dotknie, a w tym przypadku nie można było dopuścić do tak zwanej nauczki. Różnica między nauką a nauczką to różnica pomiędzy teorią a praktyką. Wychowywanie dziecka przez gadanie, tłumaczenie mu to nauka, jego bolesne doświadczenia zaś z ogniem czy nożem są nauczką.

Tożsamość w krnąbrności

Amnezja dziecięca obejmuje według Jeana Piageta dwa pierwsze lata życia. Doświadczenia z tego okresu są jednak zapisane w mózgu i wpływają równie silnie na rozwój osobowości, jak to, co świadomie pamiętane. Ściśle związana z wolnością jest krnąbrność, ona daje dziecku poczucie własnej odrębności, własnego „ja”. Krnąbrność jako rządząca życiem zasada bywa później zniewoleniem. Pamiętam doskonale ciągłe własne przeciwstawianie się każdemu, bez względu na to, czy zgadzałam się z jego zdaniem, czy nie. Było to silne zaznaczanie własnej odrębności, niekiedy głupie, ale było to także ćwiczenie się w oporze.

- Pójdiesz dziś z tatusiem do ciotki Marysi, do ogrodu
-mówiła matka.

- Nie, nie, nie! - wołałam, chociaż bardzo lubiłam chodzić do tego wspaniałego miejsca, które uznawałam za swój tajemniczy ogród, gdzie mogłam bawić się z kuzynkami, jeść owoce, zbierać kwiaty. Było tam mnóstwo kryjówek do zabawy w chowanego, panowała swoboda, pełen luz. Dlaczego więc opierałam się, dlaczego mówiłam: „nie!”?

Prawdopodobnie dlatego, żeby wyrazić swoją wolę, zaznaczyć, że istnieję poza rodziną, która coś postanawia, n i e p y t a j ą c m n i e . Istota dziecięcej negacji u starszych dzieci, które rozumieją więcej niż te zupełnie małe, leży w trybie oznajmującym. Rodzice prawie nigdy nie pytają dziecka, czy czegoś chce, czy nie. Po prostu wiedzą lepiej, co jest dla niego dobre. Nawet jeśli to prawda, forma rozkazująca: pójdiesz, zrobisz, nie pójdiesz, nie zrobisz, musisz to zjeść, nie będziesz jadła takiego świństwa, jeśli miałam akurat ochotę zjeść szarą żelatynową mysz - jest dla inteligentnego, rozgarniętego dziecka nie do przyjęcia. Narusza jego wolność, nie daje pola manewru i, co być może jest najważniejsze, z a b i j a r o z m o w ę . Dziecko opiera się, a wtedy na ogół od razu dostaje w tyłek albo stosuje się innego rodzaju środki przymusu. Pójdiesz i koniec. Ubieranie na siłę, krzyki, rozkazy. Nie ma dyskusji.

Amerykańska lalka a poczucie bezpieczeństwa

U mnie w domu była przynajmniej rozmowa. Matka wiedziała, że chcę iść, ale nie mogę się zgodzić, nie znała powodów, nie odkryła tego, co było przecież proste: n i k t m n i e n i e z a p y t a ł , czy chcę. Upierałam się więc: nie pójdę i koniec. Tylko taka mogła być odpowiedź na „pój-

dziesz i koniec". Wyjaśnianie następowało później. Po pierwsze, bo to zdrowo. Musisz być na świeżym powietrzu. Mieszkamy w samym śródmieściu, wdychasz spaliny. Takie argumenty żadnego dziecka nie przekonają. Potem były bardziej sensowne, że kuzynki na mnie czekają, że będę mogła zabrać moją amerykańską lalkę, która była wówczas ewenementem na skalę krajową, budziła sensację, była to znacznie ładniejsza prababka laleczki Barbie. Dość duża, szczupła, ale nie anorektyczna, oczywiście jeszcze bez piersi, ale miała staniczki, bo była to epoka dziewczynek z zasłoniętym miejscem, w którym kiedyś wyrosną piersi. Miała prawdziwe włosy i zamykała oczy. Opisywałam ją bardzo dokładnie w *Wiórach*, opisuję ją teraz, żeby pokazać, jaką miała dla mnie wartość. Myślę i pamiętam, że był to dla mnie wyraz miłości rodziców, bo jej kupno nie było proste, trzeba było drogo zapłacić za przywieziony z Ameryki towar, a byliśmy wówczas biedni jak wszyscy w PRL-u, zwłaszcza w początkach. Doceniałam to i lalka jako przedmiot magiczny i nadzwyczajny wyraz miłości budził we mnie ciepłe uczucia. To był dobry argument. Matka wiedziała, że to moja duma i słaby punkt. Słuchałam tego, co mówi, rozważałam, już nie upierałam się głupio. To była nauka sztuki negocjacji. Wydaje mi się, że właśnie wtedy, tak wcześnie, zyskałam umiejętność dochodzenia do kompromisu i osiągnięcia tego, co chcę, bez upokorzeń, chociaż rodzice zwracali większą uwagę, by mnie nie ranić, niż później bliscy w dorosłości. Rodzice byli uważni, zależało im głównie na tym, bym to ja była szczęśliwa, byli mało egoistyczni. Później przychodzi nam się ścierać z bardziej egoistycznym punktem widzenia, kiedy to każdemu z dwójga ludzi w parze chodzi o jego własne, egoistycznie pojęte dobro. Myślę, że w takim starciu kobieta najczęściej przegrywa, nie potrafi postawić na swoim, wciąż

oddaje kawałki własnej wolności, sprzedaje się za cenę spokoju, harmonii. To powszechny błąd, który wszystkie robimy. Mężowie w najlepszych nawet związkach nie negocjują, oni po prostu stawiają warunki, i albo je przyjmiesz, albo... Ta groźba wisi nad kobietami, które nie chcą porzucenia, nie chcą zostać same - nie twierdzą, że wszystkie, ale w olbrzymiej większości - nie rozumieją, że tu chodzi o pryncypia, o wolność własną.

Rodzice natomiast negocjują, bo nie mogą cię porzucić, 1 ty jako dziecko, jeśli masz czy miałaś dobrych rodziców, wiesz o tym, że nie zostawią cię na lodzie z twoją amerykańską lalką. Masz znacznie większe poczucie bezpieczeństwa niż wtedy, gdy jako dorosła kobieta już nie bawisz się lalką, wychowujesz prawdziwe dziecko i boisz się, że zostaniesz sama z problemami.

- No to ubieraj lalkę, śpiesz się, bo ucieknie nam trzynastka! - mówił ojciec, a matka dawała mi koszyczek na owoce, które miałam zebrać na konfiturę. Matka i ojciec umieli mnie rozmiękczyć, to był dobry sposób na zwalczanie głupiego uporu. Pamiętałam dobrze ich metody, ale także i to, że nie potrafili zapytać mnie, czy czegoś chcę, nie wiedzieli, że to mogło mieć lepsze skutki niż narzucanie z góry swojej woli. Pamiętając o tym, nauczyłam się pytać swojego syna, czy ma ochotę na coś, czy nie. Nie zmuszałam go, jeśli to było możliwe. Starłam się nie zmuszać go do jedzenia ani też do rozrywek, jakich nie lubił. Wizyty u lekarza, u dentysty były konieczne, i starałam się mu to wytłumaczyć. W tych przypadkach nie mógł powiedzieć: nie. Jednak wcale nie mam pewności, czy to, że nie musiał o wszystko walczyć, nie spowodowało, że później, w kontaktach z dziećmi, musiał od nowa uczyć się asertywności, którą ja miałam w duszy i w małym palcu od dzieciństwa.

Czy dziś jest wtorek? Nie, dziś jest wtorek

Jeszcze dziś zdarza się, że gdy ktoś pyta, czy dziś jest wtorek, odpowiadam: nie, dziś jest wtorek. Bo „nie” było kiedyś początkiem każdego mojego zdania, i to się czasami odzywa jak czkawka. Gdy zostałam pisarką, zrozumiałam, że negacja jest fazą niezbędną do rozwoju dziecka, ale w dorosłości może stać się niewolą. Wtedy napisałam opowiadanie o człowieku, który uważał, że istnieje tylko wówczas, gdy się nie zgadza, gdy stosuje opór. Dziecko musi przez to przejść. Ja miałam przedłużoną fazę negatywizmu dziecięcego, bardzo daleko poza dopuszczalną granicę, ale też nigdy później, gdy już przestałam popisywać się krnąbrnością, gdy zrozumiałam, że jest to także rodzaj niewoli, nie bałam się mieć własnego zdania.

Działo się tak prawdopodobnie również dlatego, że nie byłam bita, zahukana, że nie stosowano w mojej tresurze agresji, a rodzice robili wiele dla mojego dobra, czego wcale nie pragnęłam, ale w żadnym razie nie mogłam zarzucić im złej woli. Ani matka, ani ojciec nie bili mnie z wściekłością, której nie można powstrzymać, a ten sposób wychowywania mogłam obserwować. Tak działo się w rodzinie wujostwa, z którymi razem mieszkaliśmy, tak poskramiano moje koleżanki i kolegów z podwórka i ze szkoły. Z dziećmi się nie rozmawiało, dzieci się biło.

Przycieranie rogów

Tłumienie anarchicznej wolności jest koniecznym narzędziem, które przygotowuje dziecko do konformizmu społecznego. Używam pojęcia konformizmu nie jako odstręczającego hasła, myślę o nim bez pejoratywnego odcienia,

ponieważ nikt nie wymyślił lepszego sposobu na życie społeczne niż konformistyczny układ, czyli przycieranie rogów. Najpierw rogi przycierają rodzice lub (w mniejszym stopniu) babcie wychowujące wnuki czy różnego rodzaju *baby-sitter* (w większym stopniu), potem następuje szok dla poczucia wolności dziecka, czyli szkoła. Oprócz przyciera-nia rogów szkoła spełnia jeszcze kilka innych, pozytywnych zadań. Dostarcza wiedzy, uczy życia w grupie, wtłacza do głów, czasami bardzo boleśnie, ideę porządku społecznego oraz hierarchii społecznej. Coraz silniej rysuje się podział na to, co wolno dziewczynce, a co chłopcu.

Ważny jest stopień tłumienia indywidualnej wolności. Stopień socjalizacji, możliwość rozwoju talentu i to, jakim szkoła jest źródłem wiedzy. Równowaga między dobrem a złem wynikającym z zadań, jakie ciążyą na szkole, przyczynia się do zachowania poczucia względnej wolności albo do poczucia zniewolenia. Zachowana wolność owocuje poszukiwaniem partnera w małżeństwie. Zniewolenie zaś powoduje przyjęcie podległości jako naturalnego, odwiecznego stanu i świadczenie usług, zarówno w pracy zawodowej, gdzie kobieta przyjmuje postawę podnóżka szefa, jak i rodzinnym, gdzie żona służy mężowi i dzieciom.

Czym jest wolność w małżeństwie?

Jest to stosunek ilości zachowanych przywilejów wolności przed małżeństwem, z okresu godowego, czyli tradycyjnie rzecz ujmując - narzeczeństwa, do ilości nowych obowiązków, które dawne przywileje znoszą. Takim przywilejem wolności jest prawo do kontaktów z przyjaciółmi obojga płci. Poczucie wolności wiąże się również z godnością lub jej utratą. Dzieci to w małżeństwie potężne źródło ograni

czenia wolności kobiety. Każda obdarzona świadomością, myśląca kobieta wie o tym, że wolność mężczyzny jest ograniczona w znacznie mniejszym stopniu niż jej. W dobrych, partnerskich układach sprowadza się do pomocy przy wychowywaniu dzieci. Wychowaniem globalnym zajmuje się żona, która staje się później niewolnicą własnych dzieciaków, całkowicie tracąc autonomię. Rzadkie są przypadki, gdy mąż rzuca pracę i zajmuje się dziećmi. Taki układ nie jest akceptowany społecznie, uważa się go wręcz za wynaturzenie, często myślą i mówią o nim w taki sposób również same kobiety, które na co dzień walczą z mężem o jakąkolwiek pomoc w prowadzeniu domu. Gdy jednak któreś z koleżanek uda się znaleźć prawdziwe partnerstwo w związku, oburzają się i syczą z ironią na robienie „baby” z mężczyzny.

Uświadamianie kobietom znaczenia wolności osobistej i autonomii w związku, zwłaszcza w małżeństwie, jest zadaniem nad wyraz trudnym i niewdzięcznym. Kobiety ze starszego i średniego pokolenia boją się jak ognia wszelkiego posądzenia o feminizm, nie mają do feministek zaufania. Zresztą nawet młode, studiujące dziewczyny na hasło: feminizm, dyskredytują osobę, którą wcześniej w sprytnych badaniach uznały za nadającą się do pracy, odrzucają ją, tylko z tego powodu, że dowiedziały się później od prowadzącej badania, że kandydatka jest feministką. Nawet wykształcone młode kobiety ulegają mizoginii, w stosunku do feministek zachowują się tak, jak mężczyźni zachowywali się przez całe wieki w kontaktach ze wszystkimi kobietami. Nie znają ich i nie chcą poznawać. To naprawdę mozolna rzecz uświadamianie kobietom ich prawa do wolności, nie chcą o niej rozmawiać, boją się o niej myśleć, mimo że podświadomie jej pragną.

Autonomia małżeńska w czterech ścianach

Z definicji wynika, że autonomia to samodzielność, niepodległość, samostanowienie, (pół)suverenność. Z greki *-autonomos* - samorządny, niezależny. Z tej definicji do sytuacji kobiety w małżeństwie możemy dopasować tylko jedno z określeń, a i to w mniejszym zakresie, kobieta zamężna ma bowiem nie pół-, lecz ćwierćsuverenność. Nawet jeśli na początku miała półsuverenność, gdy zawierając małżeństwo, była młodą i do tego ładną kobietą, pożądaną seksualnie przez męża, z czasem tracąc urodę i zainteresowanie partnera, traci również ową niepełną suverenność.

Silny związek z innym człowiekiem, jakim jest małżeństwo, jest ucieczką od wolności własnej, dobrowolnym lub wymuszonym przez obyczaj pozbawieniem się tej wolności i odrębności, w imię zapewnienia sobie poczucia bezpieczeństwa. W momencie podejmowania decyzji mamy nikłą świadomość, że zapłacimy za to więcej, niż dorosła, ukształtowana w poczuciu wolności własnej osoba może znieść. Czasem dociera do nas fakt zniewolenia, ale odrzucamy go, by nie przeżywać dyskomfortu dysonansu poznawczego. Mówiąc po ludzku, chodzi o to, że jeśli już coś wybrałam, uznałam za dobre, to moje ego nie chce tak od razu tego potępić, bo znajdzie się wówczas w sytuacji psychicznego odbijania się od ściany do ściany. Gdy bolesna świadomość pomyłki nadejdzie, trzeba coś z nią zrobić: spokój jest zaburzony, wyjścia nie widać. Wtedy zaczyna się dramat dwojga ludzi „pod celą”. Prowadzą jak w prawdziwym więzieniu życie oficjalne i drugie życie, oparte na przemocy git-czło-wieka, czyli męża, któremu żona i dzieci muszą się totalnie podporządkować.

Prześcieradło - płaszczyzna porozumienia

Nadzwyczajną wagę gadania, czy to o rzeczach najważniejszych, czy też najbłaższych, widać nie tylko w codziennym życiu żony i męża, co byłoby oczywiste, lecz także w kontaktach romansowych. Zauważyłam, obserwując przez lata siebie i inne kobiety, że bardzo często romans zamężnej kobiety bierze się z potrzeby gadania, nawet jeśli początkowo ona sama sądzi inaczej, jeśli namiętność wydaje się główną przyczyną, prawie zawsze po niezbyt długim czasie okazuje się, że chodzi bardziej o psyche niż ciało. Tak więc potrzeba nowości jest poszukiwaniem partnera nie tylko do seksu, lecz i do rozmowy.

Kobiety częściej niż mężczyźni szukają rozmówcy do łóżka.

Sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, niż się wydaje, bo zdarza się, że nigdy nie zrobisz z mężem tego, co zrobisz z kochankiem, albo nie możesz przemóc się do jakiejś formy seksu z kimś, kogo kochasz, a możesz swobodnie robić to z przypadkowo poznanym w hotelu członkiem grupy rockowej albo prezesem podejrzanej firmy. Napisałam tu o tym, o czym mówią dziewczyny młode i całkiem dorosłe między sobą, a czego nigdy by nie powiedziały swojemu

partnerowi. Chcą, żeby się domyślił. Podstawowy, fundamentalny błąd kobiet, nasz błąd, drogie siostry, polega na tym, że my się domyślamy, zgadujemy, wyprzedzamy, a mężczyźni tym się wcale nie zajmują. Jeśli mu nie powiesz, wciąż będzie uważał, że ma szansę na powyższe odmiany seksu, że na razie nie wyszło, ale ty musisz tego pragnąć tak samo jak on. Zajęty twoją waginą nie widzi twojej twarzy, nie słyszy też monologu waginy. A wagina najlepiej dialoguje z penisem, ten dialog wychodzi dużo lepiej niż rozmowa na temat seksu, do której używa się głosu.

Krajobraz po romansie

Mężczyźni na ogół lubią mówić o seksie, co niekiedy powoduje przerost formy nad treścią. Trzeba uważać, żeby nie było więcej gadania niż działania. My lubimy słuchać o tym, co by zrobił, gdyby w tej chwili mógł, ale tak się składa, że nie może, bo jest daleko. Ma facet wyobraźnię! Telefonujecie do siebie, a wtedy on rozwija swoje niesamowite pomysły, mówi długo i barwnie o rozmaitych wariantach, jakie zastosuje, gdy tylko cię dopadnie. Gdy to już nastąpi, jesteście wreszcie razem, wtedy zapał uchodzi z niego z sykiem, ciało stygnie, a potrzebna do spełnienia część męskiego ciała szybko wędnie albo po długich i ciężkich cierpieniach wstaje jak Łazarz ze śmiertelnego łoża.

Dlaczego nie wzięłam tego osiłka z plaży?

Kochanek-seksualny gaduła bywa zmorą kobiety, jest trudny do zniesienia. Najczęściej wtedy zaczynają się refleksje: po co ja się w to wpakowałam?, czy naprawdę potrzebne jest mi to gadanie, czy nie lepszy już mąż śpiący obok snem

sprawiedliwego? Gdyby kochanek, zamiast gejzerem seksu, był skarbnicą mądrości, dawał intelektualne zaspokojenie, wtedy mogłabym się pogodzić z jego kiepską kondycją cielesną, ale ten rozdźwięk pomiędzy jego słownym apetytem a cienkimi możliwościami jest nie do przyjęcia. Dlaczego, dlaczego nie wzięłam sobie tego powolnie myślącego, a fizycznie tak dobrze rozwiniętego i działającego jak trzeba osiłka?

Kobiety bronią się przed przyznaniem do romansowej porażki prawie tak mocno, jak bronią swego nieudanego małżeństwa, a może nawet bardziej, bo codzienność z niekochanym mężem pod jednym dachem, w czterech ścianach, jest trudniejsza do zniesienia, mobilizuje do działania, do ostatecznego uwolnienia się od ciemnicy. Romans zaś, odświętna randka z wyjściem na dobrą kolację, ukrywanie się przed mężem i znajomymi, cała ta otoczka sprzyja przedłużonej agonii kiepskiego, mimo że grzesznego związku.

Gdy już się utwierdzi w przekonaniu, że wszystko wygląda podobnie, wtedy nie może ot tak sobie powiedzieć: „*Adieu*, misiu, pozostaliśmy przyjaciółmi”, i szukać dalej.

Przyjaźń po nieudanym seksualnie romansie jest trudniejsza niż po udanym, który umarł śmiercią naturalną i przeszedł drogą aksamitnej ewolucji w przyjacielską zażyłość.

Były kochanek = najlepszy przyjaciel

Dobrze jest mieć przyjaciół-byłych kochanków, po latach zapomina się, że kiedyś łączyła nas inna bliskość niż całowanie w policzek. O tym pamięta nasza pamięć w swej głębszej warstwie. W różnych momentach życiowego przestoju, gdy mamy czas na rozmyślanie, podczas choroby, długiego lotu

samolotem, podróży Orient Ekspresem lub podczas rejsu dookoła świata, wtedy wspominamy miło tamte chwile, ale w biegu, na co dzień, przy towarzyskich spotkaniach w ogóle o tym nie myślimy. Dobrze jest mieć w zanadru kilka swoich tajemnic, tak jak bohaterka *Ulissesa*, Molly Bloom, czasami wystarcza jedna, ale mocna. Żyjemy jednak tak długo, że przytrafia nam się, albo przytrafić może, przynajmniej kilka historii, które warte były grzechu. Są jak znalazł, czy raczej jak znalazła, gdy po burzliwej kłótni przechodzisz kryzys, gdy zostałeś upokorzona, gdy odmawia ci się zarówno walorów cielesnych, jak i duchowych, odsądza od czci i wiary. Wtedy izolujesz się od dręczyciela. A najlepszym materiałem izolacyjnym, świetną otuliną, że użyję fachowego terminu budowlanego, jest były kochanek. Pamiętasz, jak on cię doceniał?! Pamiętasz, droga siostrze? Byłaś dla niego piękna i inteligentna, seksowna jak żadna inna. Miałaś klasę, wyczucie, talent w miłości, a do tego byłaś taka czytana, tak kulturalna, że temu prostemu technikowi otwierały się nowe światy.

Jak dobrze wam się układało! I to zarówno na prześcieradle, jak i w tych wszystkich eleganckich lokalach, do których cię zabierał, kiedy ten, co teraz na ciebie się wydziera, ma ciągle o coś pretensje, i nie pamiętasz już, kiedy gdzieś razem wyszliście wieczorem. Zastanawiasz się, dlaczego właściwie z nim zostałeś, a zerwałaś z kimś, kto był dla ciebie jak stworzony. A tak, prawda, już wiesz. Dzieci! Były wtedy jeszcze małe, bałaś się, że wszystko się zmieni, gdy zostaniesz z dwójką rozbestwionych bachorów na lodzie, bez męskiej ręki, choć i tak męska ręka ich ojca była zwykle nieobecna, zajęta pisaniem sprawozdań i robieniem planów dla firmy. A jednak wisiała w powietrzu jak miecz Damokle-sa i te dwa małe czorty to czuły. Poza wszystkim nie chciałaś

zabierać im ojca, którego kochały. Gdyby nie owocne, romansowe godziny, pewnie byłyaby już po rozwodzie.

Niebezpieczna transformacja

Zastanów się, dlaczego nie zostawiłaś męża, dlaczego nie wyszłaś za kochanka? Wiesz dlaczego, bo istniało niebezpieczeństwo, że zamieni się w męża i będziesz miała to samo, co masz. Ty nie wyjdiesz na tym lepiej, a dzieci z pewnością wyjdą gorzej, będą miały nowego tatusia, którego odrzuca bez dania racji, bo takie jest prawo dzieci. Tego dla nich nie chciałaś, bo wiesz, że one by tego nie chciały, kochają bowiem ojca, trudnego, nieobecnego, a czasami wydaje ci się, że całkiem obcego mężczyznę. Dla nich nie był nigdy obcy. To przecież tatuś! Nie było go w domu ciałem, był obecny duchem. Także za twoją sprawą, bo przecież to ty utwierdzałaś dzieci w tym, że tatuś jest mądry, silny, wszystko umie!, tak, dochodziło nawet do tego. Idealizowałaś go, niezależnie od tego, co sama czułaś. Teraz więc nie możesz się dziwić, że dzieci uznałyby cię za niedobrą matkę, kogoś niespełna rozumu, kto porzuca taki skarb dla kogoś obcego. Zresztą teraz idealizujesz swego kochanka, zapomniałaś już, jak cię zaczynał nudzić? Dwa razy pomyliłaś się i zwróciłaś się do niego zdrobniałym imieniem męża, jak widać, przeszedł transformację, taka była tajemnica końca, kiedy to wykretnie zaczęłaś tłumaczyć, że twój mąż „czegoś się domyśla”, gdy oczywiście było, że nie domyślał się niczego, bo żył w całkiem innym, swoim świecie, prowadził życie biurowe, oficjalne i prywatne, bo spotykał się na imieninowych czy innych imprezach z kolegami i koleżankami. Widywałaś fotografie, wszyscy roześmiani, z kieliszkami w dłoni. Rzadko cię na coś firmowego zabierał, bo mówiło się, że to są

spotkania integracyjne, tylko dla ludzi z firmy, często bywało, wyjazdowe, gdzieś w kraju, czasami za granicą. Tak więc twój mąż był permanentnie zajęty sobą, choć mówiło się, że jest świetnym mężem, dbającym o dom i dzieci, bo nie przepijał pensji i cię nie bił, a nawet czasami chodził z dziećmi do cyrku.

Od twojego pierwszego romansu minęło ładnych parę lat, nawet nie zauważyłaś kiedy, chyba trochę więcej niż parę, bo dzieci przestały być dziećmi, obaj chłopcy są już po studiach, jeden wyniósł się z domu, drugi robi to za chwilę, ma już dziewczynę, z którą spotyka się na mieście, a tak naprawdę to u niej, bo ona ma już swoje mieszkanie. Tryb życia twojego męża nie uległ zmianie. Stopnie kariery zdają się nie mieć końca, wciąż po nich wchodzi i wchodzi, jak hollywoodzka gwiazda, choć one raczej schodzą ze schodów. Integracyjne obozy ciągle w modzie, zwłaszcza że teraz przychodzi nowy narybek, a on jako szef działu musi być na wszystkich spotkaniach. Czasami, gdy jest w dobrym humorze, ma wolną niedzielę albo cały weekend, zabiera cię na obiad albo wyjeżdżacie „na łono natury”. Raz do roku na dziesięć dni jedziecie na wakacje. Tak wygląda kontakt. Seks? Od czasu do czasu, po dużym drinku. Rozmowa? Podczas jazdy samochodem, głównie o kretynach, którzy wyprzedzają, zajeżdżają drogę, o tirach. Na miejscu, na plaży, podczas wakacji, o tym, że tłok, że brudno albo trochę się poprawiło, albo pokój nie taki, albo że wyciągają szmal z turystów...

I wtedy, w tym momencie cholernie nudnego życia spotykasz byłego kochanka. Gdy takie bliskie spotkanie drugiego stopnia dojdzie do skutku, może wykluczyć się z tego poważny i długotrwały związek. Czujesz się wolna jak nigdy. Ale wcale nie musisz wiązać się na stałe z dawnym kochankiem. Mogłabyś, a nie chcesz. Poznałaś twój błąd.

Kochanek cię nie zdradzi

Mężczyźni także lubią mieć przyjacielki-dawne kochanki. Jest to porozumienie bez granic, otwierają się coraz to nowe drzwi, można z takim facetem mówić o wszystkim, o czym nie gada się nawet z przyjaciółką, o mężu nie mówiąc. Często właśnie w takiej przyjaźni znajdujemy zrozumienie, radę, możemy wspólnie zastanowić się nad tematem tabu, nad córką, która właśnie weszła ostro w życie i od razu chce zakładać rodzinę, z niekoniecznym osobnikiem, który wygląda na niezłego sadystę, pije na umór, niestety, to tylko zwrot, bo wciąż żyje dalej i fascynuje twoją córkę. No więc zastanawiacie się, co robić, jak pomóc dziewczynie bez rozkazywania, zabraniań, deptania ego i tym podobnych rzeczy. Twój przyjaciel różni się w tym od twojego męża. Ma po pierwsze zawsze czas dla ciebie, po drugie nie denerwuje się, nie zarzuca ci, że to twoja wina, bo tak wychowałeś córkę, zapominając o tym, że musiałaś wychowywać ją sama, bo jego nigdy nie było w domu.

Mężczyzna-przyjaciel zdradza nam tajemnice innych mężczyzn, obserwujemy go, widzimy, co mu się podoba, a co nie, o czym chce rozmawiać, co go interesuje, jeśli jest specem w jakiejś dziedzinie, dowiadujesz się od niego więcej, niżbyś była w stanie przeczytać i zrozumieć, bo nie ma lepszych nauczycieli i nauczycielek jak kochankowie. On także korzysta z twoich doświadczeń, z twojej wiedzy, jesteś dla niego modelem kobiety, przyglądając się tobie, obserwując cię, uczy się kobiet, z czego może wyniknąć wyłącznie pożytek.

Kochanek nie może cię zdradzić, bo jest wolny, może robić, co mu się żywnie podoba, póki jest to tylko lekki jak piórko romans, nie masz prawa do zazdrości, tak jak i on go

nie ma. Jesteście wolni! Rozmawiamy o wszystkim, uczymy się siebie.

Dotyczy to nie tylko seksu. Powszechnie wiadomo, a wiedzą o tym dobrze znający języki obce, że nowego języka najłatwiej nauczyć się w łóżku. Nauka jest znacznie przyjemniejsza niż zakuwanie słówek na pamięć czy też ćwiczenia gramatyczne mozolnie przygotowywane w zeszytiku. Poznajesz żywy język żywego człowieka, a nie martwą strukturę skierowaną do obcych. Często zastanawiamy się, jak to się stało, że ona czy on tak świetnie i w tak krótkim czasie poznali nowy język, przecież gdy wyjeżdżał do Włoch, nie znał nic prócz *ciao, bambina*, a teraz posługuje się swobodnie codziennymi zwrotami, których nie ma w rozmówkach, a jaki ma świetny akcent! Oczywiście, są samородne talenty językowe, są tacy, którzy nauczyli się biegle władać językiem już w przedszkolu, bywają też uparci, którzy siedząc wiele lat w więzieniu, wychodzą ze znajomością chińskiego, ale to wyjątki. W łóżku też do perfekcji można opanować sztukę rozmowy w języku ojczystym.

Łoże, nasze łożo

Łoże małżeńskie może stać się rozmównicą. Chodzi o rodzaj rozmowy po seksie, ale nie o seksie. Udany seks otwiera nas na siebie, zbliża nie tylko cielesnie. Można wtedy, późno w nocy, mówić o tym, o czym nie mówi się w ciągu dnia, przy posiłkach, w biegu. Niechętny w ciągu dnia istotnym rozmowom mąż nocą zamienia się w kochanka, a potem w przyjaciela, dla którego nie ma tabu.

Pogłębione zbliżeniem rozmowy miały dla mnie zawsze wielką wartość. Bywa jednak tak, zwłaszcza po paru latach wspólnego łoża, że po spełnieniu jedno zasypia, i zwykle nie

jest to kobieta, bo ją pierwszy akt miłosny dopiero rozbudza. Zwłaszcza akt zbyt krótki. Po krótkim seksie, o ile oczywiście nie był to akt z gatunku tornado, tylko szybki małżeński numer, ona leży z otwartymi oczami i myśli o braku spełnienia, o swoich tajemnicach, chłopakach sprzed małżeństwa, kochankach, właśnie tak jak Molly Bloom w *Ulissesie*. Rozmowa się nie odbyła, bo odtwórca drugiej głównej roli przeszedł w inne stadium, chrapie w innym, niedostępnym dla nas wymiarze, a więc bohaterka monologuje wewnątrz.

Wiele żon jest zadowolonych z sennego obrotu sprawy, zwłaszcza te, które nie przepadają za seksem, a odgrywanie orgazmu przestało je, po dziesięciu latach, bawić. Nie chcą robić mężowi przykrości, ale gdy ten puszy się w towarzystwie, uwodzi kobiety, mają ochotę wypalić swoją prawdę. Rzadko to robią, bo w głębi duszy boją się, że ten kiepski seks to ich wina, efekt oziębłości, tego, że właściwie nigdy nie dał im żadnej rozkoszy. Z nim. Bo same z sobą, z solidnym wibratorem, i owszem, ale one wiedzą, gdzie mają swoje czułe punkty, jak należy się pieścić, by dojść do granicy. Nie powiedziały o tym mężowi. Nie mówiły na początku, bo nie było okazji, bo jakoś się nie składało albo wręcz uważały, że nie wypada o tym rozmawiać.

Duża część kobiet, tak samo jak mężczyźni, dzieli seks na dwa rodzaje: małżeński i pozamałżeński. „Nie mogę przecież z mężem robić takich świństw”, mówią sobie; albo rozprawiają o tym w zaufanym damskim towarzystwie. Mąż myśli podobnie: przecież moja żona jest porządną, niezepsutą kobietą, to nie panienka z agencji towarzyskiej, nie mogę wymagać od niej, by umiała i robiła to czy tamto. Wychowanie katolickie, traktujące seks jak grzech, robi swoje, mimo że odchodzi się od zasad, że nie respektuje się

przykazań, to jednak wpojone poczucie wstydu i grzechu jest wciąż bardzo silne, każe mężowi „szanować” żonę, a żonie „wstydzić się” męża. Seksualne ekscesy zostawia się za drzwiami domu, od tego są kochankowie.

W pewnym sensie można to zrozumieć, przynajmniej ja to dobrze rozumiem, bo mimo że mogę opisać ostre erotyczne sceny, używając dosadnego języka w powieści czy w sztuce, to jednak w życiu codziennym, a zwłaszcza co-nocnym, wstyd często mnie paraliżował, był prawie zawsze obecny, wiele razy musiałam wyzwać się na różne sposoby, przemóc się, by zrobić coś, czy pozwolić na zrobienie czegoś, co uważałam za zbyt mocne albo wręcz zboczony, a co inni ludzie uważają za standard. Każdy ma własną, nieprzekraczalną granicę.

W *Pawilonie małych drapieżców* Bogna widzi matkę, która była „jednym wielkim chrześcijańskim przykazaniem”, tak ją scharakteryzowałam, bo taka była moja matka, widzi więc ją często, a już zwłaszcza wówczas, gdy robi coś niezgodnego z zasadami, tak jak w dzieciństwie. Matka wiedziała, że dzieje się coś niedobrego, że ja broję, wtedy gdy byłam zbyt cicho. Tak też i podczas upojonej sceny miłosnej z kochankiem moja bohaterka, Bogna, widzi matkę siedzącą na brzegu łóżka. Taka sytuacja, mimo że wykreowana, dla mnie jest krystalicznie czystym realizmem.

A więc miłość i walka

Dyskusje z umarłą matką, opór przeciwko jej świątobliwym poglądom na seks, na wychowanie dziecka, na stosunek do zdrady, do mężczyzn, na jej dobre rady typu: „musisz zacisnąć zęby i przeczekać”, „lepiej nic nie mów, samo przejdzie”, „jedno słowo za dużo i możesz wszystko

zepsuć", były i są wciąż żywe, to gadanie nigdy się nie kończy. Można zaryzykować, że więcej spraw wyjaśniam matce, która od wielu lat nie żyje, niż ludziom żywym, bliskim, będącym obok. Dzięki temu oporowi jednak zyskałam trochę większe poczucie wolności.

Związki oparte na walce są bardzo trwałe i wcale nie wykluczają miłości. Tak jest w małżeństwie, gdzie walczy się o każdą piędź wolności i prawo do inności. Ty chcesz mieć wolność do swojej pracy, ja chcę mieć tyle samo do swojej. Walczę o to od początku, jestem wściekła, gdy daję sobie wyrwać mój czas. Ty masz swój gabinet, ja też chcę mieć, i będę go miała. Lubię innych ludzi niż ty, cenię innych, nie zmienię zdania. Mam inne poglądy na sprawy społeczne, polityczne, choć tu więcej jest między nami zbieżności niż różnic.

Podobnie jest z matką, tak było, gdy żyła, tak jest po jej śmierci: Co z tego, że ty robiłaś tak, ja robię inaczej. Dotyczy to w równym stopniu kuchni, używania przypraw, co pryncypiów moralnych. Ty uważałaś seks za grzech, ja nie. Różnimy się, ale zaszczepiłaś mi wstyd, którego nie mogłam pozbyć się przez całe życie, mówię do niej. Zaszczepiłaś mi jednak wiele rzeczy, takich jak poczucie obowiązku, punktualność, za które jestem ci wdzięczna dzisiaj, gdy już je odreagowałam. Nie mogłam znieść ciągłego dozoru, uciekałam z domu, latałam na wagary, wyjechałam wreszcie, by zyskać samodzielność. Przegryzanie pępownicy było krwawe, ale sama mówiłaś: na tobie wszystko goi się jak na psie, więc i ta rana zablizniła się i teraz mogę w pełni cię docenić. Jednak musiałam do wszystkiego dojść sama. Do twoich dobrych intencji, do zamiarów, jakie miałaś wobec mnie. Gdy żyłaś, nie było na ten temat rozmowy. Nie potrafiłaś ze mną rozmawiać, a ja nie chciałam rozmawiać z tobą. Dopiero teraz, po twojej śmierci, zaczęłam rozumieć.

Podział ról w mojej rodzinie był wyraźny. Ojciec był spec-
cem od rozmów i najważniejszych zasad etycznych. Matka
specjalistką od czystości, od zasad moralnych nacechowa-
nych płciowością. To ona starała się, żebym była porządną
dziewczynką.

Król fałsz i królowa hipokryzja

Przyzwoitość porządnej dziewczynki, a więc moja, była
domeną matki. Latami pracowała nad tym, żebym była
przyzwoitą dziewczynką, a potem przyzwoitą kobietą. Z
możem codziennie powtarzała swoją mantrę o chłopcach,
którzy myślą tylko o jednym, o tym, by mnie wykorzystać i
porzucić, najchętniej z dzieckiem, traktują dziewczynę jak
spluwaczkę, do której wlewa się nieczystości. Tak więc
wstydlivość łączyła się z obrzydzeniem. Nie miałam pojęcia,
o co chodzi, nie wiedziałam wtedy jeszcze nic na temat
spermy, wytrysków itd. Stosunek seksualny rozumiałam
jako dopasowanie dwóch części: wypukłej męskiej do
wklęsłej żeńskiej. O tym mówiło się na podwórku, o tym
opowiadały dziewczynki, pokazując sobie intymne części
przy zabawach erotycznych. Wiadomo było, że o tym nie
opowiada się rodzicom, ale też nie mówi się chłopakom.
Żadna z nas nie pisnęła nigdy słowa. Nawet teraz, gdy o tym
piszę, czuję, że ujawniam tajemnicę, o której wszystkie
uczestniczki z ulgą zapomniały. To były nasze ćwiczenia, by
użyć bardziej nowoczesnego określenia: darmowe warsztaty
z pozbywania się wstydu. Choć nie całkiem darmowe, bo
niektóre co bardziej wstydlive, jak ja, dostawały za pokaza-
nie czy pozwolenie dotykania spinkę do włosów z perłowej
macycy albo żelatynową słodką żabę. Całe szczęście, że nie
przyzwyczaiałam się do tego rodzaju prezentów, bo mogłoby
spotkać mnie to, czego tak obawiała się moja matka i matki

moich koleżanek, że ich córki zejną na złą drogę. Od prezentu do ustalenia taksy nie jest tak daleko.

A miałam być dziewczynką przyzwoitą, czyli wstydliwą! Nie powinnam brać udziału w erotycznych zabawach. Matka o nich nie dowiedziała się nigdy, zresztą nie były dla mnie wielką przyjemnością. Nie chciała, żebym chodziła półnago po plaży, by moje sukienki były zbyt krótkie... Dlatego pierwsze bikini uszyłam sama z dwóch pasków materiału, a gdy weszła moda mini, spódnica zakrywała mi ledwie pośladki. Gdy stałam prosto, ale kiedy się pochylałam... Chciałam przestać się wstydzić, ale szybko okazało się, że matka miała rację; te spojrzenia, te komentarze, te wulgarne zaczepki, na jakie sama się naraziłam, szybko wybiły mi z głowy taką modę. Zamiast mnie wyzwolić, krótka spódnica zwiększyła tylko mój wstyd. Czułam się upokorzona. Zrozumiałam, że nie tędy droga, że wstyd jest głębszy i prostacka metoda nożyczek do skracania nie ma sensu. Chciałam pozbyć się wstydu w seksie, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. Nauczyłam się dwulicowości, kamuflażu, zrozumiałam, dlaczego kobiety kupują seksowną bieliznę, a przykrywają ją szaroburymi sukienkami, bo w tamtym czasie moda była siermiężna. Fałsz był królem, hipokryzja królową. Można było zrobić wszystko w seksie, być dziewicą mimo udanego pożycia, byle tylko nikt niepowołany się o tym nie dowiedział.

Pewnie dlatego tak bardzo do gustu przypadł mi film Bunuela *Piękność dnia* z Catherine Deneuve, w którym młoda mężatka chodzi rano do luksusowego domu publicznego, by tam poćwiczyć

ciało i duszę, zgubić wstyd, bo nie może sobie z nim poradzić. Przynajmniej ja ten film tak odebrałam.

Można spojrzeć na problem inaczej, tak jak zwykle widzą go mężczyźni, którzy lubią w kobiecie zobaczyć świętą i dziwkę. Świętą jest oficjalnie, a dziwką staje się w łóżku. Długo o tym filmie rozmawiałam z mężem. Analizowaliśmy zachowanie bohaterki i doszliśmy do wniosku, że hipokryzja jest wręcz pożądana, jest parawanem oddzielającym nasze łóżko od ciekawych oczu i uszu.

Tak w praktyce małżeńskiej oddziela się pewien rodzaj świętości, sacrum związku, od seksualnego wyzwolenia, na jakie można pozwolić sobie w romansie, a nawet pozwalało się na początku znajomości z mężem, gdy był jeszcze chłopakiem. Jeśli uczucie wstydu jest bardzo silne, to trudno rankiem, przy śniadaniu spojrzeć w oczy komuś, z kim się grzeszyło, jeśli nie pozbędziemy się poczucia grzechu i niestosowności.

Gdy życie łóżkowe pary jest udane, harmonijne, kiedy oboje lubią małżeński seks i swoje ciała, mają ulubione sposoby, wiedzą, kiedy można, a kiedy nie, bo jedno nie ma ochoty albo jest bez reszty zajęte czym innym, wtedy także rozmowy łóżkowe się udają, rozmawia się długo i owocnie. To wtedy w klimacie szeptów można mówić bez lęku o tym, o czym nie wypada za dnia.

Wiele kobiet publicznie deklaruje, że nie cierpią spać w jednym pokoju z mężczyzną, że to przymus, że nie chcą, by ktoś oglądał je w pościeli. To ich prawo, nikt nie powinien być zmuszany do bliskości fizycznej, jeśli jej nie pragnie.

Reportaż z małżeńskiego łoża

Często żony godzą się z tym, że mąż „ma kogoś na boku”. Jest to dla nich nawet w jakiś sposób wygodne, ale kiedy pojawia się zagrożenie zerwania smyczy, odrzucenia pozorów i wyjaśnienia sytuacji przez rozwód, są wstrząśnięte.

Każda musi liczyć się z tym, że on z nią już dłużej nie wytrzyma albo ona nie wytrzyma z nim. Bez względu na liczbę spędzonych wspólnie lat jedno z nas może któregoś ranka wstać z myślą, żeby spróbować żyć oddzielnie. Wszystko jest dla ludzi, nie musimy ze sobą się męczyć, znosić upokorzeń, natrętnego gadania, wydaje się, że jesteśmy zmęczeni sobą i nadmiarem biernego kontaktu, choć bierność jest zaprzeczeniem kontaktu, a jednak każda żona i każdy mąż, po wielu wspólnych latach przy jednym stole i w jednym łóżku, wie, co mam na myśli, używając tego zwrotu.

Myśl o rozwodzie nie musi przyjść mężowi do głowy tylko dlatego, że zobaczył żonę rankiem, śpiącą obok, chyba że doznał olśnienia, że ta leżąca obok niego kobieta ma niewiele albo nie ma nic zgoła wspólnego z tą, z którą się kiedyś ożenił. Zwykle, nawet gdy taka iluminacja ma miejsce, mąż idzie do łazienki i widzi w lustrze twarz, która niewiele ma wspólnego z młodzieńcem, za którego wyszła tamta dziewczyna.

Oddzielne sypialnie pojawiają się wtedy, gdy po pierwsze mamy warunki, a po drugie nie można znieść mężowskiego chrapania, które z latami zmienia się w gwizdanie starej lokomotywy, piłowanie dębów w tartaku, przelot odrzutowca obok naszej głowy. A my z wiekiem mamy coraz lżejszy sen i nie możemy przez całą noc zmrużyć oka. Bywa też i tak, że same zaczynamy chrapać na potęgę. Znamy chwytanie za

nos, pogwizdywanie, które pomaga, znamy także klasyczny nocny dialog:

- Przestań chrapać - mówi żona do męża.
- Ja chrapię? Przecież wcale nie śpię - odpowiada mąż.
- Sapiesz jak lokomotywa - nie ustępuje żona.
- A ty myślisz, że nie chrapiesz? - pyta zaczepnie mąż.
- Ja? Nawet nie zmrużyłam oka! - woła żona.
- To ciekawe, skąd dochodzi ten straszny charkot, chyba że ktoś trzeci leży z nami w łóżku?

- Po co ta ironia? Nawet jeśli zachrapałam, to dlatego, że haruję jak wół i mam zatkanie zatoki, przeziębiam się wczoraj, robiąc za ciebie... (tu wstawić, co za niego robiłaś).

- Czy ty nawet w nocy nie możesz dać mi spokoju z wiecznymi pretensjami?

- Ciekawe, że ja mogłam przez te wszystkie lata (tu wstawić liczbę lat) znosić twoje piłowanie, nocne wiercenie udarową wiertarką...

Bywają i takie nocne rozmowy, które wcale nie powodują rozstania ze wspólnym łóżkiem. Jeżeli poznało się rozkosze małżeńskiej rozmowy, nieco innej niż powyższa, ale takiej przytoczyć nie mogę, bo jest bardziej intymna niż seks, zawiera kody zrozumiałe tylko dla nas dwojga, jeśli odczuło się to szczególne poczucie bliskości, kiedy wyciągnięta ręka dotyka głowy na poduszce obok, to człowiek nie wyobraża sobie, że mógłby się tego wyrzec. Dobre stała się sobie bliskie nie tylko, ale również przez łóżko.

My z mężem przeszliśmy przez różne postaci mebla do spania, od wąskiej kozetki, na której sypialiśmy w studenckich czasach, jeszcze przed formalnym podstemplowaniem naszego związku, kiedy ja ważyłam 56 kilogramów, a mąż 68, poprzez materace rozkładane na noc, bo nie było na nie miejsca w jednym szesnastometrowym pokoju, w jakim

gnieździliśmy się wraz z dzieckiem przez dziewięć lat! Wtedy trzeba było wypracować sposoby miłości, wtedy także porozumiewaliśmy się szeptem. Wreszcie doszliśmy do małżeńskiego łoża, zrobionego na zamówienie, które zajmuje prawie cały pokój sypialny. Powiedzmy, że pokój nie jest duży, a łoże też nie królewskie, bez baldachimu, bez modnych wymyślnych zagłówek, pikowanych jak chanelowska torebka. Są to po prostu dwa łóżka zestawione razem. Dwa oddzielne materace, dwa prześcieradła, dwie kołdry, dwie poduchy z merynosa australijskiego, bo to jedyny sposób, żebym nie marzła, i kilka jaśków. A więc razem i osobno. Każdy może wyspać się wygodnie, ale leżymy w tej ważnej dla mnie odległości: na wyciągnięcie ręki.

Oczywiście zdarzało się, choć bardzo rzadko, że kryzys był tak głęboki, że jedno z nas wynosiło się z sypialni, ale zwykle nie byłam to ja. W ciągu tych przeszło trzydziestu lat takie sytuacje miały miejsce może z dziesięć razy.

Ten sam człowiek, który w dzień jest kapryśnym, beznaściejnym, oficjalnie przemawiającym do ciebie facetem, w łóżku zmienia się nie do poznania, istny doktor Jekyll i mister Hyde; odzyskuje poczucie humoru, przestaje się czepiać bez powodu. Gdyby nie wspólne łoże, chyba wiele par rozpadłoby się i żyło oddzielnie. Nie twierdzę, że to byłoby źle, ale po pierwsze nie wszyscy mają charaktery odpowiednie do życia w pojedynkę, a po drugie, jak na razie, nic lepszego niż para nie wynaleziono. Może trójkąt byłby lepszy, ale trudno do tego przekonać żonę albo męża. Czworokąt natomiast to już małe społeczeństwo, a społeczeństwo jest bardzo trudne do opanowania, trudniejsze niż duet.

Mebel antyrozdowody

Nasze łóżko było świadkiem miłości i gniewu, płaczu i godzenia się, mojej ciężkiej choroby, czułości. Złośliwych rozmów, czułych słówek, nocnego obgadywania dnia, ale też i wielu wyjaśnień tego, czego nie można było wyjaśnić przy świetle.

Prześcieradło może być płaszczyzną porozumienia. I nie mam na myśli przysłowiowego „godzenia się” przez seks. Bo to wcale nie jest tak, że po kilku dniach wściekłości albo rozpacz, albo po wymownym milczeniu, po tych ciężkich, cichych dniach, łóżko automatycznie wpływa na poprawienie klimatu. Do pogodzenia się trzeba dojrzeć. Zanim to nastąpi, może być parę takich nocy, gdy zasypiamy odwróceniem do siebie plecami, milcząco, bez jednego słowa na dobranoc. Po kilku dniach, gdy nastąpi przesilenie, kiedy pierwsze słowa padają jak pierwsze krople długo oczekiwanego deszczu, dopiero wtedy robi się furtka, przez którą może wśliznąć się zgoda.

Mogę stwierdzić bez żadnej przesady, że łóżko małżeńskie jest meblem, który łączy, a nie dzieli, jest czynnikiem antyrozdowodym. Zdaję sobie sprawę również z tego, że nie jest to reguła.

Kobiety, które znam, wieloletnie żony jednego męża mówią to samo. Lubią położyć się wcześniej, poczytać, wymienić uwagi na temat lektur, potem na temat ludzi, zdarzeń, projektować zmiany w domu, różne ulepszenia, wakacje... Łatwiej rozmawiać w łóżku niż przy stole. Czasem tworzy się klimat do seksu, czasem nie. Obowiązek małżeński, czyli rygorystycznie egzekwowany seks, nie najlepiej wpływa na układ.

Kobiety lubią rozmawiać, leżąc w łóżku, przed czy po miłości. Chyba że są naprawdę śmiertelnie zmęczone, nie mają

znikąd pomocy, przez cały dzień, aż do późnego wieczora zajmują się pracą, dziećmi, domem, remontem, psem i co tam jeszcze wzięły na swoje wątle lub całkiem przy kości barki. Wielokrotnie to powtarzam, ale takie są nagie fakty, w odróżnieniu od ubranej w zapiętą po szyję pidżamę żony, która zasnęła, jeszcze zanim się położyła. Jeżeli więc mężczyźnie naprawdę zależy na tym, by kochać się z żoną, musi kochać ją na tyle, żeby jej pomóc, wyręczyć, zająć się dziećmi, psem, ustalić podział obowiązków, zaproponować to, a wtedy taki dobry partner może się spodziewać, że w żonie przebudzi się śpiące snem sprawiedliwego pożądanie.

Niekiedy rozmowa łóżkowa zyskuje wagę również dla mężczyzny, zwłaszcza „w pewnym wieku”, mimo że mówi się tak wyłącznie o kobietach, jakby tylko one osiągały ten szczególny wiek, tę „smugę cienia”. Zgodnie z potocznym wyobrażeniem przestają być pożądanymi obiektami westchnień mężczyzny i są z tego powodu nieszczęśliwe. W domyśle kryje się za tym menopauza. Od dość dawna sytuacja zmieniła się, wiadomo, że również mężczyźni przechodzą andropauzę, i kto wie, czy psychicznie nie jest to dla nich stan bardziej dotkliwy niż klimakterium dla kobiet.

Kobiety mają różne dolegliwości fizjologiczne, co odbija się na ich psychice, ale nie w sferze seksu. Rzadko zdarza się, że zaczynają wówczas szukać sobie młodych chłopców, choć czasami szukają partnerów do seksu, bo nagle zwiększają się ich potrzeby. Natomiast mężczyźni „w pewnym wieku” muszą udowodniać sobie i innym swą męskość, którą z wiekiem tracą, co może być nawet gorsze niż cellulitis, którego nie widać, jeśli włożymy obciskające rajstopy albo samotrzymające się pończochy, które zresztą opadają albo ściskają uda, aż do odpłynięcia krwi, czy - jeśli ktoś lubi estetykę hiszpańskiego burdelu - włożymy koronkowe

pończochy i czerwoną bieliznę, spod której nie widać tej przeklętej skórki pomarańczowej. Zresztą uważam, że robienie z tych nierówności skóry olbrzymiego problemu to obsesja i zмова firm kosmetycznych.

Żona go nie rozumie

Gdy mężowie dochodzą do pięćdziesiątki, zaczyna się pokoleniowa fala rozwodów. Wymiana żon jest bardzo popularna w biznesie. Na zasadzie: popatrzcie na mnie, jaki ze mnie kogut, mam nową młodą żonę, będę z nią miał dzieci, stać mnie na to, bo mam miliony plemników! Oczywiście, wzbudza to śmiech i złośliwe komentarze. Nie darmo Rzymianie mówili: Tylko matka jest pewna.

Literatura i filmy traktujące o zdradzie, bo przecież filmy są pochodnym literatury, pokazują często mężczyznę, który nie znajdując zrozumienia u żony, poszukuje go u kochanki lub wręcz u prostytutki, zwykle dobrej, choć upadłej kobiety, z którą może pogadać lepiej niż z żoną, ponieważ u niej znajduje pociechę, ona go wysłucha i poradzi, co robić, jak zawodowy psychoterapeuta. Czasami, oczywiście na filmach, płaci za obcowanie duchowe, a nie cielesne, pożąda bowiem jedynie rozmowy. Rozmowy, której z własną żoną unika jak choroby wściekłych krów. Bo o czym ma z nią gadać? Z tą dobrą, prawą, a do tego pracowitą kobietą, która ma na głowie cały dom, pochyliła się pod ciężarem obowiązków i „takie widzi świata koło, jakie tępymi zakreśla oczy”, czyli kuchnia, piekarnik, toster, robot kuchenny. W pokojach jej wzrok obejmuje meble, na których zbiera się kurz, w łazience zaś ogląda kolorowy program w pralce i sedes, w którym zgodnie z reklamami mieszkają bakterie, i ona musi je wytepić, a wszystko to robi po powrocie z firmy,

gdzie jest księgową. Czy z taką kobietą można porozmawiać tak ciekawie jak z prawdziwą, szlachetną kurwą? Przenigdy.

W wersji idealnej, filmowej, pisarze, scenarzyści i reżyserzy wynoszą „kobiety upadłe” na bohaterki pozytywne. Idealizują je, pokazując jako okazy dobroci i szlachetności. Pieniądze, jakie się płaci, są pomijane, jeśli otrzymuje się za nie tyle czułego zrozumienia. Jeśli nawet w tym, co piszę, jest zawarta kpina, to jednak nie mogę pominąć męskiego dążenia do nawiązania kontaktu po to, by porozmawiać, często o tym, o czym nie rozmawia się z żoną. Trudno dociec, z jakiego powodu ten sam człowiek, który ucieka przed rozmową w domu z bliską przecież osobą, szuka kogoś całkiem obcego, żeby mówić o trudnych, intymnych rzeczach. W analizie tego faktu można doszukać się szlachetnej chęci ochrony bliskiej kobiety przed zmartwieniami albo, co jest częstsze i bardziej egoistyczne, chodzi o wyniesienie z domu problemów, żeby zapewnić sobie święty spokój.

Wryła mi się w pamięć scena z powieści Scotta Fitzgeralda *Wielki Gatsby*, kiedy to mąż Daisy, trochę pijany, bufo-nowaty, dobrze urodzony i wykształcony na prestiżowej uczelni mieszczuch, odwiedza swoją kochankę, żonę właściciela stacji benzynowej. Kiedy ta, czując, że zostanie porzucona, mówi w rozpaczony sposób coś kąśliwego na temat Daisy, mąż Daisy uderza ją w twarz. Staje w obronie honoru żony, którą zdradza z tą właśnie kobietą. Moralność pojęta w ten sposób jest charakterystyczna dla macho. Sam Scott Fitzgerald zdradzał żonę Zeldę, która była jego miłością, którą opiekował się w jej psychicznej chorobie, zarabiał pisaniem, żeby zapewnić jej leczenie na odpowiednim poziomie. Zajmował się córeczką Scottie, jak najczulsza matka i zarazem najbardziej wymagający nauczyciel. Nawet wtedy, gdy postępował jego upadek, gdy

zapadał na chorobę alkoholową, listy do Scottie nie zawierały nic z tej przeżywanej degrengolady, chronił ją, chciał, by pozostała szczęśliwa, by nie wiedziała, co się dzieje. Tak się nie stało, bo dzieci zawsze wiedzą więcej, niż wydaje się rodzicom. Są bystrymi obserwatorami i nawet jeśli o tym nie mówią, cierpią w milczeniu. Przyzwyczajają się, że o najważniejszych sprawach się nie mówi. Ćwiczą się w udawaniu od małości. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że Scott Fitzgerald był jednym z najlepiej znających się na psychologii pisarzy, że *Czuła jest noc* to wspaniałe studium wnętrza, że potrafił jak mało kto odkryć to, co zakryte, odkłamać fałszywe. Robił to w powieściach, w opowiadaniach, nowelach, ale w życiu zachowywał się jak bohater swych książek, i to nie ten, który wie i widzi, ale ten, który nie chce zobaczyć swojego diabła. Pisarz wiele rozmawiał z Zeldą, rozumieli się dobrze, byli ze sobą tak blisko, jak tylko to jest możliwe.

Często mężczyźni uciekają od rozmów, dlatego że ich żona „wałkuje temat”, „dzieli włos na czworo”, „wierci dziurę w brzuchu”, robi „pranie mózgu”, „przybredza wciąż o dzieciakach, jakby nie było innych tematów”, „zadręcza pytaniami o d... Maryni”, „męczy ciągłymi podejrzeniami”. Wszystkie zwroty, których użyłam powyżej, to cytaty z rozmów z mężczyznami. Rozmawiałam z nimi o seksie, gadaniu, obliskości wynikającej z rozmów, o kontaktach z żonami. Dlatego też uważam, że każda ze stron ma swoje racje i wciąż można negocjować, by mówić i być słuchaną.

Kobiety rzadziej korzystają z tej drogi, którą chadzają mężczyźni, prawie w ogóle nie odwiedzają agencji towarzyskich, burdele nie są ich ulubionym miejscem załatwiania problemów rodzinnych. Zresztą także tak zwani normalni mężowie nie chadzają do prostytutek. Może, jadąc autem,

zahaczają niekiedy o tirówkę, może po pijanemu z kolegami wynajmą panie na męski wieczorek do towarzystwa seksualnego. Ponieważ jednak panie tirówki, jak i agencje towarzyskie mają wzięcie, nie można tego pominąć, bo ktoś przecież do nich chodzi. Jeśli nie mój mąż i nie twój, droga siostrzo, może jej? Jadąc długą trasą z Warszawy, przez pół Polski, obserwowałam to zjawisko i mogę stwierdzić, że widziałam nie tylko kierowców tirów, wiozących towary ze wschodu, lecz całkiem niezłe samochody należące wcale nie do łysych osiłków z mafii, których właśnie przypiliła żądza, ale do szlachetnie wyglądających inteligentów w okularach oraz siwych staruszków, całkiem, jak się okazuje, rześkich. Może wszyscy są po viagrze?

Kobieta wynajmuje mężczyznę do towarzystwa, jeżeli jest bardzo zapracowana, a potrzebuje kogoś, kto pójdzie z nią na imprezę. Jeśli jest niezaspokojona, wówczas najmuje kogoś do uprawiania seksu, są już takie przypadki, ale nie jest to, jak na razie, norma. Modne są także damskie party z męskim striptizem albo w bogatszym wariacie - z tancerzami erotycznymi. Tu jednak nie o rozmowy chodzi, ale o balezik, podczas którego panie na parę godzin zapominają o kłopotach.

Prostytutki są przeciętnie tańsze (nie mówimy tu o ofertach luksusowych, dostępnych tylko przy najwyższych dochodach) niż psychoterapeuci czy psychoanalitycy (w tej profesji także trafiają się oferty luksusowe, na które stać jedynie najbogatsze osoby potrzebujące wsparcia), a dostarczają klientom i klientkom również dodatkowych, innych niż tylko psychiczne, rozkoszy.

Gadać do terapeuty, bo do kogóż by innego?

Jest wiele opisanych w nauce przypadków zakochiwania się w terapii, któremu można się zwierzyć, z którym można gadać, jeśli ma się czym zapłacić. Uczucia miłości, czy tylko zauroczenia, nie były obce pacjentkom Freuda czy Junga. Filmy z Woody Allenem pełne są problemów, w jakie wpadają klienci, zwłaszcza zaś klientki psychoanalityków. Na naszym podwórku również zaczął się ruch w tym interesie i żeby dostać się do wziętego psychoterapeuty, trzeba mieć końskie zdrowie i pewne konto w dobrym banku. Ostatnio, po ujawnieniu nieszczególnie pozytywnych przypadków molestowania, zaczęła się ogólnonarodowa dyskusja nad tym, czy psychoterapia jest potrzebna i co zrobić, by oczyścić środowisko z podejrzeń. Do przystojnych psychoanalityków wzdychają nieszczęśliwe, choć zamożne kobiety. Ludzie pragną rozmów, chcą być wysłuchani. Z potrzeby bycia słuchanym powstała jedna z najlepszych książek Phi-lipa Rotha *Kompleks Portnoya*. Całkowity brak kontaktów rodzinnych w najbardziej interesujących sprawach spowodował ten rodzaj wyznania, spowiedź przed obcym człowiekiem za pieniądze.

Nie dziwi mnie, że więcej jest pacjentek niż pacjentów. Wynika to właśnie z tego, czym zajmują się w tej książce, z asymetrii w kontaktach między mężczyzną a kobietą w parze, z braku równych praw. Mężczyzna najczęściej jest wysłuchiwany, ma prawo do mówienia. Kobieta może mówić tylko o niektórych rzeczach i tylko w dogodnym dla mężczyzny czasie. Takiego czasu jest niewiele, a w niektórych domach nie ma go prawie wcale. Dlatego kobiety muszą szukać słuchacza, kogoś rozumiejącego, nieagresywnego. Czasami taką rolę pełni przyjaciółka albo przyjaciel. Są jednak

rzeczy, o których nie chcę rozmawiać z kimś, kto zna naszą domową sytuację, kto jest wciąż blisko nas. Chcę głosu obiektywnego, a niekiedy potrzebuję profesjonalnej pomocy, bo wpadam w czarną dziurę, nie mogę się z niej wygrzebać, jestem na granicy samobójstwa. Piszę w pierwszej osobie, bo znam te stany, jak dotąd radzę sobie sama, mam sposoby, techniki, za pomocą których wyciągam się z bagna.

Rozpacz jest uczuciem gorzkim, słonym, ale bywa naturalnym stanem człowieka. Depresja zaś pozbawia nas na jakiś czas uczuć. Obojętniejemy, ale ta obojętność jest nie do zniesienia, także dlatego, że pamiętam siebie sprzed depresji. Depresja nie jest rozpaczą, jest wstępem do nicości. To najgorszy z możliwych stanów człowieka i nie wolno nam, drogie siostry, dać się w nią wpędzić na długo, bo czasami przestajemy wtedy widzieć świat dookoła, a widzimy tylko ciemny tunel, nie ma na końcu żadnego światła, bo światło w tunelu widzi się podobno, umierając. Ciągnie mnie czarna otchłań, chcę się pogrążyć w ciemnościach, zagubić w nich, chcę sama stać się ciemnością, przestać istnieć. Znam ten stan, miewałam go, pogrążałam się w nim nie nazbyt często, ale wystarczająco, by obawiać się nawrotu. Myślę, że taki stan mógł przyczynić się do mojej choroby. Właśnie dlatego, że milczałam wtedy, gdy powinnam gadać, więcej, powinnam krzyczeć i bronić się.

W takim stanie nie bierze się kochanka. Wtedy jest na to zbyt późno. Gdy przeczuwasz, że bierze cię czarna dziura, ale jeszcze w nią nie wpadłaś, gdy nikt najbliższy cię nie słucha, bo nie ma na to ochoty, twierdzi, że nie ma dla ciebie czasu, co bywa prawdą, bo na ogół zajęty jest sobą, swoją karierą, swoim zdrowiem, swoim stanem psychicznym, zbywa cię ciągle tym nieśmiertelnym, najczęściej używanym

przez męża zwrotem NIE W TEJ CHWILI, wtedy powinnaś wiedzieć, że nadeszła dla ciebie ta chwila, ja przynajmniej dotąd wiedziałam, że coś muszę zrobić ze swoim organizmem, ze swoją duszą.

Gdy nauczyłam się lepiej żyć, wystarczyło mi pisanie dziennika, a także to, że miałam czytelników i czytelniczki.

Kiedy dojdiesz, droga siostrze, do wniosku, że tak dłużej być nie może, że nie zniesiesz tej obojętności ani chwili dłużej, znajdź kogoś, komu będziesz mogła opowiadać swoją historię, choć wcale nie musisz nikomu powierzać tajemnicy własnych cierpień, ale daj się wciągać, wejdź na inną orbitę, odczep się od tego, co wpędza cię w poczucie małej wartości. To nie jest grzech, to nie jest bagno. To konieczne, by przeżyć. Znajdź, jak Portnoy, swego Spielvogla, psychoanalityk chętnie cię wysłucha i nie zdradzi twoich tajemnic. Obowiązuje go tajemnica spowiedzi.

Trzeba tylko wybrać odpowiedni moment, żeby nie było za późno, żeby nie znaleźć się w sytuacji Sylvii Plath. Pięknej, mądrej, utalentowanej, która miała wszystko, o czym można marzyć, i która, mimo bliskości z Tedem, nie miała do kogo otworzyć ust, żeby powiedzieć, co ją dręczy. Listy do matki, piękne literacko, były fałszywe, choć tak dobrze napisane, że nie czuło się, co Sylvia naprawdę myślała o matce, dowiadujemy się tego z dziennika z 1958 roku, kiedy korzystała z zawodowej pomocy R.B. Opis sesji terapeutycznej z R.B. jest wstrząsający, trafia w sedno, w to, czego szukają samotni, mimo obecności bliskich, ludzie. „Nic, co robię, nie zmieni jej sposobu odnoszenia się do mnie, który ja odczuwam jako zupełny brak miłości. Czy czuję, co jest mi potrzebne, gdy widzę się z R.B.? Czy dlatego płaczę? Ponieważ nawet jej zawodowa dobroć uderza mnie jako coś bliższego moim potrzebom niż doświadczone przeze mnie uczucia mojej matki?”

Wyszła za mąż z miłości, Ted był dla niej ojcem, którego wcześniej straciła, i matką, która podobno winała córkę za śmierć ojca na podstawie swego snu. To, o czym Sylvia nie myślała, odkładało się w jej snach: „Wczoraj śniło mi się, że goniłam Teda przez wielki szpital, wiedząc, że jest z inną kobietą. Wbiegłam na oddział psychicznie chorych i szukałam go wszędzie: skąd wiesz, że to Ted? Miał jego twarz, ale był moim ojcem, moją matką”.

Oprócz tego był oczywiście kochankiem i mężem. To chyba zbyt wielka odpowiedzialność, za dużo ról, by męzczyzna robiący własną karierę mógł temu wszystkiemu sprostać. Zdradził ją, był nieobecny w ważnym dla niej dniu. „Miałam straszliwy napad furii. Wiedział, jak go kocham, a jednak nie było go ze mną. Czyż to nie jest obraz tego, co zrobił mi mój ojciec? Nie rozmawiałam o tym z Tedem, ponieważ sytuacja się już nie powtórzyła. Dlaczego nie porozmawiałam z nim zaraz potem? Ted, przez sam fakt bycia mężczyzną, zastępuje mojego ojca: ale tylko i wyłącznie w ten sposób. Obrazy jego zdrad z kobietami są echem mojego strachu przed związkiem ojca z matką i Panią Śmiercią”.

Dlaczego nie porozmawiałam z nim zaraz potem? - to jest pytanie, jakie zadają sobie wszystkie kobiety, które boją się jasnych sytuacji, boją się porzucenia, czekają więc, aż sprawa przyschnie. I nie tylko o zdradę chodzi, ale o wszelkie trudne sprawy, które wymagają wyjaśnień.

Bardzo wcześnie poznała „psychologiczną potrzebę kłótni” małżeńskiej. Pisała opowiadanie *Kłótnia o guziki*, po tym jak Ted, by dać jej nauczkę, opowiedział przyjacielom, że ona nigdy nie przyszywa guzików i nie ceruje skarpetek, koszule bez guzików chowa, a skarpetki wyrzuca. Chce napisać o tym, że bohater, to oczywiście Ted, ma „zakorzenie

ne poglądy na rolę kobiety: tak jak wielu innych mężczyzn chce, żeby była w ciąży i siedziała w kuchni. Chce ją zawstydzić przy obcych; opowiedziane z punktu widzenia mądrej matrony? Rada?, ach jaka rada?"

Oboje, Sylvia i Ted, czują, że nie wypełniają rolę, które są narzucone przez obyczaj. „Ted «nie zarabia na chleb», a ja nie «szyję i ceruję» przy kominku. Nawet nie znalazł mieszkania z kominkiem, a ja nie przyszyłam nawet jednego guzika”.

Manipulują sobą wzajemnie, jak prawie wszystkie znajome nam pary, jak my same. On na wieczorze autorskim Trumana Capote'a nie chce przesiąść się tak, by oboje lepiej widzieli, upiera się, demonstruje swą władzę, ona nie przyszywa guzików do jego koszul. Tylko dlatego, skoro oboje piszą, on jest poetą, ona poetką, oboje pracują, dlatego więc ona ma przyszywać mu guziki? Bo takie jest bezwzględne przeznaczenie kobiety, taka jest jej rola, i on oczekuje podporządkowania się, a ona przyjmuje rolę za rzecz naturalną, a to, że odmawia, uważa za rewolucję, za bunt, walkę o wolność. A nie działo się to w osiemnastym wieku, ale w 1959 roku w wysoko cywilizowanym, nowoczesnym społeczeństwie.

Widzimy tu asymetrię, jaką wciąż dostrzegamy we własnych związkach. Już masz prawo do pracy, i świetnie, że je masz, twój mąż także się z tego cieszy, macie drugą pensję, to rzecz nie do pogardzenia, ale ty jesteś w dalszym ciągu kobietą, na której spoczywa obowiązek służenia mężczyźnie - mężowi i dzieciom.

Dziennik jako psychoterapia nie wystarczył. Wspaniała mąż poeta, dla którego rzucała swoją pracę, czytała i oceniała jego wiersze, przepisywała jego teksty, Ted Hughes okazał się nie taki wspaniały. Idealizowała go, dopóki mogła. Zdra

dził ją i był brutalny. Uderzył ją, nie mogła się po tym pozierać. Dzieci, praca, nic jej nie powstrzymało. Sięgnęła po wyjście ostateczne. Zbyttna zależność, brak oparcia, choroba, złożenie broni, niechęć do walki. Była wrażliwsza niż te, które żyją, umieją cieszyć się mimo wszystko.

A przecież w maju 1959 roku była szczęśliwą pisarką, pisze o tym, że udało się jej pokonać Ptaka Lęku, jest spokojna, pogodna, wierzy, że każde jej „następne opowiadanie jest lepsze od poprzedniego, a jednocześnie czuje nad sobą bat, bo żadne nie jest dostatecznie dobre, by dorównać tym, które planuje na przyszłość, za dziesięć, za dwadzieścia opowiadań”.

Nie planuje na lata, czas mierzy opowiadaniem. Wydaje się, że jest twórcza, że dzieci nie są jej potrzebne. A jednak ich pragnie, czy to chęć, ciekawość, presja czy opresja? Jest nieszczęśliwa, pisze, że czuje się bezpłodną, niepełną kobietą, niewypełnioną macierzyństwem, pustą w środku, śmiercią. Nie może jajeczkować, a chce „domu wypełnionego dziećmi, zwierzątkami, zapachem kwiatów, pękami jarzyn, obfitością owoców”, a „jestem grudką popiołu, na której nic nie wyrośnie, nie zakwitnie, nie urodzi owocu. Chcę być Matką Ziemią w najbogatszym, najgłębszym sensie. Odwróciłam się od kariery, od bycia intelektualistką: to dla mnie wszystko popioły”.

Stworzyła w wyobraźni pociągający obrazek. Nawet gdy pojawiły się prawdziwe dzieci, nie udało się zaspokoić innego rodzaju głodu, może pragnienia wzajemności uczuć, a przede wszystkim nigdy niezaspokojonego, głębokiego pragnienia, by tworzyć.

Jak wiele kobiet przed nią i po niej, sądziła, że będzie inaczej, że Ted, szczęśliwy ojciec, będzie cieszył się razem z nią, że będzie miał większy udział w opiece nad maleństwami, że odciąży ją, żeby mogła pracować, tworzyć...

Przeliczyła się, jak przeliczają się w tej sprawie kobiety. One przeczekują trudny okres, zaciskają zęby, wstają w nocy do dzieci, w dzień pracują, gotują, czekają na mężów... Tak przez całe lata, aż dzieci dorosną i wyfruną z domu. Wtedy część przeżywa syndrom opuszczonego gniazda, zaczynają się problemy z mężem, jego niewiernością, życie wydaje im się stracone. Nietrafione. Opisała to Simone de Beauvoir w *Kobiecie zawiedzionej*. Bohaterka porzuciła pracę, mimo że ma wyższe studia, „poświęciła się dzieciom”, została w domu, dbała o wszystkich i wszystko, a gdy odchowane dzieci wyszły z domu, została sama. Samotna. Nie wytrzymała, popełniła samobójstwo. Jest podobna do Sylvii, choć przecież tak inna, bardziej przyziemna, stojąca mocno na ziemi, nie tak twórcza. Było to samobójstwo odroczone.

Nie chciałabym, drogie siostry, żeby tak wyglądały nasze wrota do wolności. Ja się nie dam, nie wiem, jak długo, ale pracuję wciąż nad tym, żeby się nie dać. Muszę o to walczyć, wszystkie musimy. Powtarzam sobie, przepowiadam w myślach swoje zasady zbliżające mnie do wolności.

Zawsze trzeba mieć do kogo otworzyć usta

Poszukiwania Sylvii Plath dowodzą, że trzeba mieć kogoś, do kogo mogę odezwać się wtedy, gdy tego potrzebuję, niekoniecznie mądrze, głęboko, czasem głupio, śmiesznie, intymnie, w naszym wspólnym kodzie. Nie mogę zostać odrzucona, bo przeżywam wówczas bolesne upokorzenie. Jeśli to staje się nagminne, codzienne, zamykam się i zaczynam szukać rozmówcy. Sytuacja, w której opowiada się komuś intymne szczegóły z własnej biografii, fantazjuje się lub powierza mu sekrety, jest niezwykle pociągająca dla kobiety i rodzi chęć zbliżenia. Konfesjonał, rozmównica, łóżko,

przedział w pociągu zastępuje czasami ciepłą rozmowę z najbliższym, który nie czuje, jakie to ważne, a nie czując tego, nawet nie wie, że nas boleśnie odtrąca.

W filmach Woody'ego Allena ten rodzaj zauroczenia gadaniem jest na porządku dziennym. Psychoterapia trafiła nawet do seriali. W *Rodzinie Soprano* główny bohater, gangster parający się niezbyt suchą i nie całkiem czystą pracą, również cierpi na zawirowania psychiczne i korzysta z pomocy terapeutki. Napięcie erotyczne między tymi dwojgiem jest ogromne, mimo iż obywatel się bez scen seksu. Terapeutka Soprano jest chyba jedyną osobą, z którą szef grupy zorganizowanej może sobie pogadać o sprawach, o jakich nie może mówić z innymi ludźmi z branży, jak też z wąsko pojętej rodziny. Bo rodzina szeroko pojęta to właśnie branża, czyli mafia, przed którą nie może się wyżalić, bo boss musi być twardy. Tymczasem, jak widać, rozmowa jest pożądana w każdym środowisku i jeśli nie można jej prowadzić w najbliższym otoczeniu, trzeba znaleźć kogoś, kto tę potrzebę zaspokoi. W przypadku kobiety często jest to ksiądz.

Od słowa do słowa, od zwierzenia do zwierzenia powstaje chyba dość niebezpieczna więź, jakiej nie ma się z kimś najbliższym.

Szukając, próbując do skutku, znajdujemy wreszcie osobę do rozmów poza własnym domem i poza najbliższym człowiekiem, oddalamy się od niego, porównujemy z nowym przyjacielem i niekiedy stawiamy na swoim mężu czy żonie krzyżyk.

Twierdzę, że znalezienie chętnego rozmówcy, przyjaciółki lub przyjaciela, z którym łapiemy kontakt, bywa początkiem końca, czyli rozpadu małżeństwa. W przypadku kobiety dzieje się tak częściej, niż myślimy, i wbrew stereotypowemu przekonaniu, że zwykle chodzi o romans, a więc o seks. Znak równości jest moim zdaniem nieuprawniony.

Bohaterowie Becketta mówią z rozpaczą, ale i czarnym humorem: „gadać do siebie, bo do kogóż by innego”. Taki jest los samotnych z wyboru czy z losowego przypadku. Starszy ludzie, gdy owdowiejają, gadają do siebie, „bo do kogóż by innego”? Bardzo często jednak samotność w związku dwojga ludzi staje się bardziej dotkliwa niż samotność singla. Ich rozmowy, kiedyś dwojga najbliższych sobie ludzi, przestają być ważne, nie są już takie jak na początku, przeradzają się w kłótnie, dotyczące uciążliwej bieżączki, rachunków, zakupów, ale nawet te ciągłe utarczki mają dla pary wielką wartość. Nawet ple ple ple o pogodzie przy śniadaniu, omawianie dań przy obiedzie czy kolacji ma znaczenie. Czytanie gazet, dzielenie się wiadomościami z nich, wspólne komentowanie telewizji, nawet wymuszone przez Winnie ze *Szczęśliwych dni* zdawkowe odpowiedzi Willy'ego, mają swój ciężar, stanowią namiastkę kontaktów, a w wiekowych małżeństwach wskrzeszają pamięć o dawnych rozmowach. Winnie o tym dobrze wie, dlatego dzień, w którym mąż do niej się odezwał, jest dniem szczęśliwym. To święto w jej kalendarzu. Przekonuje się o tym każdy, kto zostaje sam.

Mam zawsze pretensje o to, że on mi nie powiedział, co przeczytał w gazecie, jeśli coś uznajemy oboje za ważne. Dlaczego? Bo nie chciało mu się gadać.

Gada baba do obrazu, a obraz do niej ani razu

Monodram w teatrze jest częstą formą kontaktu z kimś niewidocznym. Monodram wewnętrzny każdy tworzy wewnątrz siebie, gdy nie ma do kogo gęby otworzyć. Ma zastąpić naturalną potrzebę wymiany słów poczuciem bliskości.

Ten rodzaj jednostronnego kontaktu przypomina monodramy, sztuki teatralne, słuchowiska lub filmy reportażowe z jedną gadającą głową. Twórcy, szukając wyjścia z bardzo trudnej formalnie sytuacji, w roli słuchającego obsadzają kankara, konia, psa, kota. Klasyczne przysłowie: „Mówił dziad do obrazu, a obraz doń ani razu”, doskonale ilustruje ten rodzaj interakcji. Z tym że w życiu to częściej **baba** gada do obrazu dziada niż dziad do baby. Baba gada do wizerunku dziada, ale nie może się ze swym gadaniem przebić.

Gadanie do ściany

Baba gada, lecz dziad jej nie słucha. Nie znajduje posłuchu, bo na ogół porusza niewygodny temat, a tego jej robić nie wolno. Babie nie wolno mówić o niektórych rzeczach w obecności dziada. Zakres tematów jest niezwykle ograniczony, ubogi, wiedzą o tym wszystkie żony realne i literackie, o których tu mówimy, wie Winnie i Molly Bloom. Można mówić o osiągnięciach dziada oraz o nieudacznikach, jakimi są inni mężczyźni. O jego porażkach należy zapomnieć, nawet jeśli chce się mu pomóc, należy zrobić to „przez kwiatek”, nigdy wprost, chyba że sam zacznie o tym mówić, ale to zdarza się sporadycznie albo w wyjątkowych, bliskich związkach.

Kobieta szuka kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać o życiu. Stąd bierze się chyba popularność internetowych pogawędek „gadu-gadu”, gdzie można anonimowo wejść w rozmowę, znaleźć niszę, w której ludzie gadają o tym, co ich boli lub cieszy, i gdzie samemu można się wygadać. Może to złudzenie bliskości i pada się ofiarą oszustwa psychologicznego, ale można samemu oszukiwać, udawać kogoś innego. Wszystkie chwytaki są dozwolone, by uzyskać

pożądany efekt: dowiedzieć się, zwierzyć z tego, o czym nikt dotąd od nas nie słyszał. Dla odważnych są randki internetowe, które mogą zakończyć się fiaskiem, ale bywają też zwieńczone stałym związkiem. Internet w formach takich jak „gadu-gadu” oferuje bowiem to, czego tak bardzo brakuje nam w naszej codzienności, w której odwykliliśmy już od rozmów, wstydzimy się pytać, mówić o sobie. Powodzenie talk-show bierze się również z tęsknoty za rozmową. Ludzie pragną dowiedzieć się, o czym myślą, jak zachowują się i dlaczego właśnie tak zachowują się inni ludzie, bo są bardzo samotni w swych domach rodzinnych. Twierdzę, że seriale telewizyjne mają tak wielkie wzięcie, ponieważ bohaterowie wciąż gadają do siebie, kłócą się, wyznają sobie miłość, kłamią, opowiadają o tym, co im się zdarzyło, omawiają codzienność. Nie szkodzi, że to namiastka, że fałszywe albo cudze.

Wieloletnie romanse, znane wszystkim odwieczne trójkąty potrzebują innej pożywki niż cielesna. Zdradzający poszukują kontaktu, którego nie znajdują w stałym związku. Bywa, że trójkąt, który trwa długo, przeradza się w drugi stały związek i z latami powszednieje tak samo jak pierwszy. Choć kobieta gra na dwa domy, manipulowanie nimi w taki sposób, by je utrzymać, jest znacznie ciekawsze niż związek pojedynczy, monogamiczny. Robi to zwykle lepiej niż mężczyzna, bo jest biegła w codziennym oszukiwaniu. Nawet wtedy, kiedy nie zdradzała, musiała ukrywać swoje prawdziwe uczucia. Przycieranie rogów, czyli wieloletnia tresura w domu rodzinnym, w szkole, zamieniona później na tresurę męzowską, nauczyło ją trzymania języka za zębami. Uczucia zaś przechowywała w chłodni. Mężczyzna nie musiał tego robić, dlatego nie ma treningu i nie umie kłamać. W tym sensie jest prostolinijny, bo nieudolny.

Zwykle rzecz polega na różnicy charakterów żony i kochanki lub męża i kochanka. Choć obserwując rozmaite stadła legalne i będące tajemnicą poliszyneła, trudno wyciągnąć uprawnione wnioski, po prostu w głowie kręci się od niezwykłego urozmaicenia. Bywa bowiem i tak, że poraża nas podobieństwo legalnej żony i tej trzeciej. Nie można także z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że mężczyzna zawsze poszukuje młodej kobiety. Zdarza się, że kochanka jest młodsza od żony, ale zdarza się, że jest starsza. Jeśli partner nie potrzebuje rozmów, a jest nastawiony wyłącznie cieleśnie, uważa seks za rodzaj gimnastyki, którą należy uprawiać głównie dla higieny psychicznej, wówczas zmienia po prostu partnerkę na inną, ponieważ „stara”, jakkolwiek by była młoda, przestaje go rajcować.

Minął rok, miesiąc, a może tylko tydzień, to zależy od indywidualnych potrzeb, wyeksploatowała się pomysłowość układów erotycznych, ciała powiedziały sobie już wszystko, przychodzi więc pora na rozszerzenie repertuaru, wprowadzenie nowych osób, trzecich i czwartych, lub zdecydowaną zmianę sztuki i obsady. Stara sztuka schodzi z afisza, pora na próby nowej, psychologicznej. Czasami nawet obywa się bez prób.

Kobiety za dobry romans uważają taki, w którym znalazły mężczyznę do łóżka i rozmów w łóżku. Musi być dobry w seksie, czuły, namiętny, ale powinien także zaspokoić ich potrzebę gadania oraz słuchania. Zony są zwykle wyposzczone, narzekają nie tylko na brak seksu, lecz głównie na brak kontaktu słownego. Gdzieś nam zaginęła umiejętność uważnego słuchania i ciekawego opowiadania. Pojawia się obojętność i nuda.

Pierwsza jaskółka buntu

Kiedy żona protestuje lub buntuje się przeciw obojętności męża, zostaje ukarana. On zabiera się do swej pracy lub wychodzi z domu z kolegami, ignoruje ją. Problem z córką, która jest „jakaś inna”, nie obchodzi go. Przecież nie zaszła w ciążę. O co więc chodzi, o czym tu gadać? Obrażony mąż nie wykonuje swych obowiązków. Minimalizuje własne koszty psychiczne. Gdy obrazi się żona, obiad jest zawsze na stole, a koszule męża i rzeczy dzieci wyprane i wyprasowane. Po prostu kobieta robi wszystko w milczeniu. Koszty psychiczne zdeptanej godności są ogromne. Bunt jest najzdrowszym sposobem, a nabyta w dzieciństwie krnąbrność najlepszym narzędziem walki o wolność. Słowo za słowo, zdanie za zdanie, wściekłość za wściekłość. Jawne wyrażanie poglądów i uczuć, domaganie się równych praw, partnerstwa zamiast podległości. Działania zza węgła są przywilejem słabych a opornych. To niewyrażony głośno, stłumiony bunt. Walka podjazdowa poprzez manipulowanie partnerem jest najpowszechniejszym ze sposobów przywracania poczucia wolności i utraconej godności, który daje iluzję władzy nad mężem. Tym sposobem potwierdza się własną przewagę. Część kobiet chowa się w grubej skorupie zbudowanej z rozmaitych psychicznych zabezpieczeń. Tu schowałam swoje najgłębsze JA, które chronię przed zranieniem mocnymi mechanizmami obronnymi. Niewygodne, uwierające problemy zostały wyparte. Zobojętniałam na mężowską niegodziwość, unikam rozmów, które mnie kaleczą. Tu, na tej głębokości, nic i nikt nie jest w stanie mnie dotknąć. Moja dusza kąpie się w strefie ciszy. Wiemy, że własna interesująca praca, twórcze zajęcie tworzy strefę niedostępną dla męża czy partnera. Możemy przeciwstawić swoją pracę jego pracy. Najlepiej jeżeli praca wciąga cię naprawdę, a nie jest tylko

erzaczem miłości małżeńskiej. Mam coś swojego, odnalazłam więc w tym swą wolność i zyskałam rzeczywistą autonomię. Czy tego chciałam? Czy chciałam aż takiej wolności, wyzwolenia, niezależności? Tak, chciałam wyzwolić się z uczucia upokorzenia, z tego ciężaru, jakim była świadomość, że tak bardzo potrzebuję kogoś bliskiego do rozmowy. Właśnie teraz. Nie chcę słyszeć: „Nie w tej chwili”. Jednak moja praca, moje zajęcia są wyborem, i jeśli nawet na początku miały zastąpić czyjąś obecność, teraz są autonomiczne, nie wyrzeknę się ich nigdy. On jest wolny i ja jestem wolna. Nareszcie zyskałam pożądaną równowagę.

Odrzuć ogon i sphywaj!

Autonomia w przypadku większości znanych mi zamężnych kobiet zamienia się w a u t o t o m i ę. Autotomia to ciekawe zjawisko przyrodnicze, polegające na tym, że niektóre zwierzęta w ucieczce przed przeciwnikiem potrafią oddać kawałek własnego ciała, porzucić go na pożarcie, by, mówiąc po prostu, ocalić tyłek. Na przykład jaszczurka gubi ogon, zostawia go na pożarcie i ucieka. Jej ogon potem odrasta. Zwierzęta zachowują się tak, uciekając przed wrogiem.

Kobiety, bo tak się dzieje, że nie ma w tym względzie symetrii - znacznie częściej niż mężczyźni porzucają po kawałku swą wolność czy autonomię na pożarcie nie przeciwnikowi, lecz najbliższemu człowiekowi, jakim jest, czy powinien być, mąż. Są różne sposoby wymagania, wręcz wymuszania tej autodestrukcji od partnerki.

Prawo teściów

Zajmujemy się autonomią małżeństwa, ponieważ pomiędzy zaobrączkowanym w kościele lub przypieczętowanym w urzędzie stanu cywilnego stadłem a tak zwanym wolnym związkiem istnieje głęboka przepaść. W małżeństwie, oprócz dwóch osób, łączą się zwykle rodziny stron, co dodatkowo wpływa na ograniczenie wolności. Prawo głosu teściów jest potwierdzone przez akt ślubu. Co prawda, jest nieformalne, lecz bywa z całą surowością plemiennego obyczaju egzekwowane. Prawo to jest tym większe, im teściowie są bogatsi, im bardziej pomagają młodej parze finansowo lub przez zajmowanie się dziećmi. W wolnych związkach rola rodziców jest znacznie mniejsza, gdyż po prostu ignorują oni nieprzypieczętowany związek, traktując go jako stan przejściowy.

Nie bez znaczenia są tu sprawy materialne; wspólnota majątkowa małżonków bywa utrudnieniem, jeśli przed ślubem nie sporządzono interczyzy. Gdy dochodzi do rozstania, ważne staje się orzeczenie o winie. Inne jest poczucie prawa własności dotyczące partnera. Dzieci również stanowią rzeczywistą przeszkodę, bywa, że nie do przebycia ze względu na strach kobiety, że zostanie sama i w trudnych warunkach materialnych nie da sobie rady z karmieniem i wychowaniem piskląt. O ściąganiu alimentów, przy naszym prawodawstwie, nie można myśleć poważnie. Rozwód, z różnych powodów, bywa nie do przyjęcia dla rodzin obu byłych partnerów i dla ich dzieci. Niesie też ze sobą wywlekanie bolesnych i intymnych spraw przed obcymi ludźmi na sali sądowej. Mężczyźni boją się zwłaszcza upokorzenia na tle seksualnym, tego, że publicznie, w obecności sądu i świadków, zostanie ujawniona ich częściowa lub całkowita impo

tencja albo nieumiejętność zaspokojenia żony. W taki sposób kobiety mszczą się za swe nieudane życie.

Rodzina fotografia

Podczas rozwodu, przed sądem, często okazuje się, że obowiązkiem kobiety jest dbałość o rodzinę, gotowanie, pranie, odprowadzanie dzieci do szkoły. Mężczyzna ma w tym względzie znacznie mniejsze obowiązki. Powinien zarabiać pieniądze i płacić na dom. Liczy się jego status zawodowy. Pozostaje pracującym zawodowo mężczyzną, ojcem zaś jest z powodu umieszczenia w odpowiednim czasie i miejscu swego plemnika. Może po akcie powiedzieć do swej żony: „Żegnaj, kwiatuśku”, i ulotnić się jak eter. Kobieta, nawet gdy piastuje wysokie stanowisko, nigdy nie jest zwolniona z obowiązku matkowania. To, że dziecko przebywało dziewięć miesięcy w jej brzuchu, jest powodem, choć całkowicie nieracjonalnym, by przypisać matce dziecko na wyłączność. Ojciec jest dekoracyjnym, bardzo pożądanym społecznie dodatkiem, gdy trzeba się zaprezentować jako pełna rodzina. Przesadzam, ale tylko trochę.

Różnica pomiędzy uczuciami macierzyńskimi a uczuciami ojcowskimi jest ogromna. Kobieta, o której mówi się, że jest pozbawiona uczuć macierzyńskich, uznawana jest za psychopatkę, degeneratkę, amoralnego potwora. O mężczyźnie w ogóle nie rozprawia się w kategoriach ojcostwa, dopóki nie okaże się, że katuje dzieci, jest dobrym ojcem.

Tego rodzaju asymetria nie sprzyja poczuciu wolności kobiety. Bardzo często od momentu pojawienia się dziecka w małżeństwie narasta w niej poczucie zniewolenia. Od kilkunastu lat obserwujemy jednak ożywcze zmiany w starym

patriarchalnym układzie. Dzieje się tak dzięki wzrostowi samoświadomości u młodych kobiet.

Poczucie zniewolenia w małżeństwie jest wielokrotnie wyższe niż w konkubinacie. Sama nazwa „wolny związek” sugeruje już, że małżeństwo jest jego przeciwieństwem. Nawet fotografie małżeństw mają inny charakter niż zdjęcia ludzi z wolnych związków. Istnieją formalne portrety ślubne i rodzinne. Na biurku stoi zazwyczaj oprawiona w ramkę fotografia szefa, jego żony i dwójki dzieci. To jest „prawdziwa” rodzina, nawet jeśli szef widuje dzieci późnym wieczorem, śpiące już w łóżeczkach. Mimo wszystko to on jest dobrym ojcem, ten uśmiechnięty facet na fotografii. Jeśli para nie wzięła ślubu, traktowana jest inaczej, zarówno przez otoczenie, jak i przez samych partnerów. Kobiety uważają zwykle, że konkubinaty jest mało stabilny i niszczy ich psychikę. Te wyzwolone niby wesoło mówią: „ja jestem samotną matką”, ale prawie zawsze jest to przytyk w stosunku do partnera; oznacza to brak prawdziwego partnerstwa i symetrii.

Cierpliwy treser

Najważniejsza jest tresura. Prowadzona latami przynosi doskonale dla męża efekty. Tresura dotyczy na przykład kontaktów żony. Mąż nie lubi jej przyjaciółek, twierdzi, że są głupie, nielojalne, podłe. Podczas wizyt demonstruje swą niechęć. Zamyka się w innym pokoju, wychodzi z domu, trzaskając drzwiami, lub obraża. Żona zaprasza więc osoby, które lubi, wyłącznie pod nieobecność męża, o ile nie zdołał ich wcześniej definitywnie obrazić. Czasami wiesz dobrze o nielojalności, bo zdradził cię z twoją przyjaciółką. To jednak jest zbyt prymitywny przykład. Jego niechęć do twoich

kontaktów wydaje się zwykle irracjonalna, a jest chęcią zawładnięcia tobą w imię dobrze pojętego interesu właściciela.

Tresura towarzyska na forum jest zjawiskiem często obserwowanym i równie często doświadczanym przez żony. Każdy zna przypadki publicznego upokarzania żony w towarzystwie. Gdy się odezwie, on smaga ją publicznie, ośmiesza jej niewiedzę, twierdzi, że nie rozumie skomplikowanych zjawisk, jakimi są polityka czy życie społeczne, to są jego domeny. Jeszcze częstsze są pouczenia żony, przywoływanie jej do porządku. Kobiety cierpią, lecz nie reagują tak, jak powinny, ostro i zdecydowanie. Milczą, pokrywają głupie uwagi męża wymuszonym żartem, choć mają ochotę wybuchnąć płaczem. Jako istoty mniej agresywne, a bardziej wyrobione społecznie, nie chcą psuć atmosfery, więc utrwalają mężowskie chamstwo. Hodują na własnej piersi węża, który je niszczy. Po jakimś czasie przestają chodzić z mężem na prośzone kolacje i przyjęcia, dając mu tym samym wolność. Taki facet prowadzi życie kawalera, odzyskał więc kawalerski przywilej wolności. Gdy po prostu nie znosi przyjęć, bo jest towarzyskim mrukiem, oboje z żoną siedzą w domu, nawet jeśli ona jest osobą z natury towarzyską, nie chodzi nigdzie sama. Dopiero od niedawna w naszym kraju możliwe są spotkania klubowe kobiet. Damskie herbatki, wieczorki.

Żony w towarzystwie zwykle powściągają męża, by nie pił, nie dłubał publicznie w nosie czy w zębach. Zwracają mu uwagę po cichu, trącają łokciem albo kopią w kostkę. Wstydzą się za niego. Niekiedy ten wstyd przeradza się w patologię, bo mieszczańskie pojęcie o etykiecie nie dopuszcza do oryginalnych zachowań. Gdy zaprasza się takich ludzi, wizyty stają się uciążliwe jak protokół dyplomatyczny, i to podczas spotkania wrogich państw.

W domu chcesz z nim pogadać o tym, co czujesz, że cię to męczy, że boisz się odzywać, ale on nie cierpi rozmów na temat tego, co można by zmienić w waszym związku, żeby było lepiej. Nie toleruje żadnej krytycznej uwagi na swój temat. Gdy powiesz mu, że nie chcesz, by upokarzał cię w towarzystwie, zacznie mówić, że nigdy tego nie robi i że sama jesteś sobie winna, bo powiedziałaś coś, czego nie powinnaś mówić, bo on tego nie lubi.

Wakacje z kobietą

Dobrze pamiętam pewne wakacje, które wiele lat temu spędziłam z Magdą Z. Ona miała męża i dwoje dzieci, ja męża i jedno dziecko. Oni mieli dom nad jeziorem, my wyjeżdżaliśmy zwykle na Mazury na wieś. Nie mieliśmy letniego domu, bo po pierwsze nie mieliśmy pieniędzy, by go kupić, a po drugie zawsze uważałam taki przymus wyjazdu w jedno miejsce za przekleństwo. Również posiadanie dwóch domów było dla mnie z lekka schizofrenicznym pomysłem. Ich dom był wygodny, dość duży, by nie wchodzić sobie w drogę. Gdy okazało się, że mój mąż wyjechał na trzy tygodnie za granicę, Magda zaprosiła mnie z Wawrzyńcem do letniego domu. Jej mąż jeździł po kraju z koncertami. Byłyśmy więc same z dziećmi. Panowała między nami pełna harmonia. Nie było żadnych sprzeczek, każda wiedziała, co ma robić, co należy do niej, dzieci bawiły się razem, dawały sobie radę z problemami. Wieczorem siadałyśmy przy kominku i prowadziłyśmy długie rozmowy o naszym i cudzym życiu, analizowałyśmy swoje małżeństwa, sposoby wychowywania dzieci, mówiłyśmy o przeczytanych książkach, bo obie dużo czytałyśmy. Ja mimo wakacji trochę jednak pisałam, ona uczyła się, bo przygotowywała się do startu na aplikację,

chciała wrócić do zawodu, gdy dzieci będą już na tyle duże, że to będzie możliwe. Wtajemniczała mnie w zawiłości prawa, a ja ją w pisanie. Czasu starczało na wszystko, żadnych napięć. Dobrałyśmy się, mimo że miałyśmy różne charaktery - dodać muszę, że niełatwe. W rozmowach poruszałyśmy zawsze drażliwe tematy, żeby wiedzieć, co ta druga sądzi o trudnych sprawach. Jednym słowem była to idylla. Do czasu gdy pojawił się najpierw jeden, potem drugi mąż. Zaczęła się zwykła małżeńska szarpanina, wciąż coś było nie tak. Kłótnie, ciche dni, płacze w poduszkę. Gdy wyjechali, nasza wakacyjna codzienność uspokoiła się jak morze w pogodny dzień. Znowu oddychałyśmy. Siedziałyśmy aż do późnej nocy 1 dorzucając polana do kominka, rozmawiałyśmy o tym, co się zdarzyło. Żadna z nas nie mogła pojąć, co takiego zepsuło atmosferę. My obie zachowywałyśmy się tak jak wcześniej, nasi mężowie wtargnęli i zaczęli wprowadzać swoje porządki. Zmuszać nas do wycieczek, jakich nie pragnęłyśmy, wprowadzać do rozmów ton rywalizacji, tresować dzieci, które natychmiast wyczuły atmosferę przymusu i stały się nieznośne. Przywieźli ze sobą jedną rzecz, której nam brakowało, a był to seks, bo my obie jesteśmy, niestety, heteroseksualne. Celowo użyłam słowa *n i e s t e t y* w takim kontekście, dlatego że gdyby seks z mężczyzną nie miał dla nas znaczenia, mogłybyśmy być zgodną parą. Choć wiem, że życie małżeńskie może być bardzo udane, i swoje za takie uważam, nigdy nie spędziłam z własnym mężem tak spokojnych, pogodnych, mądrych wakacji jak z te Magdą.

To wtedy właśnie podczas tych wakacji Magda powiedziała, że mogłaby się ze mną ożenić. Uznałyśmy to za żart, ale była w tym tęsknota za porozumieniem stron. Wierzę, że istnieją małżeństwa heteroseksualne tak zgodne, jak my byłyśmy, mimo że przecież często miałyśmy inne zdanie

i każda zostawała przy swoim. Wierzę w to dość słabo, bo nie wiem, dlaczego dotąd nie trafiłam na taką parę. Kiedy poznajemy jakąś parę, często wygląda na to, że to właśnie idealne stadło, są dla siebie mili, dobrzy, zaczynamy stawiać ich sobie za wzór: widzisz, jak on do niej się odnosi, jaka ona jest dla niego ciepła! Aż do momentu, w którym są już z nami oswojeni, znamy ich lepiej, coraz lepiej, zaczynam spotykać się oddzielnie z żoną, która jest w rozpacz, puszcza farbę, i już wiem, że jedziemy na tym samym wózku. Ona nie może mu zwrócić uwagi, a on ma do tego prawo w każdych okolicznościach, on może zajmować się swoją robotą od rana do nocy, ale jak ma ochotę na odpoczynek, to ona musi rzucić wszystko i towarzyszyć mu w relaksie, na ogół jest tak wytresowana, że odczuwa te chwile jako szczęście!

Nowojorskie samotnice

Coraz częściej pojawiają się u nas filmy amerykańskie, ambitne seriale, których bohaterkami są kobiety samotne, poszukujące zaspokojenia. Oglądamy także zabawne w warstwie zewnętrznej filmy, głównie te dziejące się w Nowym Jorku, których tematem jest samotność kobiety po trzydziestce, w apogeum kariery, bez problemów materialnych, doświadczonej, często rozwódki, która sparzyła się boleśnie i teraz boi się rozgrzanego męskiego ciała. Polujące kobiety (tak jak w serialu *Jak upolować męczyznę - seks w wielkim mieście*) polują tak, by nie upolować. Polowanie na niby lub polowanie częściowe służy zaspokojeniu seksualnemu, a bywa, że karmi ambicję kobiety. Jednak te amerykańskie samotnice nie chcą stracić swej wolności, one już wiedzą, że autonomia w małżeństwie

jest fikcją. A seks można znaleźć, niekoniecznie sprzedając siebie na matkę, opiekunkę i kierowcę własnych dzieci. Nie boją się przyznać, że nie cierpią dzieciaków, zupek i pieluch, i nie mają ochoty spędzać życia na pilnowaniu powstałej ze związku dwóch ciał kombinacji genów.

Rozmawiają ze sobą także na ten niewdzięczny temat, wymieniają uwagi, łagodząc tym samym swą samotność. Rozmowy z mężczyznami udają się im jeszcze rzadziej niż seks. Nawet w komediowym serialu widać, że odrzucenie małżeństwa nie jest łatwe w codzienności. Wydaje się, że to wygodne życie, że nie tęsknią za niczym, lecz mało jest kobiet silnych, które są samotne z wyboru, nawet w drapieżnej nowojorskiej książce, na podstawie której zrealizowany został serial o poszukiwaniu przygód miłosnych, robi się ukłon w stronę odrzuconej tradycji. Dziennikarka i pisarka znajduje na jakiś czas „ukojenie” w ramionach złowionego w końcu męża. Potem wszystko wraca do normy, a my oddychamy z ulgą, bo ona ma pozostać samotna i powinna być szczęśliwa, żeby nam także mogło się udać. W razie czego, oczywiście.

Niewolnica kocha swą niewolę

A jednak także i u nas coraz więcej kobiet wybiera samotność. Niekoniecznie, a nawet rzadko, ten rodzaj samotności wiąże się z ascezą seksualną. Mężczyzna pojawia się, może być nawet kochany, ale nowa generacja kobiet niezależnych nie wywiera na niego presji do wiązania rąk stułą. W ostrożniejszy sposób zachowują się dziś także młodsze rozwódki. Przyczyna leży często w tak zwanej niezmienności męskiej natury. W tym, że kobieta musi dopasować się do mężczyzny, musi się zmienić albo zrezygnować ze związku.

Naprawdę niewiele kobiet może pozwolić sobie na wolność w stałym związku. Nie bez powodu użyłam tu słowa „pозwolić sobie”. Pozwala im na to czasami uroda, inteligencja, wyjątkowość, pozycja, którą zdobyły już wcześniej albo którą odziedziczyły po rodzicach, najlepiej wraz z majątkiem.

Partner musi przystać na nietypowy związek i musi również umieć uzasadnić swój wybór przed otoczeniem, rodziną, zwłaszcza matką „starej daty”, a takich wciąż jest większość. To matki najczęściej blokują wszelki postęp, to matka dziwi się obłudnie, bo już w tym zdziwieniu zawarta jest krytyka synowej, jest w tym żółć nieudanego życia i brzydka chęć niedopuszczenia, żeby inna, obca kobieta, która wtargnęła do jej domu, miała lepiej, była doceniana i miała czas na własną karierę. Matka mówi do syna: „Jak to, to ona ci nawet nie ugotuje obiadu? W domu miałeś wszystko, a teraz sam prasujesz koszule? To ja m o g ł a m , a ona nie może? A co to, korona jej z głowy spadnie? No wiesz, jak możesz godzić się na coś podobnego!” Tego rodzaju słowa są okrutne, podlegają do najgorszego. Czasami ojcowie strzegą swych córek, nie chcą oddać ich „obcemu”, który nie potrafi zapewnić księżniczce odpowiednich warunków. Jednak to jest rzadsze.

Najstraszniejsze jest chyba to, że same kobiety niszczą te, które walczą, zmieniają istniejący porządek. Większość chce pozostać niewolnicami, a powody tego są równie złożone, jak skomplikowane są związki.

Satelitki mężczyzn panoszą się wszędzie: w rodzinach, w firmach, na uczelniach. Chociaż na uniwersytetach jest w tej chwili bardzo wiele zdolnych studentek, jest więcej studiujących dziewcząt niż chłopców, dziewczęta bardziej garną się do nauki i może proporcje wśród profesury odwrócą się niebawem na korzyść kobiet. Wówczas nie będziemy musieli oglądać zakonserwowanych

dziewiętnastowiecznych obyczajów w koszmarnych reklamach. Można by sądzić, że to agencje reklamowe narzucają nam ten model kobiety-służki, tymczasem okazuje się, że jest inaczej, że młodzi pracownicy firm reklamowych od dawna mają ochotę wprowadzić coś nowoczesnego w ponury świat plam i ich wywabiania, niestety, muszą kierować się zdaniem zapyziałych i zacofanych odbiorczyń reklam.

Jedna z firm przygotowujących reklamy chciała pod wpływem ośmieszania w mediach oraz protestów środowisk feministycznych zmienić tradycyjny wizerunek kobiety z reklam proszków do prania, w których żona zawsze pierze uwalane keczupem ubrania flejtuchowatemu mężowi i dzieciakom, których ulubionym zajęciem jest tarzanie się w błocie. W tym celu przeprowadzono sondaż wśród wyselekcjonowanej odpowiednio grupy kobiet. W reklamie to mąż miał robić pranie, podczas gdy żona zajęta była pracą albo spotykała się z przyjaciółkami w klubie. Kobiety prawie jednomyślnie, a przynajmniej jednogłośnie oświadczyły, że kobieta z reklamy jest złą matką i niedobrą żoną. Nie chciały być postrzegane jako te, które robią coś swojego, zamiast harować na rzecz rodziny. Wizerunek ponurej siłaczki, która po powrocie z pracy zajmuje się gotowaniem, praniem, sprzątaniami, doprowadzaniem podłóg do wysokiego połysku - zwyciężył.

Jest to przykład niewolnicy, która pokochała własną niewolę i nie chce wyzwolenia.

Nawet jeśli młodzi ludzie dogadają się, utargują każdy dla siebie trochę wolnego czasu, podzielą obowiązki, znajdą płaszczyznę porozumienia, otoczenie będzie im przeszkadzało, bo ten układ będzie zagrażał ogólnie przyjętym „mniemaniom”. Koledzy z firmy nigdy nie pojmą, dlaczego to ON robi zakupy, odbiera dziecko z przedszkola, podczas gdy

ona siedzi do późna w redakcji. To są wszystko niby drobiazgi, ale uporczywe, codzienne, stale obecne zdziwienie i gadanie na ten temat wymaga naprawdę dużej odporności psychicznej. Także indywidualności, gdyż mężczyzna, który wykonuje „babską robotę”, odbiega zachowaniem od stereotypu męskości i znajduje się pod taką samą presją jak kobieta, którą otoczenie piętnuje za uzurpację męskiej roli, skupienie się na karierze i pracy zawodowej zamiast na pielęgnowaniu ciampakczy (tak zwykli Witkacy określać niemowlęta) i prowadzeniu prywatnej garkuchni.

Wolność i autonomia kobiety w związku wymaga więc nowego, niestereotypowego i bardzo silnego partnera. Pytanie, skąd go wziąć, gdzie go szukać, jeśli do wyboru mamy wiecznych chłopców wyhodowanych w inkubatorze matki, co chce synkowi przychylić nieba. Magazyny kobiece pełne są rad dla takich zawiedzionych, co zrobić, żeby sobie z tym poradzić. Nie siłą, lecz sposobem. Udając, manipulując, tracimy czas, zajmując się głównie psychiką swego męża, zamiast zająć się własną pracą, rozwojem, twórczością, wyglądem, zdrowiem, podróżami, wszystkim tym, co lubimy, tym, co przyniesie nam korzyść duchową czy materialną.

Wysokie schody do wolności

Mam sporo wolności, którą wywalczyłam, a jednak wciąż czuję, że moja wolność jest oddzielna, pojedyncza. Samotna. Sprawdza się tylko wówczas, gdy jestem sama. Bardzo wcześnie zaznałam zarówno przymusu, jak i wolności. Rodzice wysłali mnie do żeńskiej szkoły, której nie chciałam. Moja wolność została zamknięta w żeńskim więzieniu. Odzyskałam ją, uciekając z liceum dla panienek, przenios

łam się samowolnie do liceum plastycznego. Rodzice dowiedzieli się o tym na tyle późno, że już nie mogli mnie cofnąć. Byłam podwójnie wolna, bo wyzwoliłam się sama z niewoli. Przymus był niemożliwy do wytrzymania. Zerwałam pęta. To dało mi na całe życie przekonanie, że jak się twardo walczy o wolność, to się ją uzyskuje, choć w granicach ściśle wyznaczonych.

Mam wolność w pracy, ponieważ nie mam etatu, piszę, co chcę i kiedy chcę, jeśli robię coś na termin, to dlatego, że go wyznaczyłam sama. Wybieram tematy, które mnie interesują, wybieram wydawcę, bo mam wybór. Pracowałam na to dość długo.

Wybrałam męża z wielu kandydatów, bo miałam taką możliwość. On wybrał mnie z wielu kandydatek, które kręciły się wokół. Jak dotąd wszystko jest symetryczne, a więc wspięłam się wysoko po schodach do wolności.

Urodziłam dziecko, bo chciałam je mieć. Czekałam na nie.

W tym punkcie musiałam zejść ze schodów do wolności, po których się wspinałam. Zeszłam w dół o całe piętro. Bo napotkałam przeszkody, których pokonać nie byłam w stanie. Ponieważ jednak urodzenie dziecka było moim świadomym wyborem, więc zejście na dół potraktowałam jako chwilową konieczność. Zbliżyłam się tym samym do znienawidzonego hasła: wolność to uświadomiona konieczność.

Uświadomiłam sobie, że sama tego chciałam, że nikt mnie nie zmuszał, że jestem z tym szczęśliwa nawet wtedy, gdy wyrывkowo czuję się nieszczęśliwa, skrzywdzona, samotna. Odpowiedzialność na wiele lat zastąpiła anarchię.

Mieć dokąd odejść

Zostawmy na moment uczucia, które oczywiście są bardzo ważne, a bywa niekiedy, że najważniejsze, i zajmijmy się, drogie siostry, poczuciem wolności i niezależności, abstrahując od prostych lub skomplikowanych uczuć, jakimi darzymy partnera. Zastanówmy się, co wpływa na uczucie ciasnoty, na to, że nie mogę swobodnie oddychać, że często, coraz częściej, myślę o zniewoleniu, że mam poczucie upokorzenia? Czujecie to samo?

Otóż wielki wpływ ma na to zależność, lub raczej uzależnienie od kogoś, z kim dzielimy myśli, łóżko i stół, oraz świadomość, że on nie jest od ciebie uzależniony w tak dużym stopniu jak ty od niego. Twój partner, tak samo jak mój, znakomicie poradzi sobie sam, co najwyżej będzie się stołował na mieście, w restauracji albo w firmie; są teraz coraz lepsze i tańsze knajpki, gdzie w niezłych warunkach można zjeść całkiem dobre dania. Facet będzie prał rzeczy w pralni, a do sprzątania znajdzie kobietę z ogłoszenia. Boisz się tego, że tak może się stać? Jasne, że może, ale to wcale nie jest częsty scenariusz.

Tak nam się wydaje, bo w rozgoryczeniu często zapominamy, że mąż jest prawie zawsze uwikłany w małżeństwo, wplątany w rytuały tak samo jak żona. Nie chodzi tu o prawdę obiektywną, lecz o to, jak postrzegamy partnera. Widzimy przecież codziennie, że on nie potrzebuje rozmowy, że to my gadamy do niego, ciągniemy za język, wymuszamy zeznania na temat tego, co go gnębi, co zdarzyło się w pracy. Wydaje nam się, że on nie potrzebuje kontaktu.

Zazdrościmy gadającym parom, które znamy z filmów. Akcja zazwyczaj toczy się w nowojorskich sferach uniwersyteckich, bohaterem jest słodki brzydal, pełen inteligencji i humoru, Woody Allen. Czasami jednak nie umiemy

rozpocząć rozmowy na inny temat niż wymiana szafek w kuchni. Odchodzimy od dawnych ideałów, przestajemy czytać, rozwijać się. Pora wracać do swoich ambicji! Nie masz dokąd odejść? Nie masz gdzie się schować? To ostrzeżenie. Jesteśmy uwikłane. Pora na bunt, nie dajmy się zdołować!

Przegrana Sylvii Plath

Gdy czytam dzienniki Sylvii Plath, dobrze rozumiem, o co jej chodziło. Była nadwrażliwa, słaba, przez małżeństwo utraciła siłę i wolność. Przepisywała wiersze i teksty swojemu mężowi Tedowi Hughesowi, który był utalentowanym poetą. Uległa narzuconej samej sobie presji, by być najlepszą żoną i matką, gotowała, studiowała książki kucharskie, starała się, jak potrafiła. Kosztowało to ją wiele, bo odbywało się kosztem jej pisania. Dlatego że chciała być dobra we wszystkim, nie wytrzymała, zwłaszcza że Ted ją zdradził. Potem wszystko niby wróciło do niby-normy.

Była samotna. Niektórzy krytycy literaccy twierdzą, że jej samobójstwo miało być tylko wołaniem o pomoc.

Sylvia Plath przegrała własne życie, choć po śmierci jest sownie wynagrodzona, uznana przez krytykę, czytelników, wydawców, przez tych samych, którzy odrzucali jej maszynopisy. Przegrała, bo usiłowała się podporządkować, wtłoczyć w obowiązujące normy, zniszczyć swą indywidualność. Zrobiła to, co robi prawie każda kobieta, wchodząc w kierat małżeński, rodzinny. Tylko że niektóre potrafią tę rolę przyjąć, polubić, a inne nie. Jej samobójstwo dziwi nas, bo przecież nawet jeśli rozwiodła się z Tedem, miała dzieci i twórczość. To był przypadek, że nie było obok niej nikogo, z kim o tym, co ją gnębi, mogłaby porozmawiać. Była chora,

jej psychika chorowała. Miała psychoterapeutkę, a jednak nic nie pomogło. Sprawy zaszły za daleko, cierpienie było zbyt wielkie. Pojawiła się pustka, depresyjna nicość. Zapomniała o tym, że jest młodą śliczną kobietą, bardzo mądrą i obdarzoną wieloma talentami. Nie myślała o mężczyznach, z którymi mogłaby ułożyć sobie życie; nie chciała samotności z dwojgiem dzieci? Nie mogła znieść myśli o odrzuceniu jej wierszy, książek, opowiadań przez głupich krytyków i niewyrobionych literacko wydawców. Na wszystkich ważnych polach ponosiła klęski, tak myślała, a przecież nie była to prawda. To przykład braku odpowiedniego punktu odniesienia, nadwrażliwości, delikatności. Molly Bloom, bohaterka *Ulissesa*, z pewnością nie wpadłaby w taką psychiczną pułapkę, była twarda, jak Nora Barnacle, żona Joyce'a.

Czy rozmowa pary małżeńskiej jest możliwa?

„(...) ani znaku chcę powiedzieć czy oni nie są grubo-
skórni nigdy nie rozumieją tego co im mówisz nawet gdybyś
im to wydrukowała na wielkim afiszu albo nawet gdybyś im
dwa razy podała lewą rękę i ścisnęła ich rękę w swojej gdzie
się mieści ta ich wielka inteligencja chciałabym wiedzieć te
ich szare komórki mają to wszystko w ogonie jeżeli mnie
pytacie o zdanie on zawsze mówi mi te same rzeczy jakby
wygłaszał przemówienie (...)”

Oto fragment najbardziej znanego w literaturze światowej monologu. Pochodzi z *Ulisses*a Jamesa Joyce'a, to jeden z moich ulubionych fragmentów. Są to myśli Molly, żony głównego bohatera, żony Leopolda Blooma. Są to nasze myśli, moje i twoje, droga siostrzo. Wiele razy słyszałyśmy wulgarnie zdanie: „kobieta myśli dupą”, niekiedy w trochę bardziej zawołowanej formie, czasami wyrażone jeszcze brutalniej. Imputuje się nam to, czego wcale nie czujemy, mianowicie seksualne podejście do rzeczywistości i sprawdzanie każdego jej aspektu do seksu. Tymczasem to właśnie w męskim, statystycznym umyśle podobno co cztery minuty pojawia się myśl o seksie. Prowadzono badania i takie otrzymano wyniki. Ta gęstość myślenia nie idzie w parze z goto

wością zaspokojenia jednej kobiety. Mężczyźni bowiem myślą „seksualnie” częściej o innych kobietach niż o tej, z którą są..

Molly zauważyła, że inteligencja i szare komórki mężczyzn znajdują się w „ogonie”, na długo przed tym, nim zaczęto prowadzić tego rodzaju badania. To jest postać, która mimo swego sędziwego literackiego wieku, bo napisana została dawno, dawno temu, nie zestarzała się jak inne heroiny powieściowe. Jest wciąż żywa i krwista. Znamy ją tak dobrze, bo jest w nas.

Skąd wziął się pomysł tego niezwykłego, rewolucyjnego po dziś dzień, wewnętrznego monologu kobiety? Skąd tak wysoka ranga postaci kobiecej?

Jej głos kończy, można powiedzieć więcej, nawet - więcej - powieść jak wiecha gotową budowlę.

Zabić bohaterkę

Joyce, jako niezwykły obserwator, musiał zauważyć, że kobiety są gadatliwe nie tylko zewnątrz, bardzo często „mówią do środka”. Wiedział o kobietach więcej niż Freud i Jung, bo naprawdę interesował się nimi, nie tylko ich złąmaną psychiką, obiektem badań, zajmowała go zdrowa kobieta, z ciała, duszy, krwi i kości. Przeczuwał, że tłumiony głos zostaje wewnątrz świadomości i potem leży w pamięci, jest pod ręką i ujawnia się, gdy zajdzie potrzeba, by pocieszyć, albo nagle zaatakuje bez wyraźnego powodu i zmać, wydawałoby się, czyste niebo małżeńskiego układu.

Niewypowiedziana rozpaczliwa albo zabójcza myśl bywa spychana do nieświadomości, skąd wywiera destrukcyjny lub zbawienny wpływ na psychikę partnerki. Zbawienny w skutkach, jak piorunochron, który kanalizuje pioruny,

choć trudny do przetrwania, gdy tych złagodzonych piorunów zbierze się zbyt wiele i gdy kobieta dojdzie do wniosku, że nadeszła pora buntu albo wręcz zerwania kaleczących więzów. My, współczesne kobiety, nauczyłyśmy się już buntu, ale często nie umiemy go wyrazić w takiej formie, w jakiej mógłby przynieść korzystne efekty. I tak jak Molly Bloom, mówimy do środka.

Molly mówi bez głosu, mówi myślą, co zostało zapisane bez znaków interpunkcyjnych, słyszymy jej myśli przyobleczone w słowa, urwane w pół drogi zdania lub krótkie monologi. Kiedy wspomina przeszłość, dialoguje z samą sobą. Porusza wszystkie tematy, których nie mogła z różnych względów poruszyć z mężem, partnerem, najbliższym człowiekiem, ponieważ on nie chce o tym słuchać, nie interesuje go jej punkt widzenia na wspólne przeżycia. Molly, nauczona przez matkę milczenia, tak samo jak jej matka przez swoją; i tak od wielu pokoleń, te wszystkie kobiety wiedziały i do dziś wiedzą, że kobiecie nie wolno zdradzać swoich tajemnic, gdyż to zemści się na niej.

Molly i tak była w lepszej sytuacji niż większość współczesnych kobiet, ponieważ jej mąż Poldy interesował się tym, co ona ma do powiedzenia, prawdopodobnie dlatego, że Joyce, ze względu na swą profesję, interesował się tym, co mówiła jego żona Nora. Możemy przyjąć, że zainteresowanie pisarza, wręcz fascynacja, sposobem zachowania się Nory nie było całkiem bezinteresowne, miało charakter zbierania fiszek-informacji potrzebnych, wręcz niezbędnych w twórczości pisarza. Przyznaję Joyce'owi należne mu według mnie pierwsze miejsce w portretowaniu kobiet. Nie dorastają do niego ani Gustaw Flaubert ze swą *Panią Bovary*, ani Lew Tołstoj z *Anną Kareniną*. Flaubert pisał w liście do przyjaciela: „Madame Bovary to ja”, pisał postać, wczuwając się w nią, przekładał swoje męskie przeżycia na

kobiece. Chyba nie pomyślał nawet o tym, by zgłębiać bliskie sobie kobiety poprzez rozmowy czy wymianę myśli. To byłoby zbyt pospolite. Dlatego czytając jego powieść, zwłaszcza opisy zachowań, mam wrażenie koturnowości, sztuczności.

Pani Bovary postarzała się. Feministki zajmujące się krytyką, ze swego punktu widzenia, myślą podobnie jak kobiety odległe od feministycznej ideologii. Wszystkie czujemy sztuczność, konstrukcję, która zbudowana jest z bardzo dobrych materiałów, ale jest w środku pusta. Jak Kościół bez Boga, ciało bez duszy. Są to kobiety-skorupy, zamiast charakteru mają makijaż zrobiony przez mężczyznę, który nie ma pojęcia o sztuce malowania twarzy. Problemy, jakie przeżywają, to tylko rysa na powierzchni, a samobójstwo bohaterek to tylko pęknięcie pustej skorupy.

Choć krytycy z epoki uważają, że to jest efekt uniwersalności, krytyką literacką zajmowali się głównie mężczyźni i oni oceniali prawdę lub fałsz w bohaterkach. Tołstoj poświęcił Annie Kareninie wiele uwagi, ale nie jest ona postacią na miarę opisywanych przez niego męskich bohaterów. Nie znajdujemy w niej prawdy, która uzasadniałaby samobójstwo, nie poznajemy jej wnętrza, wychwytyjemy niespójność pomiędzy ostatecznym rozwiązaniem, wyjściem z życia w śmierć, a tym, co się z nią działo. Pisarze nie wiedzieli, co zrobić z upadłymi, według nich, bohaterkami. Dlatego się g a l i p o a r m a t y , b y z a b i ć b o h a t e r k ę .

Większość kobiet żyjących w tamtych czasach miewała nieudane romanse i żyła z tym przez lata, niekiedy nawet lepiej i pełniej niż te, które były wierne. Chodziło jedynie o zachowanie pozorów, mistrzostwo w hipokryzji.

Joyce jest pośród pisarzy chlubnym wyjątkiem, ponieważ nie stara się wczuwać w kobietę, myśleć kobietą, czuje jej obcość czy raczej inność, i to go właśnie interesuje.

Sytuacja jest tutaj podobna do przekładania literatury z jednego języka na inny. Tłumacze różnią się pod tym względem. Jedni chcą przełożyć dokładnie, wiernie, nawet kosztem urody języka, inni znów robią to, przyswajając obcość za pomocą różnych środków, szukają odpowiedników lokalnych i gubią w ten sposób egzotykę innego kraju. Czytając przekłady wierne (oczywiście nie ma to nic wspólnego z nieudolnym tłumaczeniem, chodzi o zachowanie różnic kulturowych), czujemy obcość innych kultur, i to jest piękne.

Joyce zachował odrębność kobiety, nie usiłował wtłoczyć jej w schemat pokutujący w powieściach, nie przykrawał jej do konstrukcji, nie kaleczył psychiki, której nie rozumiał, lecz swą budowlę językową dopasował do świata przedstawionego, modyfikował nieustannie, na poziomie treści, formy, zdania, a nawet słowa. Ślady tych zmagañ znajdujemy w samym *Ulissesie*, w listach i świadectwach przyjaciół, krytyków, innych pisarzy. Był mężem, który rozmawiał z żoną, nawet robił notatki, tak zresztą jak później jego główny bohater Poldy Bloom. Śladów rozmów z kobietami jest u Joyce'a bardzo wiele. Nie znajdziemy ich ani u Tołstoja, ani u Flauberta.

Urojenie omnipotencji

Kobiety często chełpią się tym, że przechytrzyły mężczyznę. W szczególności męża. Mówią o tym zwłaszcza w swoim gronie, gdy nie ma wśród nich mężczyzn. Mają złudne poczucie, że manipulując nimi, ustawiając ich, są wygrane, że górują nad nimi inteligencją i potrafią drogą niezliczonych manewrów doprowadzić partnera do pożądanego celu. To złudzenie, urojenie omnipotencji, które być

może jest niezbędne do życia w niewoli, ale jest to tylko dobrze naoliwiony, obronny mechanizm racjonalizacji.

- Nie masz pojęcia, jaką ja mam nad nim władzę, mogę jednym słowem zmienić wszystko, muszę tylko trafić w moment - mówi Karolina, żona uczonego, która wydaje się być całkowicie podporządkowana mężowi.

To jej wybór, tak było od początku ich małżeństwa. On robi karierę, rozwija się twórczo, nie musi myśleć o sprawach bieżących, martwić się o remonty, kupno ubrań, wychowanie dzieci. Można powiedzieć, że to przykład żony, która usuwa spod nóg męża wszelkie przeszkody, zbiera najdrobniejsze kamyczki, żeby się nie potknął.

Co więcej, Karolina nie czuje się niewolnicą jego sztywnych programów, od których nie ma żadnych odstępstw. Jeśli cokolwiek odbiega od codziennego rytuału, natychmiast wali się cała konstrukcja, mąż zaczyna tupać jak źle wychowane dziecko. Gdyby mógł, gdyby nie był dorosłym, poważnym prezesem, rzuciłby się na podłogę i zaczął wierzgać, histerycznie wrzeszcząc. Ponieważ musi powściągnąć taką reakcję, nie może sobie znaleźć miejsca w domu, chodzi po pokojach, prycha, lecz milczy, nie odzywa się, i to jest kara dla niej, że go nie ochroniła tak, jak powinna. W niektórych przypadkach krzyczy, a dzieje się tak wówczas, gdy coś wytrąca go z rytmu pracy. Wtedy robi wielką awanturę. Takie wyładowanie przypomina atak. Jeśli zakłócenie dotyczy godzin wolnych, daje do zrozumienia, że jest nieszczęśliwy, a wówczas jedyne, co może zrobić, to solidnie się upić. Żona, zamiast powiedzieć, co myśli o kompulsywności, którą powinien leczyć, skacze wokół niego, zabawia, jak umie, bez rezultatu. Te podchody utwierdzają go w słuszności swego postępowania. W zamian za paskudne wykorzystywanie żony otrzymuje same profity. Po co więc szczerą rozmowę, jeśli i bez niej załatwia sobie święty spokój?

Karolina czeka na lepszy humor namaszczonego władcy i wtedy dopiero tłumaczy mu, dlaczego pozwoliła sobie na wciągnięcie go w domowy kłopot, by również w jego życie wkroczył problem z dzieckiem. Powinna była sprawę ukryć, ale, niestety, szkoła zażądała natychmiastowego przyjścia rodziców, a ona nie chciała sama decydować, co zrobić z synem, który bierze narkotyki. Wreszcie więc mąż daje się obłaskawić, przyznaje, że sprawa jest poważna, i kierat rusza.

Karolina jest kobietą wykształconą, inteligentną, ma dobrze opłacaną pracę, nie jest skazana przez los na swojego męża. Musiała znaleźć w sobie mocne oparcie, wzmocnienie ustępstw na jego rzecz. Na początku myślała, że to miłość, że ona po prostu go kocha, zrobi więc wszystko, żeby być z nim. Sądziła, że on także ją kocha, że działa zasada symetrii. Znalazła wyjście w manipulowaniu. Gdyby nie miała w zanadrzu czegoś takiego jak urojenie własnej potęgi, stałoby się przetrwałoby roku, a trwa już przeszło dwadzieścia lat.

Wściekłość męża Karoliny związana jest nie tylko z wydarzeniami, które odrywają go od pracy, przenosi się także na wspólne spędzanie czasu. A zwłaszcza na rozmowy. Tematy są ustalone. Oczywiście, dla Karoliny; ona wie, po jakim terenie może się w miarę swobodnie poruszać. Ilość rzeczy, o jakich można mówić, nie zwiększa się z biegiem lat, raczej krąży się zacieśnia. Ta pętla ją dusi, ponieważ nie powinna mówić o tym, co ją najbardziej interesuje. Zachowuje się jak Winnie, po pas zakopana w piachu.

Karolinę, jak i Winnie, najbardziej interesuje właśnie życie rodzinne, mąż, jego oddalanie się, nieczułość, zagrożenie związku, uczucia lub ich brak. Dzieci Karoliny, które tak szybko dorosły, widząc, co się święci, uciekają z domu, wpadają w złe towarzystwo, próbują narkotyków, piją, przestają

się uczyć, mają problemy psychiczne. Do tematów starannie kamuflowanych i omijanych należą także stany depresyjne Karoliny..

On może mówić o tym, co go w tej chwili interesuje, bawi lub drażni, o swych dołkach, złym samopoczuciu. To jego prawo. Żona przyznała mu je na samym początku małżeństwa. Sobie takiego prawa nie przyznała. Dlatego w tym małżeństwie, jak w wielu podobnych, są tematy, które wolno poruszać żonie. Jeśli temat jest nieodpowiedni, mężczyzna reaguje wyjściem z domu lub wyniosłym milczeniem.

Wykorzystam to, co o nim wiem

Różnica między kobietą a mężczyzną w takim związku jak opisany wyżej związek Karoliny polega więc na tym, że głowa kobiety jest bezustannie obciążona myśleniem o mężczyźnie, o tym, jak najlepiej go podejść, podczas gdy on nie myśli w tym czasie o swej partnerce, zajmuje się sobą, pracą własną, swym rozwojem czy odpoczynkiem.

Ten rodzaj autotematycznego myślenia kobiet, krążącego wciąż wokół związku, bywa przyczyną paraliżu zawodowego, sztywności umysłowej, rozproszenia uwagi, niemożności skupienia się na własnej pracy, własnym rozwoju. W skrajnych przypadkach cały intelektualny potencjał wyczerpuje się na międleniu tematu męzowskiej psychiki. Nie starcza czasu na twórcze myślenie, chociaż w pewnych szczególnych okolicznościach te analizy mogą okazać się twórcze, pod warunkiem że potrafimy wyjść poza układ podrzędności. Jeśli nie, to nie mamy sił ani czasu na uczestnictwo w życiu społecznym, politycznym czy nawet towarzyskim. Ustawiczne skupianie się na analizie męskiej duszy, męskiego ego, obciąża umysł w destrukcyjny sposób, umniejsza

wartość samej siebie, wpędza w kompleksy, nie pozwala odetchnąć pełną piersią. Kobieta zamyka się w dusznej przestrzeni z jednym rozrośniętym ponad miarę problemem, jakim jest mordercza praca nad utrzymaniem małżeństwa. Wydawałoby się, że tak dzieje się w chorych związkach, ale jeśli rozejrzycie się, drogie siostry, dookoła siebie, to zauważycie, że takich układów jest bardzo wiele i że elementy tej choroby znajdują się także w naszych związkach.

Przez analizowanie osobowości mężczyzny kobiety stają się bardziej uspołecznione, potrafią lepiej przewidywać zachowanie innych ludzi. Używają przy tym inteligencji społecznej, aparatu psychologicznego godnego zawodowca. Tak wyposażone, mogą swoją wiedzę spożytkować na kierowniczych stanowiskach.

Chichot żony z Boga-Męża

Kiedy popadamy w tarapaty, w trudnym dla nas czasie często wydobywamy z zakarmarków pamięci nasze tajemnice; dawne miłości uznane za grzeszne, jakiś nad wyraz udany seks z nieznanym, porozumienie z kimś, kto odszedł, wyjechał lub zmarł, lub z kimś, kogo nie umiałam docenić, z kim mogłam rozmawiać o wszystkim. Ratunkiem jest czasami planowanie zdrady lub inny rodzaj zemsty. Można przywołać tu *Żywoty pań swawolnych* Brantóme'a, czyli coś w rodzaju szesnastowiecznych monologów waginy, które, choć napisane przez mężczyznę, zawierają jednak prawdę o słodkiej zemście nad mężczyzną, który nie spełnił oczekiwań.

Porzucone dla przyszłego męża, wcześniejsze miłości bywają lepsze niż parszywa codzienność, która nazywa się podległość, podporządkowanie, zniewolenie.

Kobiety rozmyślają o idealnych, niesprawdzonych w układzie mężczyznach, przy których, jak spekulują, mogłyby się rozwijać. W taki sposób zachowują się zwykle słabe żony, te, które nie mają romansu ani odwagi walczyć, nie mają romansu ani swego osobnego życia, są wyłącznie połową pary, połówką jabłka czy gołębiczką, żoną gołąbka. Te, które pieką ciasteczka i „poświęcają się” dla rodziny, „poświęcają” najlepsze lata, odkładając swoje sprawy na dalekie później, kiedyś, a to „kiedyś i później” na ogół nigdy nie nadchodzi, oddala się od nich wciąż jak horyzont na pieszej wycieczce.

Molly Bloom ma zawód, jest śpiewaczką; ma własne kontakty, skoki w bok, dlatego jest silna, tak jak współcześnie silne są kobiety, które mają dobrą pracę, interesują się nią, zrobiły lub robią karierę albo nie mają ochoty jej robić, są zadowolone z prowadzenia domu, ale muszą mieć własne pieniądze. One mogą być twarde, bo są niezależne, także finansowo. Dla nich odejście męża, czy od męża, nie stanowi zagrożenia.

Dlatego monolog Molly jest wciąż aktualny i nawet dziś, dla niektórych kobiet, awangardowy obyczajowo. Wciąż jest odważny przez prawdę, jaką zawiera. Jest głęboki jak studnia, do której wrzuca się zwłoki miłości własnej, swój ból i bunt, ale także śmiech, złośliwy chichot z Boga-Męża. Molly prześmiewa się z Leopolda tak jak inne żony, prócz tych zastrachanych ponizonych, zgnębionych, upokarzanych, zapędzonych w kozi róg, z którego nie mają wyjścia. Molly widzi próżność męża, jego gadulstwo, gdy wypowiada się na każdy temat.

Poldy Bloom, jak Willie ze *Szczęśliwych dni* Becketta, objaśnia rzeczy, których kobieta według niego nie może wiedzieć. Jednak Bloom jest chodzącą encyklopedią, jaką był Joyce, wie bardzo dużo i rozmawia z żoną jak prawdziwy

nauczyciel wychowawca, niesie jej kaganek oświaty. Inni mężowie niosą raczej kaganiec oświaty, ponieważ chcą, by ich żony wiedziały mniej niż oni, lecz więcej niż inne kobiety, pragną inteligentnych partnerek i wykazują się wielką cierpliwością w edukowaniu ich, bo mądra żona, mądrzejsza od innych żon, dobrze świadczy o mężu, tak jak piękniejsza podbija cenę mężczyzny.

„Przełknęła łyk herbaty z filiżanki trzymanej za ucho i wytarłszy szybko końce palców w kołdrę, zaczęła przesuwając szpilką do włosów po tekście, aż dotarła do tego słowa. Tu, powiedziała. Co to znaczy? Pochylił się i odczytał tuż przy wypolerowanym paznokciu jej kciuka.

- Metempsychoza?

- Tak. Co to za facet? Jak go nazywają ci, co go znają?

- Metempsychoza, powiedział, marszcząc brwi. To greckie: pochodzi z greki. Oznacza wędrówkę dusz.

- Och, brednie! Powiedziała. Powiedz po prostu. Uśmiechnął się, zerkając z ukosa w jej drwiące oczy.

Nalała herbaty do filiżanki. Reinkarnacja: to jest to słowo.

- Niektórzy ludzie wierzą, powiedział, że po śmierci żyjemy dalej w innym ciele, że żyliśmy przedtem. Nazywają to reinkarnacją. Niektórzy mówią, że pamiętają swoje poprzednie życie. Lepiej przypomnieć jej to słowo: metempsychoza. Przykład byłby lepszy. Przykład. Metempsychoza, powiedział, nazywali to starożytni Grecy. Wierzyli, że można być zamienionym w zwierzę albo w drzewo, na przykład. To, co nazywali nimfami, na przykład".

Oto cierpliwy, wytrawny nauczyciel, pracujący z własnym, indywidualnym programem nauczania nad edukacją

uczennicy. Bloom, tak jak James Joyce, był dobrym mężem. W swoim rodzaju, oczywiście, ale biorąc pod uwagę czasy, w jakich żył, był nowoczesny. Molly traktuje go z wisielczym humorem.

W życiu kobiet upokarzanych, traktowanych z brutalnością, nie ma miejsca na humor, jest jedynie na strach, a później na zemstę.

W przeciętnych związkach, w których nie mamy do czynienia z damskim bokserem, bardzo rzadko, chyba tylko w ostrej kłótni, czerpiemy wodę z tej studni w podświadomości, a jeśli już do tego dochodzi, wybieramy łagodniejsze kawałki - nigdy - prawie nigdy - nie mówimy całej prawdy. „Całą prawdę” można wykrzyzczyć w ostateczności, przed finałem związku kończącego się rozwodem.

Bywa też i tak, że wykrzyczana niepiękna prawda, wyciągnięta z ciemnej wody, oblepiona szlamem, oczyszcza studnię, naprawia małżeństwo. Bardzo rzadko jednak kobiety decydują się na ten rodzaj katharsis. Dzieje się tak dlatego, że nie wierzą w miłość i trwałość uczuć męża, w to, że prawda zwycięży półprawdę.

Postać Molly, mimo zabiegów kreacyjnych, podporządkowujących bohaterów powieści ogólnemu zamysłowi, wymknęła się Joyce'owi. Oczywiście, przy tego rodzaju nadzwyczajnej świadomości, jaką miał pisarz, nic nie mogło zdarzyć się „mimo”, nic nie jest przypadkowe. Z pewnością chciał, by kobieta wymknęła się spod kontroli, by pokazała inną twarz, rąbek duszy, by zostało zapisane na zawsze to, co zanotował w pamięci czy na papierze, obserwując własną żonę. Z Molly bije prawda inna niż ze znanych dotąd bohaterów literackich. Jej postać łamie również stereotypowe, mimo wszystko, przekonania wybitnych psychoanalityków, współczesnych Joyce'owi. Oni, jak Freud i Jung, nie potrafili

oderwać się od przekonania o gorszości kobiety. Według Junga logos, odpowiadający za umysł kobiety, jest nierozwi-nięty, eros natomiast „jest wyrazem jej p r a w d z i w e j n a t u r y”, czym zaś jest prawdziwa natura? Na to pytanie Jung nie odpowiada, mętna definicja kobiecości pochodzi z tego samego pnia, z jakiego wywodzi się „koń, jaki jest, każdy widzi”, przy subtelnych analizach, jakie spotykamy u Junga, ten rodzaj niechęci jest zadziwiający.

Namalowany słowami portret Molly to studium z natury, oparte na setkach szkiców „z modelu”, tysiącach rozmów i obserwacji. Nora Barnacle, żona Joyce'a, była modelem. Były nim pewnie, choć w mniejszym stopniu, także inne kobiety, jakie znał. Bohater lub bohaterka jest postacią złożoną z wielu elementów, jeden zaś zwykle przeważa; może to być alter ego autora.

Kończący *Uliссesa* słynny monolog Molly Bloom pierwotnie - w wersji angielskiej - kończył się słowem CHCĘ: „i najpierw objęłam go ramionami tak i przyciągnęłam go w dół ku sobie tak że mógł czuć moje piersi pachnące tak a serce biło mu jak szalone i tak powiedziałam tak CHCĘ”.

Młody, bo ledwie dwudziestoletni francuski tłumacz Jacques Benoist Mechin nie mógł poradzić sobie z przełożeniem tego fragmentu, ponieważ po francusku kobieta mówi: *Je veux bien*, co brzmi słabiej niż *Je veux*, żeby więc wzmocnić wymowę tekstu, młody tłumacz dodał na samym końcu *OUI*. TAK.

Wspaniały biograf Joyce'a, Richard Ellmann, opisuje rozmowę, jaka odbyła się pomiędzy tłumaczem a pisarzem. Joyce zdziwił się, czytając końcowe *oui*. „Ale przecież ja tego nie napisałem”, powiedział. „Tak brzmi lepiej”, odparł

tłumacz, Joyce na to, że przecież to poważna sprawa i że „Ostatnie słowo książki ma wielkie znaczenie”.

Rozmowa trwała kilka godzin, młody tłumacz upierał się, że akceptację wszechświata powinno się skończyć optymistycznym „tak”, a nie autorytatywnym „chcę”. Joyce uważał, że „chcę” jest słowem „diabelskim”, gdy „tak” oznacza poddanie się światu zewnętrznemu. „Książka musi się kończyć słowem «tak», najbardziej pozytywnym słowem, jakie istnieje w ludzkim języku” - oświadczył wreszcie pisarz i tak zostało we wszystkich wydaniach, w tłumaczeniach na wszystkie języki.

Tłumacz przekonał Joyce'a, że powieść nie może kończyć się pesymistycznie, bez żadnego znaku podporządkowania się kobiecie. Pisarz, który był bezkompromisowy, zwykle nie ulegał żadnym naciskom w sprawach swojego pisania, nie znosił mieszania się do jego twórczej pracy, tym razem uległ i zgodził się na zmianę wymowy całego tekstu. Z pewnością najbardziej rewolucyjnego monologu w historii literatury, znanego jako strumień świadomości, choć Joyce nie lubił tego określenia, bo nie chciał takiej kwalifikacji. Jednak nie miał już wpływu na to, co dzieje się z tekstem po wydrukowaniu, gdy powieść zaczyna żyć własnym życiem. Wtedy podlega ocenie i krytycy mogą rozumieć ją na dziesiątki albo setki sposobów. Ten wciąż żywy monolog ma ogromny wpływ na rozwój dwudziestowiecznej powieści.

W rozmowie pisarza z tłumaczem nie podnoszono w ogóle kwestii kobiecej, to znaczy faktu, że to Molly wieńczy dzieło i to ona mówi „chcę”, i ona dopowiada „tak”. W języku polskim: „tak chcę. Tak”, wcale nie oznacza podporządkowania kobiecie mężczyźnie. Słowo „tak” wzmacnia dodatkowo słowo „chcę”. Wyraża wolę kobiety.

Monolog Molly zawiera to, co prawdopodobnie nigdy w literaturze nie zostało głośno wypowiedziane przez kobietę, wstydlive tajemnice, grzeszne niewyjawione pożądania, chowane w pamięci erotyczne sceny z młodości, prawdziwe, trzeźwe oceny ludzi, pogarda dla głupich mężczyzn i dla niektórych ulegających im kobiet, które ja nazywam satelit-kami, obiegakczkami mężczyzn, podlizującymi się facetom na każdym kroku, niszczącymi konkurentki. Jest w tym monologu przekonanie o mądrości kobiecej, jest wreszcie to, co Molly naprawdę myśli o małżeństwie i swym mężu Leopoldzie Bloomie.

Być może niezwykły, bliski kontakt pomiędzy Norą a Jamesem pozwalał na szczere rozmowy, jakie niekiedy mają miejsce w dobrych, partnerskich związkach. Wtedy, nawet jeśli nie mówi się całej prawdy o sobie wzajem, opowiada się o innych, a przynajmniej kobieta opowiada o tym, co zauważyła lub czego dowiedziała się od swoich przyjaciółek czy znajomych. Dla Joyce'a była to kopalnia wiadomości i obserwacji psychologicznych, z których mógł utkać wewnętrzny monolog żony Leopolda Blooma.

Monolog wewnętrzny Molly Bloom jest „pisany kobietą”, a pokazany z tak wielką znajomością świadomości kobiecej, że wydaje się momentami niemożliwe, że został napisany przez mężczyznę. Zwłaszcza takiego, który jak Joyce wypowiadał się niekiedy na temat kobiet w sposób prostacki, zresztą charakterystyczny dla epoki, w której żył i w której takie poglądy były dość powszechne. Zahibernowane przetrwały do dziś, wciąż w niektórych środowiskach popularne są obleśne czy pogardliwe żarty na temat psychiki i fizjologii kobiet. Ten rodzaj dowcipu, nieprzystający do wyrafinowanego pisarza, dziwił jednak jego bardziej wyczulonych na problem kobiecy przyjaciół. Często podczas suto zakra-

pianych spotkań Joyce przytaczał powiedzenie jakiegoś dowcipnego według niego dublińczyka:

„Kobieta to takie stworzenie, które raz na dzień oddaje mocz, raz na tydzień oddaje stolec, raz na miesiąc przechodzi menstruację i raz na rok rodzi”.

Być może pociągała go w tym rubaszna forma zamykająca go w życie kobiety w fizjologiczne ramy, być może urzekła go wulgarność językowa, którą bardzo lubił. Wiadomo przecież, że był naturą złożoną i w wielu miejscach, czy to w pisanych wyszukany językiem wierszach, jak w *Muzyce kameralnej*, czy też w prozie, tworzył piękne i głębokie portrety kobiet, dawał dowody delikatności, przykładem jest tu matka Stefana Dedalusa w *Portrecie artysty z czasów młodości*. A jednak nawet sam tytuł zbioru wierszy: *Muzyka kameralna*, odnosi się do niedwuznacznych dźwięków fizjologicznych. *Chamber music* to muzyka kameralna, *chamber pot* zaś to nocnik. Tytuł wziął się z wesołego przyjęcia u pewnej wdówki Jenny, dokąd zabrał Jamesa jego przyjaciel.

„Wszyscy pili porter, a Joyce czytał swoje wiersze - każdy starannie wykaligrafowany na środku dużego arkusza pergaminu - które nosił przy sobie zawinięte w wielką paczkę. Rozrywka przypadła wdowie do gustu, ale musiała ją przerwać i wycofać się za parawan, gdzie stał nocnik”.

Towarzystwo usłyszało charakterystyczne odgłosy, a przyjaciel pisarza zawołał wówczas: „Oto twój krytyk!” Gdy dowiedział się o tym brat Jamesa, Stanislaus, który był autorem tytułu, uznał tę podwójność znaczeń za dobry omen. To upojne przyjęcie odbyło się mniej więcej miesiąc przed poznaniem Nory. A spotkanie z nią to dla pisarza bardzo ważny dzień. Dobrze zapamiętał datę. Wielu mężów nie pamięta nawet o rocznicy ślubu.

Pisarz spotyka bohaterkę powieści

„10 czerwca 1904 roku, idąc dublińską ulicą Nassau, Joyce dostrzegł wysoką młodą kobietę o kasztanowych włosach, która szła dumnym krokiem. Kiedy ją zaczepił, odcięła się śmiało, co pozwoliło mu podtrzymać rozmowę”.

Umówili się na wieczór 16 CZERWCA, spotkali się i długo spacerowali.

Tego właśnie dnia Joyce „nawiązał kontakt z otaczającym światem i wyrwał się z osamotnienia, które czuł od śmierci matki. W przyszłości miał jej powiedzieć: «Uczyńska mnie mężczyzną*. Dzień 16 czerwca był świętą datą, dzielącą zbuntowanego młodzieńca, Stefana Dedalusa, od usłużnego męża Leopolda Blooma”.

Stefan Dedalus był bohaterem *Portretu artysty z czasów młodości*, Lepold Bloom - *Ulisses*. Tak jak w swej twórczości Joyce zawsze wiedział, czego chce, tak i teraz, gdy wybrał Norę, a ona wybrała jego, nie zastanawiał się nad tym, co o niej myślą jego przyjaciele czy znajomi. Nie obchodziła go opinia środowiska, które uznawało ją za prostytutkę, osobę pospolitą. Miała tylko maturę, a gdy ją poznał, pracowała w hotelu. Nie czytała wiele, nie interesowała się literaturą. Miała jednak niebywały dar obserwacji, trafne spostrzeżenia, ostry język i potrafiła być złośliwa. Chyba też widziała co innego niż pisarz, patrzyła na rzeczywistość inaczej.

Tej zwykłej codzienności pisarz potrzebował, by jego proza zaczęła oddychać. Odnosiło się to nie tylko do sfery języka, ale także do sposobu widzenia. W związku Nory i Jamesa nie było nic z sentymentalizmu, naszej młodopolskiej „chłopomanii”, żadnej gombrowiczowskiej gęby, dwuznacznej sympatii do parobka, chwilowego apetytu na kość, na tłuczone ziemniaki, które prostak je ze swej miski. Był to

Później, gdy małżeństwo weszło w kolejną fazę, gdy już był pewien, że Nora go nie zdradza, zaczął odczuwać przyjemność w zainteresowaniu innych mężczyzn jego Norą, tym, że miała powodzenie. To dość częsty przypadek. Obserwuję i dzisiaj mężów, którzy czuwają nad strojem żony, kupują jej wyzywające rzeczy, pragną, by nosiła krótkie spódnice i wielkie dekolty, łaskoczące męską próżność, może też wywołujące podniecenie seksualne, które, jak to się zdarza, po paru latach małżeństwa gdzieś odpływa.

Tacy mężowie często prowokują sytuacje z udziałem żony i kogoś trzeciego, które co prawda wzbudzają ich wściekłość, jednocześnie jednak powodują, że wspólne życie staje się ciekawsze. Tak więc i Joyce z początku cieszył się, gdy pewien elegancki dziennikarz-intelektualista, dziś powiedzielibyśmy playboy, zainteresował się Norą, podziwiał jej urodę, przychodził na kolację. Pisarz słuchał opowieści żony, obserwował rozwój znajomości „z bezstronnością badacza studiującego tajemnice ludzkiej duszy”. Jednak gdy znajomość zaczęła przybierać inną formę, gdy dziennikarz oświadczył się Norze z głębszymi uczuciami i chciał zostać jej kochankiem, mówiąc do niej: *Il sole, s'e levato per Lei*, co oznacza: „Słońce świeci dla Ciebie”, Joyce „bardzo się tym wzburzył”. Zrobił przyjacielowi domu awanturę, zarzucił zdradę przyjaźni i zaufania, aż ten się popłakał. O swojej roli perwersyjnego męża badającego granicę, do jakiej posunie się przyjaciel, nawet nie wspomniał.

Słowa o słońcu, jakie wygłosił niedoszły kochanek Nory, wryły mu się w pamięć do tego stopnia, że włożył je w usta Blooma, który wypowiedział je do Molly. Bloom znosił niewierność Molly ze stoickim spokojem, inaczej niż twórca jego postaci. Wielu mężów eksperymentuje na żywym organizmie żony z mniej zrozumiałych, wyraźnych powodów,

niż czynił to Joyce. Pewnie boją się nudy. Pisarz potrzebował laboratorium do opisywania bohaterów, więc poddawał próbom nie tylko Norę, ale i siebie, mimo że sam z tego powodu cierpiał.

Kobieta - żona - Nora - Molly również wie więcej, niż wydaje się mężczyźnie - mężowi - Jamesowi - Bloomowi.

„wyobraźcie sobie kłaść się do łóżka z czymś takim co może cię w każdej chwili zamordować co za człowiek no ale to nie jedyny sposób w jaki ludzie wariują Poldy w każdym razie wyciera nogi na słomiance kiedy wchodzi czy pada czy słońce świeci i zawsze czyści sobie buty a on zawsze zdejmuje kapelusz kiedy wyrusza na ulicę w takim stanie a teraz chodzi w nocnych pantoflach i domaga się 10 000 funtów za jakąś zwariowaną pocztówkę (...) i co można mieć zażytek z takiego mężczyzny wołałabym 20 razy umrzeć niż wyjść za mąż za jeszcze kogoś z tej płci oczywiście nigdy by nie znalazł drugiej takiej kobiety jak ja która by zniosła od niego tyle co ja kochasz mnie to śpij ze mną i on to wie w głębi serca (...) Bartell d'Arcy był bardzo ognisty przy tym całym swoim blaszanym głósie zachwycał się moimi niskimi tonami (...) wtedy powiedział czy to nie straszne robić to w takim miejscu ale ja nie widzę w tym niczego takiego straszego o p o w i e m m u o t y m kogoś dnia nie teraz i niech się zadziwi tak i zabiorę go tam i pokażę mu dokładnie to miejsce zrobiliśmy to tu i sam zobacz jak ci się podoba możesz się udławić myśli że nic nie może się wydarzyć żeby się nie dowiedział (...) nigdy nie umiał przytulić tak dobrze jak Gardner mam nadzieję że on przyjdzie w poniedziałek (...) to wszystko jest bardzo dobre dla męża ale nie można oszukiwać kochanka (...) śliczny facet w khaki i akurat o tyle wyższy niż ja ile trzeba powiedział że jestem śliczna tego wieczora kiedy pocałowaliśmy się na pożegna

nie przy służbie kanału moja irlandzka piękności był blady z podniecenia (...) Och niech się wszyscy razem pocałują figę mnie to obchodzi on ma masę pieniędzy i nie jest człowiekiem żonatym więc lepiej żeby ktoś je z niego wyłuskał żeby tylko wiedziała czy mnie lubi wyglądałam trochę jak wypłosz (...) duże lustro nigdy nie oddaje twojego wyglądu a poza tym po tym piłowaniu mnie przez cały czas tymi wielkimi kośćmi biodrowymi i ciężki jest a ta włochata pierś w taki upał zawsze trzeba kłaść się pod nimi wygodniej by mu było wkładać to z tyłu we mnie w taki sposób jak mi opowiadała pani Mastiansky że jej mąż ją zmuszał jak psy to robią i kazał jej wysuwać język tak daleko jak umiała a taki był cichy i łagodny z tą swoją podzwaniającą cytrą czy można w ogóle zrozumieć mężczyzn co ich bierze".

„książę Walii przypuszczam że on jest pierwszy lepszy tylko że ma tytuł króla wszyscy oni są jednakowi czarnego człowieka chciałabym spróbować...”

Dziękuję ci, kochana Molly

„Bóg jeden wie co on robi o czym ja nie wiem a ja mam tłuc się po kuchni i przygotowywać jego lordowskiej mości śniadanie podczas kiedy on będzie leżał zawinięty jak mumia na pewno będę (...) Okazuj im troskliwość a będą cię traktowali jak ścierkę”. Po przeczytaniu *Ulisses*a i wielokrotnym odczytaniu monologu Molly robiłam ćwiczenia polegające na pisaniu własnego monologu wewnętrznego, w którym notowałam strumień świadomości, pamięć wspomnień, eksplozje niechęci, ale także uczucia czułości, miłość, wyrażałam swoje przekonania, nieujawnione przed nikim. To weszło mi w krew, zapomniałam wkrótce, że inspiracją tych psychologicznych, a może nawet psychoanali

tycznych analiz własnych jest Molly i jej twórca James Joyce. Uważam, że to właśnie Molly jest protoplastką wolnych kobiet. To ona pomogła mi w kłopotach, w kryzysach, bo zapisane i odczytane później myśli nie uciekły, nie zginęły gdzieś w piwnicach nieświadomości, nie gromadziły się, by uwierać ego. Sposób Molly okazał się najlepszą autoterapią dla kogoś, kto nie chciał ujawniać nikomu swych tajemnic. Zaczęłam pisać dziennik. Na początku byłam zakłamana, fałszowałam trochę myśli, ale wkrótce nauczyłam się pisać prawdę. Te monologi pisane najpierw na luźnych kartkach były tak bardzo prawdziwe i tyle było w nich rzeczy, o których nikt nie wiedział, że czasami niszczyłam je, by nie wpadły w niepowołane ręce. Niepowołane znaczyło: w niczyje. To była moja historia, moje monologi, mój strumień świadomości i nikomu nic do tego. Aż wreszcie zaczęłam wpisywać je do dziennika, gdzie się zachowały.

Gadałam z dziennikiem, gdy nie mogłam gadać, z kim trzeba. Przestałam bać się prawdy, przestałam fałszować swoje myśli. Dotarło do mnie, że nie muszę się już zakłamywać na śmierć. Przestałam także bać się tych niedobrych myśli. Kiedy chcę, gdy mam ochotę, sięgam po zapisane w moich dziennikach monologi, by zobaczyć, jak nie radziłam sobie kiedyś z tym, z czym radzę sobie teraz. Nauczyłam się myśli przekładać na słowa. A że czasem te słowa walą jak grad o parapet albo obijają się jak groch o ścianę, nie wywołując żadnej reakcji? Trudno, zawsze pozostaje nadzieja, bo wiele spornych kwestii między mężem a żoną, między mną a nim, zostało wyjaśnionych, inne się wyjaśnią, jeszcze inne nigdy nie zostaną wyjaśnione, co przecież nie wyklucza bliskości. To trochę zasługa Molly i Leopolda Bloomów; głównie jej. Ona nigdy nie dała się zdominować mężowi ani córce, nie „poświęcała się” dla rodziny, choć rodzina była

ważna. Molly wiedziała, czym jest wolność, i nie dała sobie jej zabrać, mimo że żyła w czasach trudniejszych, niż my żyjemy. W tej postaci mówiącej: tak chcę Tak, jest nadzieja dla nas, drogie siostry. My także możemy mówić z mocą „tak chcę Tak” albo „nie chcę Nie”, jeśli czujemy się wzgardzone lub zniewolone.

Wówczas ten brak przyzwolenia, to nie, będzie oznaczał, że jesteśmy wolne, umiemy mówić i walczyć. Do tego właśnie: „tak chcemy Tak”, będziemy dążyć. Dziękuję ci, Molly Bloom!

Spis treści

WSTĘP

Słyszysz mnie? Mówię do ciebie!

5

I

Tęsknota do początków - Pieśń
nad Pieśniami

2

3

II

Dojrzała para

6

7

II

I

Syndrom milczenia kobiet

19

5

IV

**Prześcieradło - płaszczyzna
porozumienia**

21

3 V

**Czy rozmowa pary małżeńskiej jest
możliwa?**

265

Książki oraz bezpłatny katalog
Wydawnictwa W.A.B. można zamówić pod adresem:
ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa tel. (22) 646 01 74,
646 01 75, 646 05 10, 646 05 11 wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Redakcja: Katarzyna Leżeńska Korekta: Elżbieta
Jaroszuk, Jadwiga Przeczek Redakcja techniczna:
Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych: koniec_kropka
Fotografia autorki: © Hanna Prus

Wydawnictwo W.A.B. 02-502 Warszawa, Łowicka 31 tel./fax
(22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7 Druk i oprawa: OPOLGRAF S.A.
Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

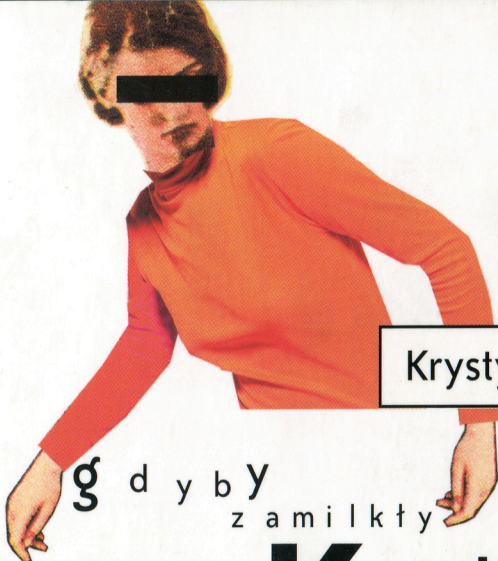
ISBN 83-7414-056-9

g d y b y
z a m i l k ły

K o b i e t y

Jest to książka o porozumiewaniu się kobiety i mężczyźn w związku. O braku tego porozumienia i jego przyczynach. O wielkiej roli kobiet jako tych, które pracują nad porozumieniem, wypracowują systemy pozwalające utrzymać związek i go ulepszyć. O roli kobiecego „gadania w wychowaniu dzieci, także niemowląt, do których wtaśn kobiety przemawiają, ucząc je w ten sposób języka. O cichych dniach, o milczeniu jako bronii, o podrzędności kobiety w relacji z mężczyzną i sposobach wyjścia z tego rodzaju niewoli.

Krysztyna Kofka



Krystyna **Kofta**

g d y b y
z a m i l k t y

K o b i e t y

Dlaczego kobiety i mężczyźni nie mogą się dogadać?

Czy musi tak być? Próbując odpowiedzieć na te pytania w sposób wyczerpujący, a jednocześnie dowcipny, autorka korzysta z przykładów z życia i biografii wybitnych kobiet, sięga także do wielkich dzieł literatury – *Szczęśliwych dni* Samuela Becketta, *Ulissesa* Jamesa Joyce’a, klasycznych prac psychologicznych i filozoficznych oraz do... Biblii, źródła najsilniej kształtujących nas archetypów i wzorców.

cena 29,90 zł

Patronat medialny:



Wydawnictwo
ab